

SIECI

**RAPORT PO WYBORACH
JANECKI:
PiS BLIŻEJ
ODZYSKANIA
WŁADZY**

**POŻEGNANIE
BOHATERA.
PORUSZAJĄCE
SŁOWA MATKI
MATEUSZA SITKA**

**IPN NA TROPIE
KOMUNISTYCZNEGO
SZWADRONU ŚMIERCI**

**NEO-TVP
SZORUJE
PO DNIU.
WSTYD NA
TO PATRZĘĆ**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

25 (603) 2024
17-23 czerwca 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

**RZĄD TUSKA JUŻ WZIĄŁ
Z NIEMIEC
KILKA TYSIĘCY
NIECHCIANYCH
TAM MIGRANTÓW.
A NA TERENIE POLSKI
SZYKUJE MIEJSCA
DLA SETEK TYSIĘCY**

UJAWNIAMY

LAWINA RUSZYŁA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403 2 5
Numer w sprzedaży do 24 VI 2024 r.

Już jest nowe e-wydanie



wSIECI
HISTORII

- ♦ **Poczet polskich władców**
- ♦ **Zbrojne legendy**
- ♦ **Kobięce strony historii**

Zamów prenumeratę cyfrową **wSIECI już od 5,90 zł,**
a nowe e-wydanie **wSIECI HISTORII dostaniesz w prezencie!**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Zamów już dziś na

siec.wpolityce.pl/oferta



Wielkie kłamstwo władzy

Jak uciec od konsekwencji haniebnych i skrajnie niebezpiecznych dla państwa polskiego wypowiedzi i czynów? Ludzie rządzącego reżimu uznali, że najlepiej poprzez zafalszowanie rzeczywistości. I tak od kilku tygodni suflują nam tezy o rzekomo „zupełnie innej sytuacji na granicy”. Twierdzą, że to, co się dzieje wzdłuż bariery ochronnej, ma zupełnie inną naturę niż to, co działa się tam jeszcze kilka miesięcy temu.

Szef MSWiA Tomasz Siemoniak przekonuje, że radykalnie wzrosła liczba osób, które chcą nielegalnie przejść, oraz że wzrósł również poziom agresji. „Przypadek tragicznej śmierci naszego żołnierza jest tutaj wymowny, ale każdego dnia mamy do czynienia z rzucaniem kamieniami, strzelaniem z procy, więc 200 m strefy to zapewnienie bezpieczeństwa żołnierzom i funkcjonariuszom” – przekonuje przedstawiciel obozu, który rządowi PiS w identycznej sytuacji imputował najgorsze intencje, w tym chęć ukrycia zbrodniczej działalności za parawanem strefy specjalnej.

Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz mówi, że „zmienił się charakter operacji”. A poseł KO Mariusz Wilczak doprecyzowuje: „Mamy do czynienia z wykwalifikowanymi mężczyznami, którzy są dedykowani do atakowania granicy i do prowokowania sytuacji bardzo niebezpiecznych”. W te same tony uderza medialne zaplecze władzy. O wielkiej zmianie na granicy trąbi TVN, a Dominika Wielowieyska w „Gazecie Wyborczej” stwierdza: „Musimy zrozumieć, że sytuacja się zmieniła. Konflikt narasta. Bez względu na obronę granicy i strzały ostrzegawcze wobec agresywnych grup migrantów są absolutnie uzasadnione”.

Autorzy wszystkich tych wypowiedzi próbują przekonać odbiorców, że wcześniej do granicy pukały dzieci i kobiety, a rząd PiS był wobec nich okrutny. W tej wersji zdarzeń te wszystkie haniebne incydenty, łącznie z próbami przełamania i niszczenia umocnień obronnych, a także te wszystkie straszne wyzwyśki, które padały pod adresem obrońców polskich granic, były działaniem moralnie usprawiedliwionym, a nawet koniecznym.

To czysto orwellowska próba napisania historii od nowa. Być może zmieniają się niektóre techniczne aspekty ataków ze strony białoruskiej, pojawiają się nowe metody, ale przecież tak samo było przed wyborami. Sytuacja ewoluowała. Reżim Łukaszenki stale doskonalił swój nikczemny proceder. Istota sprawy pozostaje jednak niezmienna: to są młodzi, agresywni mężczyźni, ściągnięci samolotami, zaprawieni w bojach, próbujący siłowo przełamać polską obronę. Bezwzględni, cyniczni, podejmujący ze złą wolą czytelne i agresywne zlecenia. Rzucający i niestety również zabijający naszych żołnierzy.

Nasi reporterzy byli na granicy wielokrotnie. Pokazywaliśmy brutalność agresorów, obnażaliśmy sztuczny charakter tego szlaku migracyjnego. O każdym zdarzeniu szczegółowo informowała Straż Graniczna, w tym potraktowana obrzydliwie przez reżim Tuska kpt Anna Michalska, wspinała rzecznik tej formacji (na marginesie: wolna Polska musi się o nią upomnieć).

W listopadzie 2021 r. doszło do regularnej bitwy na przejściu w Kuźnicy. Zorganizowane przez reżim Łukaszenki bojówki uderzyły z całą mocą z użyciem kamieni, drągów, proc, stalowych rur. Potem trwało to miesiącami, latami. Napastników były tysiące, prowokacji setki, żołnierze bywali ranieni, cudem uchodzili z życiem. Jakiś czas potem osobiście byłem w Kuźnicy. Widziałem broń używaną przez napastników. Nie różniła się znacząco od tej prezentowanej dziś.

Od początku mamy do czynienia z atakiem na Polskę. Ci, którzy wówczas nie stanęli „murem za mundurem”, nigdy nie przeprosili. I to wszystko właśnie ich dogania. Próbuje zafalszować przeszłość, by ukryć swoją kompromitację. Stąd te brednie o „zmieniającej się sytuacji”. To jest potężne kłamstwo rządzącego reżimu. Reżimu, który powołał specjalny zespół prokuratorski, którego jedynym zadaniem jest ściganie żołnierzy i strażników broniących granicy. Jak ustalił portal wPolityce.pl, nawet po ostatnich wydarzeniach nie mają zamiaru go zlikwidować. To mówi wszystko o intencjach tej władzy.

Michał Karnowski





43

Elity uśmiekniętej
Polski
Konrad Kołodziejcki



46

To nie było zwykłe
pożegnanie
Goran Andrijanić



57

Drugie wejście smoka
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 8 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 10 **TRZECIA DRÓŻKA**
Krzysztof Feusette
- 11 **A MOŻE W OGÓLE
ZLIKWIDOWAĆ SZKOŁĘ?**
Dorota Łosiewicz
- 12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 **KONIEC WYBORÓW, MAMY LATO!**
Jan Pietrzak
- 14 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 15 **POWYBORCZE REFLEKSJE**
Bronisław Wildstein
- 16 **WALIZKA KS. WOJCIECHA PIENIAKA**
Michał Korsun
- 18 **TERAZ SIĘ ZACZNIE**
Samuel Pereira
- 20 **W OBRONIE KRZYŻA**
Lech Makowiecki
- 21 **NADCHODZI „UBOGACENIE
KULTUROWE”**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 22 **JUŻ TU SĄ**
Marek Pyza

PO WYBORACH DO PE

- 26 **WIELKIE PRZEMEBLOWANIE**
Stanisław Janecki
- 29 **NAJWIĘKSI WYGRANI
I NAJWIĘKSI PRZEGRANI**
Piotr Gursztyn
- 32 **Z MARKIEM GRABOWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 36 **TVP SZORUJE PO DNI**
Maciej Walaszczyk
- 38 **PRZEŁOM NADCHODZI Z PARYŻA?**
Jan Rokita
- 40 **ŁAGODNY SZOK,
CZYLI EUROWYBORY 2024**
Dariusz Matuszak

KRAJ

- 43 **ELITY UŚMIEKNIEJĄcej POLSKI**
Konrad Kołodziejcki
- 46 **TO NIE BYŁO ZWYKŁE POŻEGNANIE**
Goran Andrijanić
- 48 **Z PIOTREM JANOWICZEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 51 **JAK ROSJA CHCE WYGRAĆ WOJNĘ
I RYWALIZACJĘ Z ZACHODEM?**
Marek Budzisz
- 54 **KUBA UMIERA PO CICHU**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

- 57 **DRUGIE WEJŚCIE SMOKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 60 **PREZENT OD PANA JANKA**
Ryszard Makowski
- 61 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 62 **SKW W PIĄTKI PRACUJE DO 13.00**
Robert Tekieli
- 63 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 64 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

- 66 **MISJA IPN TRWA. CO JUŻ WIEMY
O SZWADRONIE ŚMIERCI?**
Stanisław Płużański

OPINIE

- 68 **PRZYSZŁOŚĆ WOLNEGO ŚWIATA
ROZEGRA SIĘ RÓWNIEŻ W IZRAELU**
Bernard Margueritte

PODRÓŻE

- 70 **MOJE SZLAKI: TOMASZ HABDAS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 **KAPSLE, SENTYMENT, KOLARSTWO...**
Ryszard Czarniecki
- 74 **MIT DOLINY KRZEMOWEJ**
Katarzyna Zybortowicz



obserwator
finansowy

NBP informuje:

Rozpoczął działalność Obserwator Finansowy TV

– nowy tematyczny kanał informacyjno-publicystyczny
nadawany na żywo na YouTube.

10 czerwca 2024 r. uruchomiliśmy nowy kanał Obserwatora Finansowego, który jest nadawany na żywo na YouTube. W Obserwator Finansowy TV znajdą Państwo ciekawe materiały dotyczące bankowości centralnej, finansów i gospodarki. Do programu zapraszamy uznanych ekspertów i praktyków życia gospodarczego z Polski i zagranicy. Obserwator Finansowy TV to bezpośredni dostęp do najlepszej wiedzy ekonomicznej i finansowej. Zachęcamy Państwa – przedstawicieli mediów, instytucji i ośrodków – do korzystania z naszych zasobów. Zapewniamy, że poziom naszego kanału TV jest równie wysoki jak prestiżowego Obserwatora Finansowego, który jest powszechnie czytany i cytowany.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP

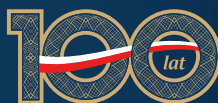


Zapraszamy: poniedziałek–piątek, godz. 9.00–15.00;
kanał YouTube Obserwatora Finansowego

 youtube.com/@obserwatorfinansowy



NARODOWY
BANK POLSKI



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU



Polska może być wielka

Portal wPolityce.pl ma już 14 lat. Podczas urodzinowej gali została wręczona nagroda Biało-Czerwonych Róż. W tym roku jej laureatem został Marcin Horala, były pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego

Na początku jubileuszowego spotkania, które odbyło się w ub. środę w Warszawie, kilka słów do redakcji portalu wPolityce.pl skierował Mateusz Morawiecki, były premier, obecnie poseł PiS.

MONOPOL MEDIALNY SIĘ DOMYKA

„Chciałbym zwrócić uwagę na wielką rolę mediów, która zawsze jest kluczowa w zakresie jakości funkcjonowania państwa. W tym kontekście chcę umiejscowić 14. rocznicę powołania portalu wPolityce.pl do życia i podziękować wszystkim twórcom, wszystkim, którzy przewinęli się przez łamy wPolityce.pl, bardzo ważne dla budowania niezależności systemu medialnego i oceny funkcjonowania instytucji państwa – powiedział były szef rządu. Jak podkreślił: „Dziś, kiedy monopol medialny się z powrotem domyka, możemy docenić wielką rolę mediów niezależnych. Dzięki wam ta szczelna otulina medialna, którą

obecnie rządzący próbują obudować świat polityki, będzie kruszeć, będzie podlegała erozji, dzięki takim portalom, jak wPolityce.pl, takim gazetom, jak »Sieci« i takim telewizjom, jak wPolsce. Za to chciałem wam gorąco podziękować”.

Marzena Nykiel, redaktor naczelna wPolityce.pl, w swoim wystąpieniu zwróciła uwagę na znaczną zmianę rzeczywistości politycznej w ostatnim czasie. „Spotykamy się w zupełnie innej rzeczywistości niż w poprzednich latach. Po intensywnym maratonie wyborczym, tuż po ostatnich demokratycznych decyzjach, które wpłyną na kształt polityki nie tylko europejskiej, ale i polskiej. Był to czas intensywny nie tylko dla polityków, ale i dla dziennikarzy” – rozpoczęła swoje wystąpienie. Dziękowała za pracę zespołowi redakcyjnemu, lecz także czytelnikom. „Dziękuję zespołowi redakcyjnemu za ciężką, intensywną, momentami wyczerpującą pracę w warunkach szczególnie trudnych. Informacja jest dziś na każdym kroku zagłuszana przez dezinformację, prawda zasypywana przez

klamstwo, fakty tłumione manipulacją. Naszym zadaniem jest te rzeczy oddzielać. Staramy się to robić rzetelnie i odpowiedzialnie. Dziękuję znakomitemu gronu naszych publicystów, którzy wprawnym okiem oceniają zagmatwaną rzeczywistość, wyłapując zagrożenia, ale też wskazując jasne punkty i kierunki. Dziękujemy naszym czytelnikom, których grono nieustannie powiększa się, tworząc patriotyczną, zatroskaną o Polskę wspólnotę. Ale przede wszystkim dziękuję Michałowi i Jackowi Karnowskim, od których wszystko się zaczęło, bo to oni powołali do życia portal wPolityce.pl w 2010 r.” – mówiła. Na koniec swojego wystąpienia szefowa portalu zapewniła: „Obiecujemy dalej pilnować polskich spraw, bronić honoru ojczyzny i strzec naszej katolickiej wiary. Wiemy, że przed nami kolejne trudne próby”.

CPK JAKO WSPÓŁCZESNA GDYNIA

Laudację na cześć laureata Biało-Czerwonych Róż wygłosił Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”. „Nasz laureat, nie mam wątpliwości, przejdzie do historii jako człowiek, który położył kamienie węgielne pod Centralny Port Komunikacyjny, i który – głęboko w to wierzę – ten port zbudował. Port obejmujący nie tylko lotnisko, lecz także ogólnokrajową sieć komunikacyjną, zrywający z wciąż widocznym dziedzictwem zaborów” – mówił Jacek Karnowski. Przychylił się do porównania, że CPK to projekt, który można zestawiać z budową portu w Gdyni w II RP. „CPK jako współczesna Gdynia – to niezwykle trafne, nośne porównanie. Ale pamiętajmy. Gdynię też atakowano. W artykule z „Dziennika Bydgoskiego” z 1923 r. można przeczytać: »Rozpoczęta budowa portu w Gdyni to farsa nieodpowiadająca nowoczesnym wymogom. Ta rozbudowa obciążać będzie roczne budżety miliardami i przeciągnie się na setki lat. Zresztą znamy nasz swojski sposób budowania. Zatem swojskiej, kosztownej, beznadziejnej budowie portu lepiej dać spokój«. Wystarczy zamienić słowa i pasuje. Z tym że współcześni krytycy CPK mają w sobie chyba jeszcze więcej jadu” – stwierdził.

Zwrócił uwagę, że laureat nagrody poradził sobie z prowadzeniem bardzo trudnego projektu. „Wielkie przedsięwzięcia zawsze mają swój kontekst. Dzieją się w konkretnym momencie cywilizacyjnym, wpisane są w konkretne plany polityczne i gospodarcze. Ale też prowadzą je konkretni ludzie. Mogą zawieść, albo też dźwignąć wyzwanie. Nasz laureat ten egzamin zdał celująco. Nie było to łatwe, bo mówimy o zadaniu polityczno-menedżersko-medialnym. Niewielu jest ludzi, którzy umieją łączyć te trzy płaszczyzny. Niewielu jest ludzi, którzy potrafią roztaczać wielkie wizje, ale jednocześnie punktowo, merytorycznie, uparcie, wygrywać małe potyczki. I za to także jest ta nagroda” – podkreślił Jacek Karnowski.

Nagrodę Marcinowi Horale wręczyli Marzena Nykiel oraz Michał Karnowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria. Następnie głos zabrał laureat.

MIEDZY ROZWOJEM A PROWIZORKĄ

Marcin Horala zaznaczył, że prace nad realizacją projektu CPK przebiegały sprawnie, dopóki władzę sprawowało PiS. „W momencie, kiedy przyszło zdawać swoje obowiązki, mieliśmy praktycznie zakończony cały wieloletni, żmudny proces administracyjno-uzgodnieniowy, mieliśmy rozpoczęte pierwsze prace budowlane, poskładane finansowanie. Wszystko, co w tamtym momencie powinno być, było. Oczywiście nastąpiło ostatnie pół roku, gdzie wybaczenie, szkoda gadać, co się wydarzyło, a co się nie wydarzyło. Dość powiedzieć, że wstępna analiza wskazuje, że w pół roku udało się wygenerować mniej więcej dwa lata opóźnienia, co już samo w sobie jest wątpliwym osiągnięciem” – powiedział laureat.

Marcin Horala zwrócił uwagę na to, że jednocześnie powstał ruch społeczny w obronie CPK. „Powstał, autentycznie przyznam, że również w swojej skali dla mnie zaskakujący, ruch społeczny w obronie CPK. Poruszenie obywatelskie za sprawą, która może się wydawać trochę techniczna, szczegółowa, nie być takim prostym, emocjonalnym, nakręcającym pewne emocje przedsięwzięciem, a jednak stało się tak, że np. miliony Polaków z chęcią oglądają wielogodzinne eksperckie debaty na merytoryczny temat. To dla wielu zaskoczenie”

– zaznaczył. „Może wylania się nowa oś sporu między tymi, co są za śmiałym rozwojem, a tymi, co są za październikową prowizorką. Za tymi, którzy są za CPK, a tymi, którym odpowiada – tu cytuję z pamięci – »rozsądna inwestycja bez megalomanii i wstawania z kolan«, czyli budowa czterech nowych miejsc postojowych na lotnisku w Modlinie, dwu-, a może nawet trzygwiazdkowego hotelu i stacji benzynowej z myjnią” – powiedział.

„Jeżeli my teraz mamy 80 proc. średniej unijnej PKB na mieszkańca, to znaczy, że w naszym zasięgu jest 100 proc. i więcej. To byłoby osiągnięcie absolutnie historyczne, w zasadzie od czasów chrztu Polski. Polska może i stanie się krajem wysoce rozwiniętym, bogatym, bezpiecznym, Polska po prostu może być wielka i to jest cel, dla którego warto pracować i warto żyć” – zakończył swoje wystąpienie laureat Biało-Czerwonych Róż.

Galę prowadzili Dorota Łosiewicz i Marcin Wikło, dziennikarze portalu wPolityce.pl, tygodnika „Sieci” i telewizji wPolsce. Uroczystość uświetnił występ muzyczny harfistki Olgi Ucieklak.

Adam Stankiewicz



Sygnalista nadaje

W Prawie i Sprawiedliwości panuje przekonanie, że wyniki badania exit poll, które sugerowały wysokie zwycięstwo KO (38 proc.) i słaby wynik PiS (34 proc.), nie były przypadkiem. „Sądzimy, że zrobiono to specjalnie. Chodziło o to, żeby to był wieczór Donalda Tuska, niemalże lzy w oczach” – słyszymy. Formalnie pomyłka mieściła się w granicach błędu statystycznego, ale wybory europejskie są przecież mało skomplikowane. Możliwe jest jeszcze jedno wyjaśnienie: część społeczeństwa boi się deklarować swoje sympatie. To zresztą w pełni zrozumiałe, bo reżim jest okrutny, złośliwy i mściwy.

Ostateczne, oficjalne wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego wprawiły Zjednoczoną Prawicę w bardzo dobry, dawno niewidziany nastrój. Zwycięstwo KO jest bowiem minimalne i, jak to ujął prezes Jarosław Kaczyński, w istocie „pozorne”. Partia Tuska wywindowała swój wynik do 37 proc. kosztem mniejszych partii, a tym samym podminowała całą konstrukcję koalicji 13 grudnia. Sytuacja, w której jeden element stale zyskuje kosztem pozostałych, nie zapewnia równowagi w żadnej sferze życia, a już na pewno nie w polityce, gdzie każdy chce przede wszystkim zachować swój kawałek podłogi.

Do tego dochodzi buta zwycięzców. **Marcin Kierwiński**, do niedawna szef MSWiA, obecnie świeżo upieczony europoseł, którego kampania w Warszawie i okolicach wyglądała na wartą grube miliony, został zapytany w Radiu ZET o kiepskie wyniki Trzeciej Drogi i Lewicy w eurowyborach. Odpo-

wiedział, że „to jasny sygnał od wyborców, że niezbędne są dalsze rozliczenia”. „Kwestionowanie rozliczeń to nie jest dobry kierunek, a atmosfera różnic wewnątrz koalicji nie sprzyja całej koalicji i nie sprzyja również naszym koalicjantom” – przekonywał. Zapytany, czy PO grozi „bunt przystawek”, odpowiedział: „Nie boimy się. Liczymy na rozsądek i dobrą współpracę”. Przekaz jest jasny: nie chodzi o jedność, ale o posłuszeństwo, a „liczenie na rozsądek i dobrą współpracę” jest ledwie zawołowaną groźbą skierowaną do współtowarzyszy z koalicji. To taki sam język, jakim PZPR przemawiała do ZSL, SD i innych satelickich struktur.

Są już pierwsze sygnały narastających napięć. Ważny polityk PSL **Marek Sawicki** upomniał się z sejmowej tribuny o wsparcie dla małych biogazowni rolniczych. „Wy będziecie tworzyć zespoły, pracować, a w tym czasie Shell, Total, Saudi Aramco już wykupiły w Polsce ponad 50 proc. biosubstratu do produkcji biometanu i za chwilę zagraniczna konkurencja na polskim biosubstracie będzie wypracowywała swoje cele narodowe” – przestrzegał. I wzywał: „Skończcie z tworzeniem zespołów i ustaw, które nie są do niczego potrzebne. Weźcie się wreszcie do roboty i zaczniście inwestować”. Słuszny apel, dotyczy zresztą prawie każdej dziedziny naszego życia.

Obrady prowadził wicemarszałek **Włodzimierz Czarzasty** z Lewicy, który zareagował tak: „Drogi Marku, nie byłbym sobą, gdybym ci nie przypomniał w sposób bardzo delikatny, że szefem tego resortu jest Cze-

Tymczasem PO „odpolitycznia” państwo. Mariusz Gierszewski z Radia ZET poinformował, że „apolityczni” dziennikarze pobiegli na skargę do... polityków Platformy. Musieli tam naopowiadać ciekawych rzeczy, skoro z tego powodu zwołano pilne spotkanie w resorcie kultury. „Chodzi o koszty funkcjonowania i spadającą widownię. Do posłów z komisji kultury (z PO) przyszły tabuny dziennikarzy, którzy skarżyli się na sytuację w TVP” – podał dziennikarz, dodając: „W PO narasta rozczarowanie ministrami kultury, która nie ma pojęcia o mediach. Oliwy do ognia dołata jeszcze ujawniona przez Sieć Obywatelską lista plac dyrektoriów TVP”. W sumie bardzo smutny widok. Nowe media publiczne trzeba będzie zbudować od nowa.

ślaw Siekierski i myślę, że też mógłbyś go zapytać na swoim klubie o politykę w tej sprawie". Sawicki odpowiedział: „O tej sprawie ze wszystkimi ministrami rozmawiam co najmniej od pół roku". Ten rząd ciągle rozmawia, a właściwie snuje się bez celu. Zatrzymali rozpędzoną Polskę i nie wiedzą, co dalej robić. Tym bardziej że Polacy jednak nie klaszczą ekipie likwidatorów i wygaszaczy.

Posel PiS Zbigniew Hoffmann tak opisuje sytuację w sferach rządzących: „Konglomerat bardzo wielu bytów, z których złożona jest ta koalicja, był od razu spisany na konflikt. Ale, na miły Bóg, żeby po pół roku część ministrów nie podawała sobie ręki?". I dodaje: „Stan wrzenia po eurowyborach osiągnął najwyższy poziom i można się spodziewać bardzo różnych sytuacji. PSL i Lewica zorientowały się, że za chwilę zostaną pożarte". Tu niestety pewności nie ma. Bardzo osłabiona partia może albo szukać okazji do odbicia, albo położyć uszy po sobie. W przypadku PSL, Polski 2050 i Lewicy ten drugi scenariusz jest dość prawdopodobny.

Ale niespodzianki będą. Ważny polityk PiS mówi nam, że mniejsi koalicjanci zaczęli być bardziej rozmowni, uprzejmi i chętnie nadstawiają ucha w sprawie ciekawych pomysłów. Szczególnie lubią scenariusze różnych psikusów, od których roi się w Sejmie. Niespodzianek na pewno nie zabraknie. Nie będą to wielkie manewry, ale i tak lepsze to niż pancerna pięść zemsty, którą proponuje Polsce partia Tuska. Coś poważniejszego może się zdarzyć po wyborach prezydenckich, o ile PiS wygra wyścig o pałac. Sądząc po wynikach wyborów do PE, szanse są całkiem spore. PiS i Konfederacja mają w sumie niemal połowę głosów. Tak, to wszystko bardziej złożone, ale nadziei też bardzo potrzebujemy.

Kto będzie kandydatem PiS na prezydenta? Sprawą wyboru pretendenta zajmuje się specjalny zespół. Jest już właściwie zamknięta pula kandydatów. Kto w niej jest? Na pewno Mateusz Morawiecki, zapewne również Mariusz Błaszczak, Tobiasz Bocheński oraz kilku innych, młodych polityków. Kobięca kandydatura jest mało prawdopodobna, bo w tle mamy wojnę, poważnie traktowaną przez Polaków. PiS naprawdę chce wygrać, a ponieważ druga tura jest właściwie pewna, więc będzie skłonne do podejmowania ryzyka i odważnych decyzji.

Na poparcie Prawa i Sprawiedliwości nie mogą w zasadzie liczyć kandydaci pravicowi, ale niebędący mocno osadzeni w partii. Dotyczy to postaci zgłaszanych przez różne środowiska (szef

BBN Jacek Siewiera, ambasador Marek Magierowski) oraz tych, którzy zgłaszają się sami (Marcin Mastalerek). Zdaniem kierownictwa PiS mnożenie kandydatów może ostatecznie zaszkodzić prawicy i przynieść rozproszoną kampanię, być może brutalną. Oczywiście od deklaracji do realnej walki droga daleka. Wybory prezydenckie mogą wynieść wysoko, ale mogą także ośmieszyć.

Odkąd rządzi koalicja 13 grudnia, mętlik w działaniach resortów nabiera tempa. Kierowane przez Marzenę Czarnecką Ministerstwo Przemysłu nie zostawiło suchej nitki na projekcie rozporządzenia przygotowanym przez resort klimatu i środowiska, na którego czele stoi **Paulina Hennig-Kloska**. Zdaniem MP nowe wymagania jakościowe dla węgla uderzą w kopalnie i gospodarstwa domowe. „Wejście w życie w dniu 1 września 2024 r. ograniczenia zawartości siarki do poziomu 1,2 proc. spowoduje niedobór węgla na ścianie wschodniej już w najbliższym sezonie grzewczym” – tak brzmi komunikat. Ta ekipa w końcu wlezie na potężną minę. To nieodpowiedzialni ludzie.

Do tego wszędzie ściema. Donald Tusk z hukiem ogłosił wprowadzenie zmian w prawie, które mają rozwiązać żołnierzom ręce i uchronić ich przed konsekwencjami użycia broni w czasie obrony granicy. Problem w tym, że dokładnie takie przepisy już obowiązują. Jak ocenia red. Piotr Gursztyn w portalu wPolityce.pl: „Jedyna zauważalna, choć być może tylko przypadkowa różnica to zamiana kolejności poszczególnych paragrafów. Można byłoby się z tego śmiać, gdyby nie to, że rząd wysłał wojsku sygnał, jak bardzo fałszywe są deklaracje pełnego wsparcia obrońców granic. Żołnierze znów dostali sygnał, że państwo za nimi nie stoi, a nawet nie interesuje się nimi". Cały Tusk. Właściwie esencja.

Szef MON **Władysław Kosiniak-Kamysz** podtrzymał zapowiedź utworzenia biura pomocy prawnej dla obrońców polskich granic. Ma ono służyć „wspieraniu żołnierzy i funkcjonariuszy np. w sprawach użycia przez nich broni". Jednocześnie, jak poinformował portal wPolityce.pl, powołany przez ludzi ministra sprawiedliwości zespół śledczy ścigający polskich żołnierzy wciąż działa i nie ma planów jego likwidacji. A więc zespół Bodnara będzie formułował oskarżenia, a zespół Kosiniaka-Kamysza będzie im służył pomocą prawną. Część państwa polskiego będzie atakowała żołnierzy i funkcjonariuszy, a inna część będzie próbowała im pomóc. W sumie piekło dla tych, którzy wpadną w tryby tej maszyny. Ta władza nie broni munduru.

Trzecia dróżka



KRZYSZTOF FEUSETTE

Marszałek: ...dobra, ale ty mówisz.

Wicepremier: Niby czemu? Ja w telewizji za małą nie robiłem.

Hołownia: Ale wicepremierem byłeś!

Kosiniak-Kamysz: Slucham?

H: Oj, przeżyłem się. Jesteś, wiadomo, że jesteś. Ty musisz mówić, bo lepiej się znać. Tak fajnie o tych drzewach gadałeś, że korzenie, liście, gałązki...

K.-K.: To było o ruchu ludowym! Nie dam rady mówić, bo mnie wzrokiem zabije. Zawsze tak robi.

H: A próbowałeś?

K.-K.: Przy wieku emerytalnym. Zanim usta otworzyłem, już mnie takim spojrzeniem zdielił, że Zgorzel-skiemu włosy dęba stanęły.

H: On nie ma włosów.

K.-K.: Bo tego było dużo więcej. Musimy mówić razem.

H: Jednocześnie?

K.-K.: A czemu nie? Będzie lepiej słyszać, a przy okazji będą świadkowie, że wykrzy-czelśmy mu to prosto w oczy. Ty będziesz moim świadkiem, ja twoim.

H: A co ty chcesz krzyczeć? „Nie po-żeraj nas, hieno!”

K.-K.: Nie. Wykrzyczę mu, że nas nie da pożreć!

H: Tak jest!

K.-K.: O peezelu mówię. Za was to już pies z kulawą nogą nie zaręczy.

H: Ty to mówisz o Polsce 2050?

K.-K.: A o kim? Nigdzie już przyjaciół nie macie. Teraz będziecie związki partnerskie postulować, żeby was lewica przygarnęła? Wstydu nie macie.

H: Sorry, ale myśmy byli za postęmem, jak wyście jeszcze słomę z butów wyciągali. Tylko wam widły rozdać i w skansenie zamknąć.

K.-K.: Chłopce z TVN, że tak powiem, bo widzę, że ci woda sondażowa uderzyła pod grzywkę. Żadnych struktur nie masz, oddziałów lokalnych nie posiadasz i ty chcesz ruch ludowy, to drzewo, ten korzeń, z którego wyrasta twardy elektorat, po-puścić?! Zarok fotel marszałka oddasz i skończy się czarowanie...

H: A kto powiedział, że oddam? Umowa koalicyjna to nie jest konstytucja, zresztą konstytucję też można łamać, jak się komuś nie podoba Trybunał Konstytucyjny.

K.-K.: Nie oddasz laski Czarzastemu?

H: Miałem oddać, jak będę prezydentem.

K.-K.: Tego nie ma w umowie.

H: Trzecia Droga – mówi to koledze coś? Mielicie mnie poprzec.

K.-K.: A ty oddać laskę. Aha, i wprowadzić świeżych ludzi do polityki. Padnę ze śmiechu.

H: Co, może Zalewski nie jest świeży?

K.-K.: Bardzo. Tak bardzo, że nie wiedział nic o zatrzymaniu żołnierzy. „Bo na urlopie jestem” – mówił. Przepraszam, ale z takimi kadrami to Trzecia Droga wylądować w szczyrim polu.

H: Sugerowałbym jednak troszkę autorefleksji. Przypo-mnieć ci, kto jest ministrem obrony narodowej?

K.-K.: Od razu zareagowałem!

H: Na doniesienia medialne pod dwóch miesiącach.

K.-K.: Bo wcześniej nie wiedziałem!

H: O czym?

K.-K.: Żeto takie ważne. Myślałem, że jak w woj-sku stanie się coś ważnego, to ktoś normalnie za-dzwoni. Nawet otworzyliśmy telefon zaufania, jakby żołnierze nie chcieli pod nazwiskiem.

H: Dzwonił ktoś?

K.-K.: Pierwszego dnia. Że minister mu się nie po-doba, a w zasadzie to nikomu w jednostce, i że nawet sobie śpiewają: „Tygrysa bierz na cel i rąb”. Bo kto widział, żeby taki wymoczek i ten, no, mięczak, miał być szefem obrony. Potem rzucił słuchawkę.

H: Trochę racji miał.

K.-K.: Niby w czym?

H: Jest faktem, że plecaczek ewakuacyjny masz spakowany.

K.-K.: Jakby PiS wróciło! Ja jestem zawsze za mundurem.

H: Chyba za murem. Jak cię Donald wkręcał w najgorsze sprawy, to milczałeś jak zaklęty w sokola. A teraz Onet cię rozdeptał. Na czyje zlecenie, to sobie zobacz po wynikach.

K.-K.: I właśnie o to chcę go zapytać. Niech mi powie prosto w oczy: „Zajumalem cię,

Władku, mimo że mówiłem, że cię lubię”.

H: Tak nie powie.

K.-K.: To własnymi słowami. I jeszcze niech powie, co mamy robić z koalicją. Bo na razie wyciągnął zawleczkę, ale zapo-mniał granat wyrzucić.

H: Widzisz, ludzie nam zaufali, że dość kłótni i do przodu, a tu się okazuje, że z przodu była ściana. Gdyby nie moje fil-miki i dar oracji, Trzeciej Drogi już by nie było.

K.-K.: Te filmiki, żeby dla migrantów na granicy kasę zbierać? Dla tych, co naszymi nożami dźgali?

H: Dźgali, bo nasi strzelać nie mogli. Jak zaczęli, to ich Bod-nar prokuratorami straszył. A ty milczałeś!

K.-K.: Już ci powiedziałem – lepiej laskę oddaj, bo prezyden-t i tak nie zostaniesz.

H: Ty też nie.

K.-K.: Ale ja przynajmniej mogłem być premierem. Były takie głosy...

H: Chyba w twojej głowie. Dość kłótni, Władku. Musimy się trzymać razem. Większego trudniej zeżreć. Chociaż pyton to i krowę potrafi. To co, idziemy do niego?

K.-K.: I co powiemy?

H: Nie wiem, mówiłeś, że chcesz mu coś wykrzyzczeć.

K.-K.: Już się wykrzyczałem. Nie można działać pochopnie. Ja stracę wicepremiera, ty laskę, czy my aż tak potrzebujemy przyspieszonych wyborów?

H: Absolutnie nie. Społeczeństwo jest zmęczone, my je-steśmy zmęczeni, powiem ci, że ja to nie pamiętam, kiedy w kampanii nie byłem. A poparcie? Ważne, żeby nas doły partyjne na taczkach nie wywozły.

K.-K.: Ty nie masz dołów.

H: Oj, uwierz mi, Władku, że mam. A że nie płacę tyle, co kiedyś, to o niczym nie świadczą.

Nowa władza wpada na coraz lepsze pomysły związane z reformowaniem polskiej edukacji.

Za sprawą rozporządzenia MEN od kwietnia wprowadzono brak prac domowych dla uczniów w klasach I–III szkoły podstawowej, a w klasach IV–VIII zniesiono obowiązek wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych, wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie jest oceniane. Od września będzie obowiązywała okrojona podstawa programowa. 13 maja dobiegły końca konsultacje publiczne w sprawie dwóch projektów nowelizacji rozporządzeń ministra edukacji dotyczących podstawy programowej. Zgodnie z nimi zakres treści, jakie powinien znać uczeń, ma być „uszczuplony”. Nowa podstawa ma obowiązywać od nowego roku szkolnego.

Przypomnijmy, że propozycje zmian, jakie resort poddał konsultacjom, przewidywały np. zastąpienie określenia „ludobójstwo” w odniesieniu do Wołynia określeniem „konflikt polsko-ukraiński”. Skreślono nazwiska Witolda Pileckiego, Danuty Siedzikówny „Inki”, św. Maksymiliana Marii Kolbego i Ireny Sendlerowej. Z lekcji języka polskiego mają zniknąć pozycje napisane przez św. Jana Pawła II czy „Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza. Teraz eksperci będą pracować nad zupełnie nową podstawą programową, która ma obowiązywać od 2026 r.

Ale to nie koniec zmian. Ocena z religii nie będzie już wliczana do średniej, wprowadzono także wiele zmian dotyczących nauczania religii.

I to nie koniec pomysłów na zmiany w edukacji. W styczniu wiceminister edukacji Izabela Ziętka przyznała, że jej resort rozważy propozycję likwidacji ocen z plastyki, techniki, muzyki i wychowania fizycznego. Za takim rozwiązaniem opowiedziała się też Dorota Łoboda, prezes fundacji Rodzice Mają Głos i posłanka Koalicji Obywatelskiej. „Sama trójka czy szóstka ma wątpliwy walor informacyjny. Zarówno jako ekspertka edukacji, jak i jako matka, uważam, że nadmierną wagę przywiązujemy do ocen w naszym systemie edu-

A może w ogóle zlikwidować szkołę?

„Zrezygnowali z zadań domowych, chcą zrezygnować ze świadectw, to może zrezygnujemy z podręczników, bo przecież nie trzeba się uczyć”

Jeszcze dalej poszła małopolska kurator oświaty dr Gabriela Olszowska, która zaapelowała o zakończenie praktyki przyznawania uczniom z najwyższą średnią ocen czerwonych pasków. „Dość pasków. Sio z paskami. Nie dla pasków na świadectwie. Świadectwa tylko dla III i VIII klasy oraz maturalne” – napisała na Facebooku. Olszowska zaapelowała również o złożenie wniosku w tej sprawie do MEN. Warto przypomnieć, że postulat likwidacji czerwonego paska w szkole zgłaszał w trakcie kampanii przed wyborami parlamentarnymi obecny marszałek Sejmu Szymon Hołownia z Polski 2050.

Trudno się dziwić, że pomysł nowej kurator wywołał lawinę komentarzy w sieci. „Kolejne szaleństwo... najlepiej niech nikt w szkole niczego nie wymaga: zrezygnowali z zadań domowych, chcą zrezygnować ze świadectw... to może zrezygnujemy z podręczników, bo przecież nie trzeba się uczyć.

Dewastują szkołę... a w konsekwencji nasze dzieci, które bez wiedzy, własnego zdania, umiejętności stawiania sobie celów i ich realizacji staną się świetnymi klientami placówek psychiatryczno-psychologicznych, jako osoby bez tożsamości, bez pasji, bez wiedzy itp. Lewicowa rewolucja trwa... I jak tu się dziwić, że brakuje psychologów, skoro pacjentów przybywa lawinowo” – napisał na platformie X (d. Twitter) rzecznik PiS Rafał Bochenek. „Nie chcą w polskich szkołach historii, nie chcą lektur, nie chcą prac domowych, teraz domagają się likwidacji świadectw. Jeszcze trochę i zlikwidują szkoły” – skomentowała była premier Beata Szydło.

Strach się bać na myśl o tym, jak szkoła będzie wyglądała za cztery lata. O ile w ogóle będzie. Przecież zmuszanie uczniów do siedzenia w ławkach jest takie niehumanitarne.

Dorota Łosiewicz



Na Węgrzech równoległe z wyborami europejskimi odbyły się wybory samorządowe. O ile w tych pierwszych rządzący Fidesz uzyskał ok. 45 proc. głosów, o tyle w drugich odniósł jeszcze większy sukces, zdobywając poparcie na poziomie 55 proc. Dzięki temu odzyskał władzę w takich miastach, jak m.in. Eger czy Miskolc, choć stracił ją np. w Győr czy Szolnoku.

Gdyby przełożyć wyniki tej elekcji na rozkład miejsc w parlamencie, to partia Viktora Orbána nadal dysponowałaby liczbą ponad dwóch trzecich mandatów, czyli większością konstytucyjną. Oznacza to, że Fidesz potwierdził swoją hegemonię na tamtejszej scenie politycznej.

W trakcie wyborów do europarlamentu ujawniła się jednak nowa partia – TISSA pod wodzą Pétera Magyara, który wkroczył do węgierskiej polityki zaledwie cztery miesiące temu. Jego ugrupowanie zdobyło ok. 30 proc. głosów, stając się tym samym główną siłą opozycji. Sukces w wyborach europejskich nie przełożył się jednak na wyniki w wyborach samorządowych, ponieważ nowa formacja nie ma jeszcze własnych struktur tereno-

Orbánowi wyrasta rywal



wych. W związku z tym wystawiła swoich kandydatów jedynie w Budapeszcie. Na 36 miejsc w radzie miasta po 10 mandatów zdobyły Fidesz i TISSA, 6 – blok zjednoczonej opozycji, zaś po 3 – Węgierska Partia Psa o Dwóch Ogonach i stronnictwo działacza miejskiego Dávida Vitézya, który stoczył zaciętą walkę o fotel burmistrza stolicy. Ostatecznie przegrał on z kandydatem zjednoczonej opozycji Gergelym Karácsonym, tracąc do niego zaledwie 324 głosy.

Wyniki wyborów pokazały, że Fideszowi wyrasta groźny rywal, który jest w stanie wchłonąć dużą część elektoratu innych ugrupowań. Na razie TISSA musi jednak stworzyć strukturę w terenie. Dużo będzie zależeć od tego, jak nowa formacja ustawi się wobec pozostałych partii opozycyjnych: czy zachowa niezależność od nich, czy wejdzie z nimi w sojusz. Sprawdzianem okaże się najbliższa kadencja rady miejskiej Budapesztu. Arytmetyka pokazuje bowiem, że nie da się rządzić tym miastem bez nowej partii Pétera Magyara.

Grzegorz Górny

Ostatnich dziewięć miesięcy członkowie plemienia Marubo, indiańskiej społeczności żyjącej w głębi Amazonii, spędzili, ciesząc się dostępem do internetu. Niemal natychmiast uzależnili się od mediów społecznościowych i pornografii. Sprawę opisali reporterzy „The New York Timesa”, którzy dotarli 80 km w głąb tropikalnej dżungli.

Po uzyskaniu dostępu do sieci młodych ludzi natychmiast pochłonęło przeglądanie kanałów w mediach społecznościowych, transmisje meczów piłkarskich i plotkowanie za pośrednictwem WhatsAppa. Większość dnia spędzali, leniuchując w hamakach, zajęci swoimi telefonami, a wieczory – grając w strzelanki i brutalne gry wideo. Zagroziło to zwyczajom plemienia związanym z polowaniami i rybołówstwem, czynnościami mającymi kluczowe znaczenie dla przetrwania społeczności. „Na wsi, jeśli nie polujesz, nie łowisz ryb i nie sadzisz, nie jesz” – wyjaśniają przedstawiciele starszyzny. Poczatkowo wszyscy poczuli się szczęśliwi, jednak – jak w socjologicznym eksperymencie – szybko zaobserwowano pogorszenie się

Indianie wpadli w sieć

sytuacji psychofizycznej najmłodszych członków plemienia.

Alfredo Marubo, przywódca stowarzyszenia zrzeszającego wioski plemienne, ubolewał, że chłopców pochłonęły czaty grupowe, na których udostępniali pornografię, co w ich kulturze jest bezprecedensowe, gdyż nawet całowanie jest w niej publicznym tabu. Dlatego zgodzono się na wprowadzenie ograniczeń. Teraz internet jest włączony tylko przez dwie godziny rano, pięć godzin wieczorem i w niedziele.

Cale to zamieszanie wywołał Elon Musk, który pomógł połączyć częściowo odizolowane od cywilizacji plemię za pomocą sieci satelitarnej Starlink. Niezbędne anteny podarowała zaś amerykańska filantropka Alyson Reneau. Poczatkowo dostęp do sieci oceniano jako korzystny, choćby ze względu na możliwość wezwania natychmiastowej pomocy, np. w przy-



Brazylia

padku śmiertelnych ukąszeń węży. Teraz starszyzna plemienna doszła do wniosku, że internet stał się egzystencjalnym zagrożeniem dla ich kultury. Zabijanie czasu na jalo-wych zabawach przy smartfonie uderzyło w kontakty towarzyskie, izolując ludzi młodych od starszych. Dzięki kontaktowi ze światem zewnętrznym niektórzy nastolatki zaczęli marzyć o jego odkryciu. Zdaniem wodza będzie to oznaczać początek utraty przez nich własnej kultury i historii plemienia, która dotąd była przekazywana ustnie. W głębi amazońskiej dżungli wydarzyło się więc dokładnie to samo, co w ciągu ostatnich kilkunastu lat dotknęło wszystkie kultury zmagające się ze skutkami cyfryzacji życia.

Maciej Walaszczyk



Sudan

Wirus wojny

Tom Perriello, specjalny wysłannik Stanów Zjednoczonych do Sudanu, alarmuje, że trwająca w tym kraju wojna domowa może się przekształcić w konflikt regionalny, w który zaangażują się sąsiedzi. „Myszę – powiedział w wywiadzie dla „Foreign Policy” – że najgorszy scenariusz dla Sudanu to 20–25-letnia wersja Somalii na sterydach” – konflikt, który wciągnie sąsiednie państwa i doprowadzi do sytuacji przypominającej to, co dzieje się obecnie w Libii.

Sudan pogrąża się w wojnie, która jest ignorowana przez społeczność międzynarodową, mimo że jej skala wcale nie jest mniejsza od konfliktów na Ukrainie czy w Izraelu. Ostatnio walki objęły również Darfur, silnie zaludnioną prowincję na zachodzie kraju, gdzie siły rządowe zostały praktycznie otoczone przez rebeliantów z RSF (Rapid Support Forces), których potencjał ocenia się na 100 tys. żołnierzy. Formacja ta wywodzi się z muzułmańskiej milicji walczącej w czasie poprzedniej wojny domowej w Darfurze. Jej oddziały brały też udział w walkach na terenie Libii i Jemenu. Pierwotnie formacja ta miała pomagać armii sudańskiej, ale rok temu podniosła bunt przeciwko władzom.

Cameron Hudson, analityk Center for Strategic and International Studies, zwraca uwagę, że kryzys w Libii, gdzie mieszka 6 mln ludzi, będzie niczym w porównaniu z negatywnymi zjawiskami, które pociągnie za sobą upadek Sudanu zamieszkanego przez ponad 50 mln osób. „Można zapomnieć o kontrolowaniu nielegalnego przepływu narkotyków, broni, migrantów i bojowników przez niestabilne regiony Afryki” – ostrzega Hudson.

Zabójcze awokado

Awokado stało się w ostatnich latach modne jako podstawa zdrowej diety. To jednak przede wszystkim – podobnie jak w przypadku soi czy batatów – kreacja marketingowa, w której chodzi tylko o zysk. W Meksyku kontrolę nad uprawami awokado przejęły kartele narkotykowe. W pogoni za pieniędzmi giną ludzie, cierpi również zdevastowane środowisko naturalne.

Awokado jest uprawiane w Meksyku od stuleci. Jednak przez większą część XX w. było praktycznie nieznane poza Ameryką. Próbowano wykreować popyt na ten owoc, wymyślając jego kolejne nazwy: oferowano go m.in. jako gruszkę aligatora i aguacate, ale bezskutecznie. Bogatym Europejczykom i Amerykanom nie przypadł do gustu mdły smak awokado. Doceniono go dopiero w latach 60. ub.w. wraz z początkiem mody na zdrową, wegańską żywność. Jednak prawdziwym przełomem okazała się promocja guacamole i tostów z awokado podczas telewizyjnych transmisji meczów finałowych futbolu amerykańskiego Super Bowl. W rezultacie w latach 2003–2022 spożycie awokado w Stanach Zjednoczonych wzrosło czterokrotnie, a popyt na ten owoc błyskawicznie przeniósł się do Europy.

Korporacje rolne z Kalifornii nie były w stanie nadążyć ze sprzedażą awokado, więc ich oczy skierowały się w stronę Meksyku. Kusiła ich nie tylko tania siła robocza, lecz także obfitość ziemi i wody. Trzeba bowiem wiedzieć, że do wyhodowania jednego owocu awokado potrzeba 12 razy więcej wody niż do wyhodowania pomidora.

Sudan, który za czasów dyktatora Omara al-Bashira stał się bezpieczną przystanią dla Al-Kaidy, Hamasu, Hezbollahu i innych organizacji terrorystycznych, może przekształcić się w wielki obóz treningowy i bazę sił wykorzystywanych przez państwa, takie jak Iran czy Rosja. Europa bardzo szybko odczuje skutki takiego rozwoju wydarzeń.

Marek Budzisz



Meksyk

W dochodowy interes błyskawicznie weszły meksykańskie kartele narkotykowe. Ich członkowie zastraszali lokalne społeczności, przejmowali ich ziemię i wypalali ogromne połacie lasów pod rabunkową uprawę. Sprzeciwiających się zabijano, a miejscowych urzędników korumpowano.

Głównym ośrodkiem produkcji awokado jest stan Michoacán w środkowym Meksyku, gdzie uprawia się ok. czterech na pięć wszystkich awokado spożywanych w Stanach Zjednoczonych. To najważniejszy region na świecie produkujący te owoce, odpowiadający za prawie jedną trzecią globalnej podaży. Koszty monokultury awokado są jednak przerażające. Po wycięciu tutejszych lasów sosnowych pora deszczowa skurczyła się z ok. sześciu miesięcy do trzech. Ubytek wód gruntowych jest zaś tak duży, że znikają całe jeziora, a pożary i małe trzęsienia ziemi stały się codziennością. Wszystko po to, aby bogaci Amerykanie i Europejczycy mogli mieć dostęp do zdrowej, wegańskiej żywności.

Z awokado jest tak jak z kobaltem w Afryce. W obu przypadkach mówi się o ochronie środowiska naturalnego – awokado ma wypierać dietę mięsną, a kobalt służy do produkcji akumulatorów. W rzeczywistości chodzi jednak o wielkie zyski i brutalną eksploatację ludzi. Natura się nie liczy.

Konrad Kołodziejski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Koniec wyborów, mamy lato!

Trzy tury wyborcze w ciągu kilku miesięcy to spory wysiłek dla społeczeństwa umęczonego zielonym jadem i euronieladem. Sejm, samorządy, a także 53-osobowa deputacja do bazy imperium w Brukseli! Chciałoby się rzec: kwiat narodu, ale brzmi to mocno pretensjonalnie i szczerze mówiąc, w tym bukiecie mnóstwo zielska w rodzaju szaleju jadownego, korupcji smrodliwej, paskudnika medialnego itp.

Główny, fundamentalny problem, jaki mamy z naszymi wybranymi w III RP, to kwestia lojalności. Czy będą Polsce służyć i dla niej pracować, czy będą Polaków zdradzać? Roczники dorastające w peerelu miały łatwiej ze zrozumieniem tego mechanizmu, ponieważ cały system państwowy opierał się na zdradzie założycielskiej. Funkcjonariusze zdrady wyjaśniali, że to konieczność dziejowa przesądzona w Jalcie, a ciemniejsza większość co pewien czas się buntowała, sprawdzając, czy uda się wydostać z tego nieszczęścia.

Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, za wstawnictwem Ducha Świętego, w co głęboko wierzę, udało się Polakom odzyskać nadzieję na niepodległość. Stało się to w sierpniu 1980 r., nazywało się Solidarność. To był początek końca zdrady

instytucjonalnej. Zaczął się etap zdrady indywidualnej. Proces historyczny trwający do dzisiaj. Na ogół wukryciu. Jednak nie każdą zdradę da się ukryć. Wtedy czujemy straszny wstyd, że po tylu latach tworzenia poczucia wspólnoty, sklejanie roztrzaskanej przez wrogów polskości, nie udało nam się wyeliminować tej skazy narodowej – skłonności do zdrady. Symbolem nieszczęścia jest słowo „targowica”.

Czytam właśnie wydaną przez Białego Kruka książkę „Konfederacja targowicka” Władysława Smoleńskiego. Świetnie opowiedziana historia, z naukową precyzją, beletrystycznym polotem, mnóstwem mniej znanych szczegółów. Niestety co chwila trzeba robić przerwy na głęboki oddech, żeby nie zwariować ze zgrzyoty. Przykra lektura. O bezgranicznej podłości sąsiednich imperiów i bezmiernej słabości niektórych rodaków. Kolejne zderzenie historii z teraźniejszością, o czym ostatnio zakazano mówić w polskich szkołach.

Przy okazji zapraszam na koncert „Moich zakazanych piosenek” 23 czerwca o godz. 18.00. SDK, ul. Słowackiego 19A



**Jan
Pietrzak**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bluzg

Wiem, że niektórzy uważają, iż nie warto już komentować antypisowskich hejterów, którym łamy udostępnia pewna popularna gazeta. Wiem, że są tacy, którzy twierdzą, że tych tekstów nie należy nawet czytać, żeby unikać budzenia u siebie złych uczuć do ich autorów: obrzydzenia, odrazy, wstrętu. Albo czytać nie warto, bo ich retoryka parcia, styl prostacki, a język prymitywny.

A jednak wciąż czytam, bo wciąż jestem ciekawy świata i poglądów innych, i nadziwić się mogę, że esteci z gazety uparcie publikują te wymiociny, i to całymi seriami. Jeszcze w kampanii parlamentarnej mogłem zrozumieć cel: chodziło o skonsolidowanie twardego elektoratu, zmobilizowanie armii nienawistników. Ale dziś, gdy nowa władza niemal już skończyła „dożynanie watahy”?

Po co dziś pisać i publikować teksty, w których pod adresem obecnej stłamszonej i upokorzonej opozycji używa się sformułowań: patologia, autorytarny populizm, zainfekowanie pisowskimi czynownikami, trybunalskie wałkonie, osoby sędziopodobne, ustawowe bezprawie, złogi systemu PiS?

Pamiętam, że kilkanaście lat temu gazeta publikująca dziś ten stek epitetów wywołała kosmiczną aferę, oskarżając wiceprezesa Polskiego Radia, że nazwał pewną dziennikarkę „gomulkowsko-gierkowskimi złogami”. Oburzenie nie dotyczyło raczej odniesienia do wskazanej przez wiceprezesa epoki po-

litycznej, bo dziennikarka rzeczywiście najszybciej pokonywała szczeble kariery w czasach komunistycznej dyktatury. Zdecydowany sprzeciw gazety wywołało niezbyt grzeczne słowo „złogi”.

No cóż, gdy się go używa wobec peerelowskiej dziennikarki, to jest obraźliwe, a gdy np. wobec członków Trybunału Konstytucyjnego lub innych urzędników powołanych w ostatnich latach, to – jak rozumiem – jest już trafne, odpowiednie i nie budzi oporów.

Z autorem cytowanego tekstu miałem przyjemność spotykać się w latach 90. w redakcji, w której wtedy pracowałem. Zdarzało się, że na korytarzu przy oknie spieraliśmy się przez dłuższy czas, ale była to rozmowa kulturalna, z jego ust nie wylewały się pomyje, jakie teraz przelewa na papier. A przede wszystkim nie było w nim tej ogromnej pogardy, którą dziś zionie na wszystkie strony.

Nie sądzę, aby była to tylko kwestia starzenia się, bo ów publicysta zaczął swoją hejterską przygodę już dobrych parę lat temu. Jemu wolno, bo atakuje prawicę, gdybym ja użył podobnych obelg, np. wobec gejów, to pewnie bez sądowego oskarżenia by się nie obeszło.

Autor jest senior research fellow w projekcie Ordo Iuris Cywilizacja



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Powyborcze refleksje

Trudno nie dostrzegać znaczenia UE, a więc i roli PE w dobie „zielonej transformacji”, która zasadniczo zmienia tryb życia Europejczyków i stanowi zagrożenie dla zdecydowanej ich większości. Na własnej skórze odczuwają to zwłaszcza rolnicy. Część z nich mobilizuje się i organizuje protesty, również na ponadnarodową skalę. Sporo wymagają one od uczestników: pociągają koszty, niewygody, a niekiedy i realne ryzyko. Jeśli więc pojawia się możliwość wyrażenia sprzeciwu, który nie wiąże się z żadnymi niedogodnościami, a sprowadza do postawienia znaczka na karcie wyborczej, można by oczekiwać masowego uczestnictwa mieszkańców polskiej wsi w wyborach do PE.

W rzeczywistości wyniosło ono 36 proc.

Konieczność obrony polskiego terytorium przed białorusko-rosyjską agresją stała się obecnie oczywista dla ogromnej większości Polaków. Jej dramatyzm wskazuje zabicie polskiego żołnierza przez jednego z agresorów, czego niestety można było oczekiwać, obserwując narastającą radykalizację grup szturmujących nasz kraj. Nie ma dziś w Polsce znaczącej siły politycznej, która wyłamywałaby się z solidarnej obrony naszej granicy.

Tak jest jednak dopiero od ostatnich wyborów. Wcześniej opozycja wraz z intelektualnym establishmentem kraju robiła wszystko, aby sabotować wysiłki obronne ówczesnej władzy. Rządzący obecnie politycy przedstawiali jako zbrodnię ochronę państwa i nie było wręcz oskarżeń oraz epitetów, do których nie posunęliby się w celu dezawuowania polskiego wysiłku obronnego. Nierzadkie były porównania do nazistowskich praktyk. Oszczerstwa i pomówienia pod adresem polskiej Straży Granicznej były na porządku dziennym. Funkcjonariuszy oskarżano o masowe morderstwa. Towarzyszyło temu zapraszanie organizowanych przez Łukaszenkę „uchodźców” do Polski i wezwanie, aby rząd kierowany humanitaryzmem otworzył dla nich granicę.

Opozycja w Polsce oraz wspierające ją dominujące ośrodki opiniotwórcze zachowywały się jak agenci Putina. To, że kierowała nimi nie miłość do Moskwy, a nienawiść do rządzącego PiS, zmienia niewiele. W tym samym czasie państwa bałtyckie poddane podobnej operacji potrafiły zademonstrować ponadpartyjną solidarność. Stronnictwo Tuska zaprzeczyło jej w całej rozciągłości. Sam lider, jak zwykle wykazał się sporą przebiegłością i osobiście nie angażował się w antypaństwową hucpę, choć często podsyczał ją i nigdy nie próbował powstrzymać uderzającej w polską rację stanu aktywności swojego ugrupowania.

To wydarzenia dziejące się w ostatnich latach i nie potrzeba żadnego wysiłku, aby je przypomnieć. Czy można akceptować ugrupowanie, które poświęca narodową rację stanu na rzecz partyjnego interesu?

Okazuje się, że znacząca grupa Polaków nie ma z tym problemu. Mało tego. Do PE wybrany został Dariusz Joński, który wraz z Michałem Szczerbą organizowali groteskowy happening przyjmowania gości z białoruskiej granicy.

Zostawmy na boku mniejszość opętaną ideologiczną nienawiścią, która określa jej horyzonty poznawcze. Czy jednak 60 proc. niegłoszących Polaków to idioci, którzy nie dostrzegają związku między losami swoimi a zbiorowości, w której żyją? Taka jest grecka etymologia tego słowa. Czy usprawiedliwia ich to, że żyją w „liberalnej demokracji”, wcieleniu czystej racjonalności podobno, która poprzez system prawny ma urzeczywistniać prawa człowieka?

System ten ma być nadzorowany przez najlepszych i tak doskonale, że jeśli ktoś ma wobec tego wątpliwości, jako populistę winien być wykluczony z życia publicznego. Obywatele przyuczani do tego, że nic od nich nie zależy, przestają uczestniczyć w rytuale wyborów, który i tak nic zmienić nie może, gdyż jeśli wynik będzie inny niż oczekują tego elity, szybko zostanie skorygowany.

W Polsce bierność ta pogłębianą jest przez kompleksy wobec Zachodu, które kulturuje nasz establishment, tłumacząc, że bez kurateli Brukseli i Berlina Polska przekształciłaby się w zarządzane przez Moskwę dzikie pola. Wbrew elementarnym faktom wbija się Polakom do głów, że rozwijają się wyłącznie dzięki europejskim funduszom strukturalnym. Dlatego istotną rolę w wyborach parlamentarnych odegrać mogły obietnice Tuska, który deklarował (tym razem prawdziwie), że jego zwycięstwo oznacza odblokowanie dla Polski funduszy europejskich.

Ci, którzy uwierzyli w podrzędność i zależność Polski, nie analizują skandalu, jakim jest tego typu ingerencja zagranicznych ośrodków w demokratyczne podobno wybory w naszym kraju i nie zastanawiają się, że brak owych funduszy nie wpłynął na stan naszej gospodarki. W większości nie podoba im się zielona transformacja czy pakt imigracyjny, ale liczą, że Tusk i jego ekipa więcej potrafią wynegocjować, czytaj: uprosić, od zagranicznych zarządców.

Zadanie, które stoi przed niepodległościowymi ugrupowaniami w Polsce, jest więc proste, choć trudne. Musimy przekonać rodaków, że na nic nie jesteśmy skazani, zwłaszcza na Unię, szczególnie zaś w jej obecnym kształcie.





Walizka

ks. Wojciecha Pieniaka

kapelana Fundacji Warszawskie Hospicjum Dla Dzieci



Odkład sięgam pamięcią, były wyjazdy ze znajomymi pod namiot na Mazury. Potem umiłowalem góry – Tatry, Beskidy, później Bieszczady, następnie były kilkudniowe spływy kajakowe, najczęściej Krutynią i Czarną Hańczą. Kolejny etap moich podróży to pielgrzymki. Na Jasną Górę dotarłem pieszo ok. 20 razy. Bywałem też na pielgrzymkach zagranicznych: dwa razy do Ziemi Świętej, do Włoch, pięć razy do Medjugorie. Nie zapomnę mojego pierwszego wyjazdu do Rzymu i audiencji u Ojca Świętego, który wtedy był już bardzo zmęczony i schorowany. Moment, w którym na mnie spojrzał, wyciągnął dłoń w moim kierunku, czyniąc znak krzyża, był dla mnie bardzo szczególny.

Teraz podróżuję głównie do moich podopiecznych, których choroby nie rokują długiego życia – to kwestie dni, tygodni, miesięcy, czasami lat. Co robię podczas takich wizyt? Przede wszystkim rozmawiam. Sprawuję wszelkie sakramenty: odprawiam mszę świętą, udzielam komunii świętej podopiecznym i ich rodzicom, spowiadam i uczestniczę w uroczystościach pogrzebowych. Udzielam też sakramentu chorych i chrzczę dzieci nieochrzczone. Zdarzają się też maluchy, które stoczyły w szpitalu wygraną walkę o życie, ale ich stan zdrowia wymaga pomocy rodzicom, aby mogli wejść w życie domowe. Gdy przychodzi nowy pacjent, rozmowy z jego rodzicami mają charakter przede wszystkim duchowy; odpowiadamy na wiele pytań, dzielimy się doświadczeniami innych rodzin. W naszej pracy hospicyjnej staramy się sprawić, żeby nasze dzieci mimo ciężkiej choroby i krótkiej egzystencji żyły, cierpiąc jak najmniej, a jeśli to możliwe – były szczęśliwe. W hospicjum wspaniały zespół specjalistów otacza dzieci i ich rodziny opieką pod względem medycznym, psychologicznym, duchowym, a także materialnym, pokrywając koszty leczenia i pielęgnacji. Staramy się też spełniać marzenia dzieci i rodziców, np. fundując wyjazdy wypoczynkowe rodzinom.



RÓŻANIEC

Odmawiam sam, czasami z moimi podopiecznymi, czasami komuś podaruję. Często służy mi do odmawiania Koronki do Miłosierdzia Bożego. Jest to dla mnie bardzo ważna modlitwa, którą polecam innym – zanurza nas w tajemnicy Bożego miłosierdzia.



MONSTRANCJA

Nazwa pochodzi od włoskiego czasownika „monstrare”, czyli „pokazywać”. W niej wystawia się Najświętszy Sakrament. Służyła mi przez wiele lat, kiedy posługiwałem w grupie Odnowy w Duchu Świętym „Magnificat” w Radzyminie i co miesiąc prowadziliśmy modlitwę o uzdrowienie.



SZATY LITURGICZNE

W liturgii rzymskiej stula to rodzaj szarfy symbolizującej belkę krzyża, którą niósł Chrystus. Jest zakładana na albę, długą, białą szatę, na którą z kolei nakłada się ornat, ozdobna główna szata liturgiczna, zakładana do mszy świętej i związanych z nią czynności.



DZIENNICZEK SIOSTRY FAUSTYNY

Korzystam z niego osobiście. Czasem też, gdy głoszę rekolekcje, czytam pewne jego fragmenty, które są bardzo mocne, jeżeli chodzi o ukazanie pragnienia Jezusa Chrystusa, by człowiek się nawrócił. On wręcz prosi nas, żebyśmy do niego przychodzili i korzystali z jego miłosierdzia.



PODRĘCZNIK „UWIERZYĆ JEZUSOWI”

Jak mówi św. Paweł, „Przeto wiara rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś co się słyszy, jest słowo Chrystusa”. Ten podręcznik służy do przeżycia rekolekcji Lectio Divina, modlitwy słowem Bożym. Uczę się słuchać słowa Bożego, żeby moja wiara była silna, mocna i pewna.



KSIĘGI LITURGICZNE

Czarna z rytuałem pogrzebowym, mniejsza zielona z sakramentem chorych, zielona z obrzędem chrztu dzieci.



OJCIEC DOLINDO

Akt oddania się Jezusowi „Jezu, Ty się tym zajmij” podyktował ks. Dolindo Ruotolo sam Jezus. To modlitwa o ogromnej mocy, jej efekt zaskoczył wiele osób.



PREZENTY

Często rodzice, dziękując za opiekę nad ich dziećmi, wręczają nam pamiątkowe prezenty. Wiąż, jaka zostaje pomiędzy nami, jest nierozwalna, bo traktują nas jak najbliższą rodzinę, na którą mogli i mogą liczyć w najtrudniejszych momentach.

hospicjum.waw.pl



KIELICH, PATENA, CYBORIUM

Kielich mszalny to najważniejsze naczynie liturgiczne służące do spożywania wina, które podczas przeistoczenia staje się krwią Pańską. Na patenie podczas sprawowania Eucharystii spoczywa hostia, która podczas przeistoczenia staje się ciałem Jezusa Chrystusa. Z kolei cyboryum, potocznie zwane hostiarką, jest naczyniem przeznaczonym do przechowywania hostii.

NACZYNNKA NA ŚWIĘTE OLEJE

Jeden olej jest przeznaczony do namaszczenia chorych dzieci, drugi do Chrztu Świętego.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Teraz się zacznie

To były bardzo ciekawe wybory. Z kilku powodów. Donald Tusk odniósł sukces w postaci szybkiej konsumpcji przystawek (osiem miesięcy wystarczyło!), Prawo i Sprawiedliwość pierwszy raz od 10 lat spadło na drugie miejsce, acz poprawiło swój wynik z października i ma szansę wyciągnąć wnioski przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi, które w kalendarzu wyborczym przypadają na 2027 r.

Trzecia Droga okazała się jednak czwartą i tak naprawdę jej agonia jest kwestią czasu, a przetrwaniu tej, wydawać by się mogło jeszcze niedawno, popularnej koalicji nie pomoże konieczność osobnego startu jej liderów w wyścigu prezydenckim. Lewica – cóż, ani nie jest lewicowa, ani niezależna, co zostało w dość stanowczy sposób ocenione przez jej wyborców. Jeśli jej liderzy nie zrozumieją, że ciągle granie tematami aborcji i tęczowej agendy okołoseksualnej nic nie daje, a raczej przynosi skutek odwrotny od zamierzonego, to lewicę czeka powrót do losu SLD, który stał się nieatrakcyjną, nikomu niepotrzebną partią. Znaczący teraz jest ona potrzebna Donaldowi Tuskowi, ale praktyka pokazała, że tylko jako

narzędzie, a nie podmiot koalicyjny, zdolny realizować jakiekolwiek swoje postulaty.

Los przystawek jest o tyle intrygujący, że im bardziej są zżerane, tym bardziej uśmiechają się do konsumującego je Tuska. Najlepiej obrazuje to fakt, że pierwsze, co padło z ust Roberta Biedronia i Szymona Hołowni w ich wystąpieniach w trakcie wieczoru wyborczego, to słowa hołdu złożonego Koalicji Obywatelskiej.

Na tym tle wybija się Konfederacja, która, trzeba przyznać, „wykręciła” naprawdę świetny wynik, stając się trzecią siłą w Polsce. To jednak może być paradoksalnie zagrożenie dla ugrupowania Sławomira Mentzena, bo im większe poparcie, tym większy apetyt wyborców, żeby udowodnili, że umieją realizować to, o czym mówią, a więc potrzeba, by zaczęli w końcu rządzić. Sami nie są w stanie, co oczywiste, dlatego pojawia się pytanie: z kim? Na razie zdolność koalicyjna Konfederacji jest zerowa. Czy to się zmieni w ciągu trzech lat? Cytując pana Zenka: będzie się działo, będzie zabawa. 



**Samuel
Pereira**

To było ważne doświadczenie

Z aktorem **Mikołajem Roznerskim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

TVP po raz kolejny wyemitowała serial „Będziemy mieszkać razem”, a końca wojny, nie tylko w Ukrainie, nie widać.

Mikołaj Roznerski: Wojna zawsze i wszędzie jest tragedią. Chciałbym liczyć na to, że szybko się skończy, ludzie przestaną cierpieć, ale wszyscy wiemy, że to nie takie proste.

Jak wspomina pan udział w tym projekcie?

To było ważne doświadczenie, za które też mi się oberwało. Pewnie od jakichś rosyjskich trolli. Serial nie miał mieć misyjnego charakteru. Opowiadaliśmy historię o ludziach, miłości (do bliskich, ale też do ojczyzny), tęsknocie, lęku, poczuciu straty, niepewności, co dalej. O całej

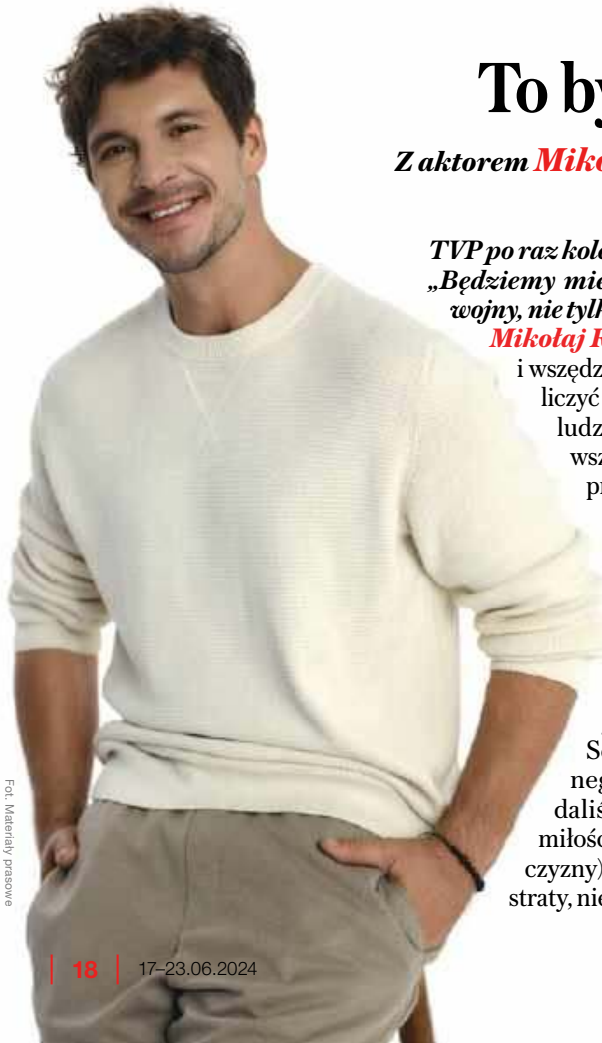
gamie uczuć, które pojawiają się w tak dramatycznych okolicznościach.

Czy obecność na planie aktorów i statystów z Ukrainy zmieniała pańską perspektywę w czasie grania?

Rozumiem tę perspektywę od dawna, interesuję się geopolityką, lubię wiedzieć, co się dzieje na świecie. Oczywiście jeśli jest się tak blisko z ludźmi, których kraju bezpośrednio dotknęła wojna, wiele kwestii rozumie się głębiej. I zyskuje większą świadomość.

Jako człowiek odpowiedzialny postanowił pan wziąć udział w pewnej kampanii?

Mój tata mawiał, że nie będzie chodził do lekarza, bo jeszcze coś znajda. Ja dojrzałem do innego spojrzenia, stąd mój udział w akcji „Badaj się regularnie”, bo przecież lepiej zapobiegać, niż leczyć. Taka postawa oznacza odpowiedzialność wobec nas samych, a także wobec naszych bliskich. 



GOTOWI NA WSPANIAŁE...
WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?

©NBC UNIVERSAL

COLUMBO, PON.-CZW. 20:00, WEEKENDY 14:50

Sprawdź!
antena^{HD}

AUSTRALIJCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. 18:00

77TV, PIĄTEK 22:00, PON.-PIĄT. 12:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T	CANAL+	VECTRA	UPC	PLAY	INEA	TOYA	ORANGE
15	58	161	167/126	42	72/247	112	248

W obronie krzyża

Dla uczczenia jubileuszu 40-lecia uczniowskiego strajku w obronie zdejmowanych przez dyrektację krzyży (Zespół Szkół Rolniczych w Mięt-nem, 1984 r.) podjąłem się napisania okolicznościowego oratorium. Realia tamtych czasów znam z autopsji; w latach 1979–1981 pracowałem jako nauczyciel w TBO Conradinum w Gdańsku. I zdarzało mi się wyciągać z aresztu uczniów, zatrzymywanych przez milicję np. za noszenie opornika w kłapie.



Formuła koncertu powinna być atrakcyjna i zrozumiała dla współczesnego odbiorcy. Ale jak w dobie powszechnej laicyzacji przybliżyć współczesnym maturzystom świat wartości ich rówieśników sprzed czterech dekad? Czy istnieje dziś idea, za którą oderwane od realiów nastolatki gotowe by były poświęcić swoją przyszłość? I jak zaszczerpić współczesnym pedagogom misję przekazywania prawdy, również tej historycznej? Wbrew ideologicznemu szantażowi władzy, wbrew ostracyzmowi zdemoralizowanego środowiska, w obronie prawa, dobra i zdrowego rozsądku?

15 premierowych ballad, opowiadających chronologicznie przebieg strajku, ma ogromny ładunek emocjonalny. Wrażliwa, pilna, poukładana, a także niestroniąca od radosnej zabawy młodzież zderza się nagle z brutalną ingerencją socjalistycznej szkoły. Stając do walki w obronie krzyża, wiary i polskości w konfrontacji z aparatczykami reżimu i oddziałami ZOMO, ówcześni uczniowie wykazują się ogromną dojrzałością, odwagą i determinacją. W tej nierównej walce bezcenna jest koleżeńska solidarność, wsparcie rodziców, również niektórych nauczycieli, opieka kapłanów i słowa pocieszenia płynące z Watykanu. W końcu eskalacja komunistycznej przemocy (zastraszanie, lojalność, wyrzucanie ze szkoły czy interwencja MO) załamuje się. Krzyż wraca znów do szkoły.

PS Na premierze „Nauki o Miłości, Odwadze i Krzyżu” były łzy wzruszenia, bisy, owacje na stojąco. I, co krzepi, mnóstwo młodzieży, zarówno na widowni, jak i na scenie. Zapraszam na YouTube i do TV Trwam. **Lech Makowiecki**

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

FAKT, ŻE TYLKO GDZIEGDIŚ JEST WOLNOŚĆ SŁOWA, NIE OZNACZA, ŻE DZIENNIKARZY PODAJĄCYCH NIWYGODNE FAKTY NIE BĘDZIE MOŻNA ROZLICZYĆ...



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ ODZIOY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZIŚ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: L. SZYMAŃSKI/PAP, W. OLUSIUK/EASTNEWS, P.S.P., SHUTTERSTOCK/4

Nadchodzi „ubogacenie kulturowe”

Krażące w wyborczą niedzielę w internecie nagranie przedstawiające czarnoskórego mężczyznę dewastującego samochody i przewracającego jadącego na hulajnodze kuriera w biały dzień przy świadkach zaintrygowało i zbulwersowało zarazem wielu internautów. W pierwszej chwili wydawało się, że filmik przedstawia jedną z wielu podobnych sytuacji nagminnie zdarzających się w tych państwach europejskich, które zdecydowały się przyjmować nielegalnych migrantów. Okazuje się jednak, że szokująca scena rozegrała się na warszawskim Gocławiu, na osiedlu położonym tuż obok snobistycznej Saskiej Kępy, można powiedzieć – w sercu polskiej stolicy.

Poprawność polityczna nakazuje, by stwierdzić, że dzięki gorliwym osobom, które zdecydowały się uwiecznić przybysza, byliśmy świadkami aktu „ubogacania kulturowego” i człowiek ten był do swoich czynów poniekąd uprawniony, bo wszelka krytyka jego oczywiście karygodnego zachowania będzie równoznaczna z okazywaniem braku tolerancji – swoją drogą jednego z najbardziej pojemnych pojęć w dziejach najnowszych.

Od kilkunastu dni konserwatywne media informują, że na terytorium RP są przyjmowani migranci z Niemiec, których liczba przekracza już kilka tysięcy, a samorządowcy otrzymują od wojewodów pisma obligujące ich do rozeznawania się w sprawie możliwości osiedlenia imigrantów innych niż uchodźcy z Ukrainy (co jest wyraźnie wskazywane) w lokalnych obiektach, a także w prywatnych ośrodkach. Reasumując – lokalni władarze mają szukać miejsc na przyszłe obozy dla migrantów?

Trzeba przyznać, że w opisanej sprawie aktualnie rządzący wykazują się wyjątkową gorliwością, skoro tzw. pakt migracyjny ma obowiązywać od 2026 r. Zatem wiele wskazuje na to, że w istocie mamy być beneficjentami tegoż paktu, a korzyść będzie polegać na urozóżnorodnieniu naszego społeczeństwa i sprawieniu, że nasza codzienność będzie nieco bardziej skomplikowana poprzez rozlokowanie w Polsce niechcianych już za naszą zachodnią granicą najeźdźców odległych nam zarówno kulturowo, jak i mentalnie.

Obserwując samobójczy proces, któremu od wielu już lat poddaje się Unia Europejska i który za sprawą przyjętego paktu migracyjnego niechybnie przyspieszy, można się zastanawiać nad krótkowzrocznością i egoizmem współczesnych europejskich elit. Skazując Stary Kontynent na unicestwienie w sensie cywilizacyjnym (w rozumieniu planu zniszczenia najbardziej przyjaznej człowiekowi cywilizacji chrześcijańskiej, która przez wieki zapewniała rozwój i rozkwit Europy), zdają się ignorować nie tylko własne bezpieczeństwo, lecz także przyszłość swoich rodzin, dzieci i kolejnych pokoleń.

Co powoduje, że liberalno-lewicowy establishment za wszelką cenę stara się zdekomponować Europę, promując ideologię gender, aborcję, eutanazję i sztucznie niszczyć jej tożsamość, pozwalając na to, by strumień niechących się zasymilować nawet w kolejnych pokoleniach migrantów osiedlił się na Zachodzie? Celem ma być stworzenie utopijnego, nowego obywatela Europy,



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

pozbawionego kłopotliwego backgroundu w postaci tradycji, kultury i religii, a w konsekwencji posiadającego ograniczone zdolności krytycznego myślenia i łatwo podporządkowującego się rygorom nowego cesarstwa niemieckiego Unii Europejskiej.

Do 13 grudnia 2023 r. Polska była jednym z ostatnich państw w Europie, które bronią się przed rewolucją kulturową.

Obecny polski premier, powołując się na analogiczne rozwiązania funkcjonujące w Niemczech i we Francji, poinformował o projekcie nowelizacji ustawy o obronie ojczyzny i innych, która pozwoli m.in. na możliwość „użycia oddziałów Wojska Polskiego na terytorium państwa polskiego bez potrzeby ogłaszania stanu wyjątkowego czy wojennego”, czyli bez zgody prezydenta RP. Według ekspertów świadczy to o planowanym przyjmowaniu migrantów i związanym z tym spadkiem poziomu bezpieczeństwa, a w sprzężeniu z zapowiadanym projektem zmian w prawie pozwalającym na przeprowadzenie przeszkukania pod nieobecność właściciela lokalu lub przybranego świadka rysuje jaskrawą ścieżkę odejścia od zagwarantowanego nam w konstytucji RP demokratycznego państwa prawa, urzeczywistniającego zasady sprawiedliwości społecznej. 



Naszemu Koledze

Adamowi Kacprzakowi

oraz Jego Rodzinie

przekazujemy wyrazy głębokiego żalu i współczucia

z powodu śmierci

TATY

*W tych trudnych chwilach
zapewniamy o naszej modlitwie i pamięci*

*Redakcja portalu wPolityce.pl
oraz zarząd i pracownicy Grupy Medialnej Fratria*



Już tu są

Od początku roku Niemcy przerzucili do naszego kraju tysiące nielegalnych migrantów. Rząd po cichu poszukuje dla nich miejsc noclegowych, a Polacy obawiają się, że rzeczywistość miast zachodniej Europy dopadnie i nas. Trudno przypuszczać, by było inaczej. Takich scen jak z warszawskiego osiedla, gdzie odurzony Rwandyjczyk skakał po dachach samochodów, widocznych na zdjęciach powyżej, będzie przybywać. Czy władza ma jakiś plan, co z tym zrobić?



MAREK PYZA

W ostatnim czasie do naszej redakcji zgłaszają się czytelnicy coraz bardziej zaniepokojeni widokami, jakie napotykają na ulicach swoich miast. Z Warszawy, Poznania czy Białej Podlaskiej dostajemy sygnały o szwendających się bez celu grupkach młodych ciemnoskórych mężczyzn.

W internecie pojawiają się filmy z patologicznymi zachowaniami przybyszów z dalekich krajów, które dotychczas znaliśmy z Francji, Belgii czy Włoch. Polacy słusznie zaczynają się martwić o swoje bezpieczeństwo. I mają powody do wątpliwości, czy nowa władza to zatrzyma.

Fot. Screen/Warszawa Gościw

JAK NA ZACHODZIE

Czerwcowe popołudnie na jednym z osiedli prawobrzeżnej Warszawy. Do zaparkowanego przy ul. Rodziewiczówny auta próbuje się włamać czarnoskóry mężczyzna. Majstruje coś przy podwoziu samochodu, szarpie za klamki. Wskakuje na tył pojazdu, na chwilę siada, coś gestykuluje. Schodzi i zatrzymuje przejeżdżające auto. Salutuje, uderza w maskę, po chwili odchodzi na bok, zaczepia kolejnego kierowcę. Jego zachowanie jest dziwne, wskazuje na zażycie narkotyków. Gdy obok przejeżdża mężczyzna na hulajnodze, zostaje z niej zepchnięty. Wstaje, dochodzi do wymiany zdań, lecz bez rekoczynów. Wtedy z parkingu obok wychodzi pracownik ochrony uzbrojony w jakąś palkę. Dopiero wtedy Rwandyjczyk (jak się niebawem okaże) bierze nogi za pas.

Wszystko mogliśmy zobaczyć na filmie zarejestrowanym z jednego z okolicznych balkonów. Kolejny mieszkaniec Gocławia sfilmował tego samego wandala, gdy chwilę wcześniej skała po dachu innego auta. Mężczyzna po kilkunastu minutach został zatrzymany przez policję. 26-latek usłyszał zarzut niszczenia mienia.

Nagranie błyskawicznie obiegło internet. W komentarzach dominują smutne konstatacje, że w Polsce zaczyna się to, z czym od lat zmagają się zachodnia część kontynentu, która tak szeroko otworzyła się na migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu.

Kilka dni później w mediach społecznościowych pojawia się inny film. Z góry widzimy na ciasnym podwórku w Poznaniu Murzyna ubranego tylko w białe spodnie i białe buty, wymachującego dużym, kilkudziesięciocentymetrowym nożem. Zarejestrowana wymiana zdań (łamaną angielszczyzną...) może świadczyć o kłótni dwóch homoseksualnych panów (a może to bracia lub po prostu kumple). Spierają się bowiem, czy jeden kocha drugiego. Nagranie trwa niespełna pół minuty. Nie dochodzi na nim do żadnych przestępczych zachowań (nie licząc ewentualnego zakłócania ciszy nocnej i wymachiwania nożem), ale sąsiedzi są zatruwani.

Czy zdarzają się i Polacy zachowujący się w podobny sposób? Pewnie. Ale czy

to naprawdę są jednostkowe przypadki, na które można machnąć ręką?

Oba filmy są oczywiście tylko jednostkowymi zdarzeniami, lecz wpisują się w zmieniający się w Polsce krajobraz. W ostatnich kilku latach na ulicach polskich miast i miasteczek znacznie przybyło cudzoziemców. To nic dziwnego w globalnej wiosce, jaką stał się nasz świat. Nic dziwnego również w Polsce, która przyjęła setki tysięcy obcokrajowców – uzupełniających niedobory na naszym rynku pracy, a także prawdziwych uchodźców wojennych uciekających przed rosyjskimi bandytami.

Jednak nie trzeba specjalnej wiedzy, by odróżnić szukających u nas bezpiecznej przystani i asymilujących się z naszym

W internecie pojawiają się filmy z patologicznymi zachowaniami przybyszów z dalekich krajów, które dotychczas znaliśmy z Francji, Belgii czy Włoch. Polacy słusznie zaczynają się martwić o swoje bezpieczeństwo

społeczeństwem Ukraińców czy ciężko pracujących migrantów ze wschodniej i południowej Azji od młodych byczków z Afryki czy Bliskiego Wschodu, jakich dotychczas widywaliśmy wyłącznie na zdjęciach z łodzi przybijających do brzegów Włoch czy Hiszpanii.

Bezpośrednią przyczyną jest uruchomiony w 2021 r. przez Putina i Łukaszenkę migrancki szlak przemytniczy i szturm na polską granicę. Ale zasadniczym źródłem tego zjawiska jest polityka migracyjna Zachodu, a zwłaszcza Niemiec, której opieraliśmy się przez ostatnie osiem lat (choć, fakt, rząd Zjednoczonej Prawicy też mógł zachować większą wstrzeźliwość przy otwieraniu rynku pracy na – legalnych! – cudzoziemców). Dziś to zjawisko realnie zaczyna dotyczyć i nas.

KTO MÓWI PRAWDĘ?

W związku z presją ze Wschodu problem narasta, i to w tempie geometrycznym. Dlatego w miniony czwartek w Sejmie na wniosek klubu PiS odbyła się debata o migracji. Wiceszef MSWiA Maciej Duszczyk zarzekał się, że Polsce nie grozi żadna przymusowa relokacja. Ale nie zmienia to faktu, że jego zdaniem tzw. pakt migracyjny przyjęty przez Unię Europejską jest zagrożeniem. „Solidarność – tak jak jest zaproponowana – oczywiście, że nie jest specjalnie korzystna dla nas. Trzeba do niej podejść w taki sposób, żeby ta solidarność nigdy nie weszła w życie. [...] Zrobimy wszystko, by pakt w takiej formie nie wszedł w życie” – mówił wiceminister. Powoływał się m.in. na koalicję 15 państw, które sprzeciwiają się paktowi i podpisały list w tej sprawie.

Ale skoro według głównego urzędnika zajmującego się w rządzie migracją pakt jest niekorzystny dla Polski, to trzeba postawić pytanie: dlaczego premier przekonywał, iż to świetne rozwiązanie, na którym Polska skorzysta?

14 maja po posiedzeniu Rady Ministrów Donald Tusk chwalił się, że jego rząd wynegocjował w dokumencie takie zapisy, które czynią go „dużo mniej groźnym w konsekwencji niż na początku”. Jak dodał, pakt migracyjny „przyjęty w tym kształcie jak dzisiaj daje Polsce możliwości unikania jakichkolwiek negatywnych konsekwencji”. Wreszcie stwierdził: „Polska będzie beneficjentem paktu migracyjnego. Nie będziemy za nic płacić, nie będziemy musieli przyjmować żadnych migrantów z innych kierunków, Unia Europejska nie narzuci nam żadnych kwot migrantów”.

Słowa Tuska zdecydowanie odbiegają od tego, co w ub. tygodniu w Sejmie mówił wiceminister Duszczyk. Po prostu nic tu się nie zgadza.

Zresztą Tuska już wcześniej wspalał premier Francji. Pod koniec maja w czasie debaty telewizyjnej Gabriel Attal wypalił: „Ta solidarność to nie Francji będzie dotyczyć, nie te wioski francuskie, o których pan mówił, będą nią dotknięte, lecz kraje, które dziś odmawiają przyjmowania wnioskujących o azyl – kraje Europy Wschodniej. Czy zdaje sobie pan sprawę, że udało nam się skłonić je do podpisania porozumienia,

które mówi: albo przyjmiecie imigrantów jak Francja, Hiszpania czy Włochy, albo będziecie płacić za ochronę granic?”

To właśnie był cel państw Zachodu – podzielić się problemem z krajami, które nijak tu nie zawiniły. Jak więc mamy wie-
rzyć polskiemu premierowi, który mówi coś odwrotnego niż wszyscy inni?

RZĄD SZUKA NOCLEGÓW

14 maja Podlaski Urząd Wojewódzki w Białymstoku wysłał do wszystkich władz samorządowych w tym województwie pismo z prośbą o wskazanie „miejsc/ obiektów możliwych do wykorzystania przy masowym napływie cudzoziemców na terytorium RP”. Pismo, upublicznione przez posła Jacka Ozdobę z Suwerennej Polski dwa dni przed ciszą wyborczą, wywołało gorące dyskusje. Białostocki urząd pospieszył z wyjaśnieniem, że dokument jest błędnie interpretowany. „Sprawa nie ma nic wspólnego z nielegalnymi migrantami. Aktualizujemy bazę danych o ośrodkach dla cudzoziemców – jest to standardowa procedura powtarzana co kilka lat we wszystkich województwach. Ostatni raz samorządowców prosiliśmy o to w 2022 r.” – czytamy we wpisie na platformie X (d. Twitter). Na dowód urząd zamieścił podobne pismo sprzed dwóch lat.

Jednak to świeże różni się jednym, ale bardzo znaczącym szczegółem. Obecnie PUW zaznacza bowiem, że miejsca noclegowe są poszukiwane z myślą o cudzoziemcach „innych niż objętych pomocą na podstawie ustawy z dnia 12 marca 2022 r. o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa”.

Już w pierwszym akapicie mamy więc wyraźne zaznaczenie, że obiekty te nie będą przeznaczone dla uchodźców wojennych. A zatem dla kogo?

Pismo z Podlasia jest datowane na 14 maja, a termin na nadesłanie wykazu miejsc noclegowych wyznaczono samorządowcom na 7 czerwca. Odpowiedź ma mieć formę „edytowalnej i wypełnionej tabeli Excel”, co sugeruje, że wtedy na poziomie centralnym tworzona miała być baza dla całego kraju.

Tymczasem już po tym terminie, bo 10 czerwca, Lubelski Urząd Wojewódzki

wyznacza lokalnym władzom w regionie inne zadanie. Już nie mamy tu powołania się na Standardowe Procedury Operacyjne nr 9 Krajowego Planu Zarządzania Kryzysowego (a tak było na Podlasiu), lecz następującą argumentację: „Biorąc pod uwagę dynamiczną sytuację geopolityczną oraz fakt realnego wystąpienia nagłego przyływu uchodźców wojennych z terenu Ukrainy, zwracam się z poleceniem weryfikacji miejsc zbiorowego zakwaterowania obywateli ukraińskich na administrowanym przez Państwa terenie”.

Skoro według głównego urzędnika zajmującego się w rządzie migracją pakt jest niekorzystny dla Polski, to trzeba postawić pytanie: dlaczego premier przekonywał, iż to świetne rozwiązanie, na którym Polska skorzysta?

To pismo zdumiewa, bo żadne analizy dotyczące wojny za naszą wschodnią granicą nie wskazują na jakąkolwiek ewentualność pojawienia się w Polsce kolejnej fali uchodźców. Wręcz przeciwnie – rosyjska ofensywa się załamała, a ostatnie przełomowe decyzje sojuszników Kijowa o przekazaniu Ukraińcom baterii Patriot, myśliwców F-16 czy zgodzie na rażenie celów na terenie Rosji każą raczej spodziewać się ukraińskiego kontruderzenia i wreszcie pozytywnej zmiany dla broniącego się przed Moskalami państwa.

Dokument sprzed tygodnia wygląda więc raczej na nieudolną próbę gaszenia pożaru, który wybuchł tuż przed wyborami europejskimi.

NIEMIECKI CIOS W PLECY

Nie można tych pism lekceważyć, zwłaszcza w obliczu danych napływających z granicy polsko-niemieckiej. Okazuje się bowiem, że to z tego kierunku do Polski trafiają duże liczby nielegalnych migrantów.

3 czerwca skalę tego zjawiska ujawniła zajmująca się tematyką naszych zachodnich sąsiadów dziennikarka Aleksandra Fedorska, która zwróciła się do policji federalnej o dane dotyczące migrantów odsyłanych do Polski.

Po otrzymaniu informacji napisała na X: „W okresie od 1 stycznia do 30 kwietnia 2024 r. policja federalna zarejestrowała łącznie 5621 osób, które nielegalnie przekroczyły granicę polsko-niemiecką. Spośród nich zawrócono do Polski 3578 osób”. Co się z nimi stało? Dokąd trafiły? Co to za ludzie? Pytania, które frapowały Fedorską, do dziś nie doczekały się odpowiedzi.

Szokująca w tej sprawie jest nie tylko skala wysyłki cudzoziemców przez Niemcy, ale przede wszystkim rozbieżności w liczbach. Jednocześnie bowiem Straż Graniczna przekazała zajmującej się tematem dziennikarce, że przyjęła ledwie 188 obcokrajowców. Skąd te rozbieżności? Do dziś nie wiadomo.

Konkret24, czyli serwis fact-checkingowy TVN24, próbował zidentyfikować tę kwestię jeszcze przed wyborami, 7 czerwca. Skupił się jednak na walce z internetową twórczością polityków oraz zwykłych użytkowników sieci i w długim tekście przekonywał przede wszystkim, iż doniesień Fedorskiej nie wolno nazywać „relokacją” i wiązać z paktem migracyjnym, bo ten jeszcze nie obowiązuje. Wytrwały czytelnik, który dobrnął do końca tego tekstu, mógł jednak w ostatnim akapicie przeczytać: „Poprosiliśmy niemiecką policję o wyjaśnienia, czego i jakich osób dotyczy liczba 3578 (czyli w jakim trybie znalazły się z powrotem w Polsce). Funkcjonariusz Bundespolizei telefonicznie potwierdził nam autentyczność liczby z posta Fedorskiej. Przekazał, że otrzymamy szczegółowe dane i wyjaśnienia, także z rozbiorem osób zawróconych do Polski według narodowości, lecz do publikacji tekstu ich jeszcze nie otrzymaliśmy”.

O te olbrzymie rozbieżności pytali też posłowie opozycji wiceministra Duszczyka w czasie wspomnianej debaty sejmowej. Ten podzielił się z parlamentarzystami jeszcze innymi danymi. Opowiadał o trzech różnych trybach prawnych, według których cudzoziemcy byli odsyłani z Niemiec do naszego kraju w pierwszych



czterech miesiącach tego roku. I wyliczał: 266 osób, 156, 110. Razem daje to 532 ludzi (tylko 6 z nich złożyło u nas wnioski o ochronę prawną!), co odbiega zarówno od przekazanej przez naszą SG liczby – 188, jak i przekazanej przez Niemców – 3578.

Tu dochodzimy do kolejnego problemu: jak polskie służby weryfikują ludzi, których Niemcy chcą wypchnąć do Polski. Według wiceszefa MSWiA nasza strona każdorazowo potwierdza, że dany cudzoziemiec trafił za Odrę znad Wisły. Ale można w to wątpić, jeśli przyjrzymy się przypadkowi Jammala opisanemu przez Fedorską.

To imię mężczyzny, którego 13 maja wydano do Polski. Dziennikarka opublikowała dokument niemieckiej policji z Frankfurtu nad Odrą, na którym nie ma nawet nazwiska zainteresowanego. „Szanowny Panie Jammal, w związku z nakazem powrotu lub deportacji zostanie wydany tymczasowy zakaz wjazdu i pobytu [...]”. Niemcom wystarczyło, że pan Jammal poinformował w czasie przesłuchania, iż przybył z Polski. A może wcale nie ma na imię Jammal? Polskie służby też tego nie wiedzą. Ale według ustaleń dziennikarki podobnych przypadków mają tak dużo, że nie są już w stanie ich weryfikować.

ZMARNOWANE REFERENDUM

Oczywiście Niemcy mają nieporównywalnie większy problem z nielegalnymi migrantami. Jak podawał przed tygodniem „Die Welt”, od początku roku aż 103 467 osób złożyło tam wniosek o azyl. 60 proc. z nich deklaruje pochodzenie z Syrii, Afganistanu i Turcji. Wobec rosnącej złości społecznej (a w efekcie szybujących notowań populistycznej

partii AfD), Berlin zaostrzył więc politykę migracyjną.

Nie usprawiedliwia to jednak organizowania przez niemiecką policję łapanek na migrantów i wyrzucania ich za polską granicę.

Aż chciałoby się zapytać: gdzie ten celebrycki front obrony nacierających przed bezdusznymi mundurowymi?

Dlaczego Tuskwowi tak zależało, by Polacy nie głosowali w jesiennym referendum? Wiedział, że mandat, jaki w ten sposób dostanie od narodu władza (a zakładał, że władza to będzie on), nie pozwoli na potulną postawę wobec Berlina i Brukseli w kwestiach migracyjnych

Gdzie empatia aktoreczek i mało lotnych posłów z pizzą? Dlaczego nie protestują w Gubinie czy Słubicach i nie krzyczą o bezprawności pushbacków?

Ważniejsze jest jednak pytanie, dlaczego Polska pokornie przyjmuje tych ludzi. Dlaczego np. nie domagamy się twardych dowodów na to, że to dziurawy polski system przepuścił migrantów do Niemiec? Niech służby sąsiada martwią się potwierdzeniem, iż należy obarczyć tym kłopotem Warszawę.

Zwłaszcza, że clou problemu sprowadza się do chorej niemieckiej polityki „Herzlich willkommen”. Wszak to Berlin ścigał na Europę tę plagę, przy aktywnym wsparciu lewicowo-liberalnych środowisk z innych państw, również z Polski.

Operacja „Śluza” i jej kontynuacja w wykonaniu Moskwy i Mińska jest tego konsekwencją. A jej efekty? Zamordowany 21-letni sierż. Mateusz Sitek i tylko w tym roku ponad 50 poszkodowanych polskich obrońców granic, w tym 40 rannych żołnierzy (te dane za MON opublikował 6 czerwca „Dziennik Gazeta Prawna”)! Do tego wydane grube miliardy i zasadna wątpliwość, czy pozostaniemy krajem bezpiecznym, czy też również u nas – podobnie jak w Anglii, Niemczech czy Belgii – kobieta nie wyjdzie już samotnie pobiegać wieczorem po parku?

Z dzisiejszej perspektywy boleśnie widać, jak ważne było jesiennie referendum storpedowane przez Tuska. Kpił sobie (choć ze śmiertelnie poważną miną), że je unieważnia, a jego fanatycy klaskali w dłonie i skrzykiwali się na kretyńską akcję buntu obywatelskiego i niepozbierania kart referendalnych w czasie wyborów parlamentarnych.

Dlaczego ówczesnemu szefowi opozycji tak zależało, by Polacy nie głosowali w referendum? Wiedział, że mandat, jaki w ten sposób dostanie od narodu władza (a zakładał, że władza to będzie on), nie pozwoli na potulną postawę wobec Berlina i Brukseli w kwestiach migracyjnych.

Szukające, jak łatwo wielu Polaków dało się omamić i zrezygnować z nic niekosztującego gestu sprzeciwu wobec rażącego obniżania własnego bezpieczeństwa. Właśnie zaczynają poznawać cenę swojej beznamiętności.

Wielkie przemeblowanie

Wybory europejskie pokazały, że wzrosły szanse Prawa i Sprawiedliwości na odzyskanie władzy i wygranie wyborów prezydenckich

Gdy 9 czerwca 2024 r. o godz. 21.00 tuż po zamknięciu lokali w wyborach do Parlamentu Europejskiego pojawiły się wyniki exit poll, niektórzy komentatorzy sprzyjający obecnie rządzącym oraz oni sami pisali i mówili o nokautcie. Znokautowane miało być Prawo i Sprawiedliwość. Ale realne wyniki wyborów europejskich pokazały coś zupełnie innego. Gdyby przełożyć je na mandaty w Sejmie, koalicja 13 grudnia nie miałaby większości, a więc i władzy (policzył to Andrzej Machowski, od lat zajmujący się takimi układankami). Po ośmiu miesiącach od wyborów do Sejmu i Senatu rządzące Koalicja Obywatelska (KO), Trzecia Droga (TD) i Lewica miałyby tylko 218 mandatów, zaś będące w opozycji Prawo i Sprawiedliwość oraz Konfederacja – 242.

Od 15 października 2023 r. widać wyraźną tendencję spadku przewagi koalicji rządzącej jako całości w stosunku do obecnej opozycji: od 56 proc. do 44 proc. w wyborach do Sejmu i Senatu przez 55 proc. do 45 proc. w wyborach samorządowych (konkretnie w wyborach do sejmików wojewódzkich) po 51 proc. do 49 proc. w wyborach europejskich. W tych ostatnich koalicja rządząca uzyskała 27 mandatów w stosunku do 26 mandatów opozycji, ale wynika to tylko z podziału w ramach jednego ogólnokrajowego okręgu. Według ordynacji do Sejmu i Senatu podział mandatów byłby taki, że PiS miałoby ich 193 (o 1 mniej niż obecnie), Koalicja Obywatelska – 186 (o 29 więcej niż obecnie), a Trzecia Droga tylko 21 (o 44 mniej niż obecnie), zaś Lewica – 11 (o 15 mniej). Z kolei Konfederacja miałaby 49 miejsc w Sejmie, czyli o 31 więcej niż obecnie.

Widać wyraźnie, że minimalna wygrana KO z PiS w wyborach europejskich (37,06 proc. wobec 36,16 proc. i 21 mada-



STANISŁAW JANECKI

tów wobec 20) dokonała się kosztem partnerów z koalicji 13 grudnia. KO otrzymała o 6,36 pp. wyższe poparcie niż w wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r., zaś PiS zyskało tylko 0,58 pp. Ale Trzecia Droga dostała zaledwie 6,91 proc. głosów, zaś Lewica 6,3 proc., a to oznacza, że w stosunku do wyborów parlamentarnych w 2023 r. Trzecia Droga straciła aż 7,49 pp. – więcej niż połowę poparcia. Lewica straciła z kolei 2,31 pp. poparcia. Widać też, że PiS nie wzmocniło się kosztem Konfederacji, a wręcz przeciwnie, bowiem miała ona o 4,92 pp. wyższe poparcie niż w ostatnich wyborach parlamentarnych. KO przejęła znaczącą część wyborców Trzeciej Drogi i mniejszą część wyborców Lewicy, zaś PiS nie wzmocniło się kosztem Konfederacji, a nawet straciło na jej rzecz.

WYBÓR SILNIEJSZEGO

Po wyborach 9 czerwca 2024 r. w Parlamencie Europejskim nie jest potrzebna żadna koalicja partii składających się na obecny układ rządzący w Polsce (będą zresztą należeć do różnych frakcji). Wniosek: największa partia skonsumowała mniejsze. Dlaczego tak się stało? Bo KO bardziej niż Trzecia Droga i Lewica straszyla wyborców koalicji 13 grudnia, że wygrana PiS byłaby końcem ich świata, końcem Unii Europejskiej, a ostatecznie czymś w rodzaju rosyjskiej okupacji. Wprawdzie jest to absurdałne i nieprawdziwe, ale

wyborcy obecnego układu rządzącego mają ogromne, choć irracjonalne, pokłady lęku oraz uprzedzeń. Koalicja zlepią wokół Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej nieporównanie bardziej niż Trzecia Droga i Lewica wzmocniała strach, a jednocześnie nienawiść wobec PiS, natomiast w stosunku do Konfederacji nie było żadnej specjalnej mobilizacji. Zabrakło kampanii agresji i nienawiści wobec ugrupowania Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka.

Wielkim strachem wyborców KO można tłumaczyć ich karność: praktycznie głosowali na kandydatów według hierarchii ustalonej na listach przez Donalda Tuska (z małymi wyjątkami). Z kolei wyborcy PiS w znacznym stopniu nie przestrzegali hierarchii ustalonej przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego, stąd przegrana kandydatów mających wysokie miejsca na listach.

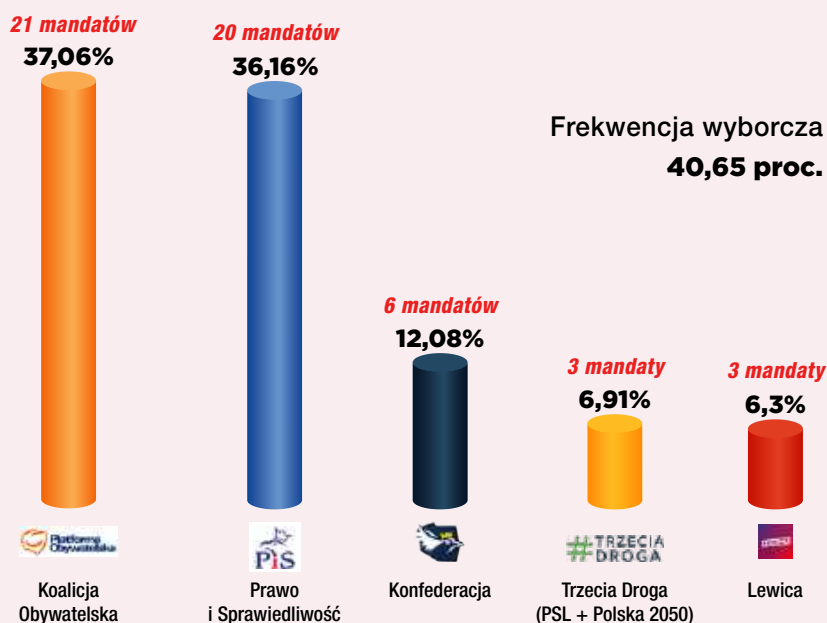
Skoro KO mobilizowała swoich wyborców strachem oraz koniecznością bezwzględnej walki z PiS, to zwolennicy tego ugrupowania z własnej woli ograniczyli swoje pole manewru. Z obawy, żeby ich indywidualne decyzje nie zaszkodziły partii. Oznacza to klasyczną ucieczkę od wolności, opisaną przez Ericha Fromma w stosunku do niemieckiego społeczeństwa w latach 30. XX w. Jego wnioski znacznie jednak wybiegają poza konkretny kontekst historyczny. Mówią o woli podporządkowania się silniejszemu, żeby nie rozpraszać realnej władzy. A to oznacza m.in. odmowę popierania tych, których uważa się za słabszych. I nawet rodzi chęć dominowania nad nimi.

Tuż przed wyborami europejskimi opinia publiczna dowiedziała się o zatrzymaniu i skuciu kajdankami żołnierzy, którzy oddali ostrzegawcze strzały, gdy zostali zaatakowani przez agresywny tłum nacierający na granicę



Wyniki wyborów w Polsce do europarlamentu 2024 r.

Źródło: PKW



ze strony Białorusi. W tym czasie walczył o życie (i ostatecznie tę walkę przegrał) żołnierz Mateusz Sitek, ugodzony nożem tak, że miał uszkodzone płuco i ośrodkowy układ nerwowy. Obie te sprawy kompromitowały rządzących, ale medialnie były rozgrywane w ten sposób, żeby uderzały przede wszystkim w wicepremiera i ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Onet ujawnił sprawę zatrzymanych żołnierzy tuż przed wyborami, co może skłaniać do podejrzeń, iż mogła to być ustawka pomagająca przede wszystkim Donaldowi Tuskowi. Jeśli sprawę zdetonowano, żeby zdążyć przed innymi mediami i w jakiś sposób zarządzać skutkami tego ujawnienia, to wybrano najlepszy czas. Detonacja tuż przed wyborami sprawiła, że Polacy jeszcze tego nie przetrawili i nie wyciągnęli wniosków, które byłyby niekorzystne dla Tuska i KO podczas głosowania. Ta sprawa zdążyła jednak uderzyć w ministra Kosiniaka-Kamysza. Sam się zresztą do tego przyczynił, ujawniając na konferencji prasowej 6 czerwca 2024 r., że o wszystkim wiedział. On wiedział, ale ukrył tę wiedzę przed opinią publiczną, co ministrowi obrony odbierało wiarygodność. Premier i koalicjanci z KO wcale nie bronili Kosiniaka-Kamysza. A wiceminister obrony z Polski 2050 Paweł Zalewski straszył, że strzelanie na granicy może wywołać wojnę z Białorusią, czyli w konsekwencji z Rosją i doprowadzić nawet do III wojny światowej. Z kolei politycy Lewicy *de facto* odbierali polskim żołnierzom prawo do samoobrony, potępiając użycie broni na granicy.

OSTRA GRA TUSKA

Jeśli na kryzys związany z dramatycznymi wydarzeniami na granicy z Białorusią nałożyć konsekwentne podgryzanie, a wręcz atakowanie Trzeciej Drogi przez polityków KO i Lewicy oraz przez przyjazne im media, Polska 2050 i PSL znalazły się na pozycji kozła ofiarnego. I nie dziwi, że to Trzecia Droga straciła najwięcej w wyborach europejskich. Ci, którzy ją atakowali, mieli świadomość, że w połączeniu ze słabym wynikiem w wyborach europejskich doprowadzi to do wewnętrznych konfliktów. I tak się stało.

Politycy PSL, np. Marek Sawicki czy Jarosław Rzepa, oraz m.in. największa przegrana spośród kandydatów Polski 2050 Róża Thun, zaczęli otwarcie mówić o tym, że formuła Trzeciej Drogi się wyczerpała i powinna zostać zmieniona, a może nawet ten polityczny byt powinien zakończyć swój żywot. Czyli Polska 2050 i PSL znowu miałyby działać jako odrębne podmioty polityczne. To oczywiście było zbieżne ze strategią Donalda Tuska wobec Trzeciej Drogi. Zresztą to jemu przypisuje się wpływ na to, jak i kiedy Onet ujawnił sprawę zatrzymanych żołnierzy.

Chęć rozbicia Trzeciej Drogi, widoczna już przed wyborami, co mogło mieć wpływ na ich wynik, jest częścią strategii Donalda Tuska, żeby Polskę 2050 i PSL sprowadzić do roli Nowoczesnej, czyli słabego satelity. Podobnie jak Lewicę. A gdyby się to nie udało, Koalicja Obywatelska wysłałaby z PSL i Polski 2050 wszystko, co by się dało i pozostała wydmuszka, które samodzielnie byłyby bez szans na przekroczenie progu wyborczego. Wtedy Lewica sama przyszyłaby do Tuska, i to na kolanach.

Donald Tusk ostro gra z Szymonem Hołownią i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, gdyż jest przekonany, że nie rozbiją oni koalicji rządzącej, bo w przyspieszonych wyborach razem czy oddzielnie mogliby ponieść klęskę, a jej zwiastunem są wyniki Trzeciej Drogi w wyborach europejskich.

Częścią strategii Tuska jest też maksymalne osłabienie szans Hołowni w wyborach prezydenckich w 2025 r. Premier ma na to szansę, gdyż w atmosferze rozliczeń i wzajemnych oskarżeń wewnątrz Trzeciej Drogi Szymon Hołownia, od miesięcy popierany przez PSL i Kosiniaka-Kamysza jako wspólny kandydat na prezydenta RP, wcale takim nie musi być. Wśród ludowców istnieje zresztą silna opozycja wobec Hołowni jako wspólnego kandydata. Partia przyznawałaby bowiem, że nie ma własnego dobrego pretendenta i traciłaby podczas kampanii wyborczej, w której praktycznie byłaby nieobecna, w dodatku popierając kandydata innej partii. A to sprzyja-

łoby decyzji Tuska, żeby samemu wystartować w wyborach prezydenckich, co by było ciosem w wewnętrznego partyjnego konkurenta, czyli Rafała Trzaskowskiego.

SZANSA DLA PiS

Wpływ na wynik wyborów europejskich miała wielka integracja mediów prorządowych, łącznie z „odzyskanymi” mediami publicznymi, które przez ostatnie prawie pół roku przedstawiały PiS jako złodziei i oszustów, ruskich agentów, partię dotkniętą kolesiostwem i nepotyzmem. Wymyślano fikcyjne pościgi za ukrywającymi się rzekomo kandydatami PiS, jak w wypadku Da-

Donald Tusk ostro gra z Szymonem Hołownią i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, gdyż jest przekonany, że nie rozbiją oni koalicji rządzącej, bo w przyspieszonych wyborach razem czy oddzielnie mogliby ponieść klęskę, a jej zwiastunem są wyniki Trzeciej Drogi w wyborach europejskich

niela Obajtka. Media aktywnie uczestniczyły w polowaniu na kandydatów Prawa i Sprawiedliwości, robiąc z nich przestępców i ucieleśnienie zła. Także specjalne sejmowe komisje śledcze były skupione głównie na przedstawianiu świadków z PiS i poprzedniego rządu jako przestępców – przede wszystkim dotyczyło to tych, którzy kandydowali w wyborach europejskich.

Cała machina państwa, w tym służby mundurowe i tajne, była zaangażowana w „demaskowanie” PiS i rządu Mateu-

sza Morawieckiego jako zorganizowanej grupy przestępczej. Dlatego wobec ludzi tej partii podejmowano działania ofensywne, przede wszystkim przy użyciu prokuratury, ABW, CBA i policji. Żeby powstało wrażenie, że to nie polityczni konkurenci, tylko pospolicie przestępcy. Przy ogromnej agresji wobec PiS, zastraszaniu kandydatów, ich rodzin i wyborców, używaniu prokuratury oraz służb wynik partii Jarosława Kaczyńskiego (różnica tylko 0,9 pp. i 1 mandatu) wydaje się sukcesem. Partia przetrwała chyba największą nagonkę w swej historii prowadzoną w przy użyciu wielu służb państwowych.

Wprawdzie skończyła się 10-odcinkowa seria zwycięstw wyborczych PiS, ale perspektywa odzyskania władzy (na razie w koalicji, ale to się może zmienić) jest całkiem realna. I to mimo błędów w kształcie list wyborczych. Wyborcy PiS dali sygnał, że woła polityków młodszych, mniej uwikłanych w stworzone przed laty hierarchie i układy lojalności.

Szczyt możliwości partii Jarosława Kaczyńskiego w dotychczasowej konfiguracji i hierarchii przypadł na 2019 r., gdy zdobyła ona poparcie na poziomie 43,59 proc., co było absolutnym rekordem III RP. I już po 2019 r. powinna się ona przygotowywać na inne czasy, nowe wyzwania i nowe tematy debaty publicznej, na nowe pokolenie wyborców oraz nowe techniki prowadzenia kampanii. Gdyby to zrobiła, raczej nie straciłaby władzy po wyborach 15 października 2023 r. Ale choć przegrała z trójgłową koalicją, nie utraciła zdolności do odzyskania władzy. Ustała mimo ogromnej skali i siły ataków. A wybory europejskie 9 czerwca 2024 r. dowodzą, że jej szanse na odzyskanie władzy wzrosły w stosunku do tych, które były osiem miesięcy wcześniej. Tym bardziej że układ stworzony na wybory 15 października przez ówczesną opozycję już się nie powtórzy. I nawet jeśli KO poźre Trzecią Drogę i Lewicę, nie wystarczy jej to do wygrania wyborów.

To także prognostyk optymistyczny dla PiS przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. Pod warunkiem, że wystawi kandydata mającego takie cechy, jakie były najbardziej preferowane w wyborach europejskich 9 czerwca 2024 r. 

Najwięksi wygrani i najwięksi przegrani

Wyborcy Koalicji Obywatelskiej głosowali głównie na jedyńki, z kolei wyborcy Prawa i Sprawiedliwości wybierali kandydatów z dalszych miejsc na liście

Wybory do Parlamentu Europejskiego mają szczególną specyfikę. Zmagania o to, która partia uzyska najlepszy wynik, prowadzą sztaby. Natomiast sami kandydaci bardziej muszą koncentrować się na rywalizacji wewnątrz listy wyborczej, tak aby nie zostali przeskoczeni przez partyjnego kolegę, niż na walce o głosy z innymi partiami politycznymi. Tak działa ordynacja wyborcza w wyborach europejskich. To okoliczność, która ma największy wpływ na ocenę, kto osiągnął największy sukces, a kto jest największym przegranym.

Na ocenę wpływa też różnica w zachowaniu elektoratów. Wyborcy Koalicji Obywatelskiej głosowali przede wszystkim na jedyńki, zazwyczaj ignorując kandydatów z dalszych miejsc. Nie głosowali „za” programem swojej partii, ale tradycyjnie „przeciw” PiS.

Elektorat Prawa i Sprawiedliwości okazał się nadszyczą wybredny. Wyborcy prawicy dokładnie wczytywali się w listy i wskazywali kandydatów, których uznali za najbardziej pracowitych i dynamicznych.



PIOTR GURSZTYN

Unii Europejskiej z przerwą, gdy był unijnym komisarzem ds. budżetu.

DARIUSZ JOŃSKI (1., 194 109) oraz **MICHAŁ SZCZERBA** (5., 120 667)

W przypadku tych dwóch polityków zadziałał efekt komisji śledczych, który dał im rozgłos i sympatię najbardziej fanatycznych zwolenników rozliczeń z poprzednią władzą. Jednocześnie odejście do Parlamentu Europejskiego uwalnia obu śledczych od kłopotliwych pytań o finał prac komisji.



MARCIN KIERWIŃSKI (1., 143 179)

Były szef MSWiA jest szczęściarzem. Kierwiński miał dość nerwowej pracy w resorcie spraw wewnętrznych i administracji, strofowania przez apodyktycznego szefa i jednocześnie rozsiewanych podejrzeń, że chce przejąć władzę w partii. Kadencja w PE to czas odpoczynku, a przede wszystkim zejścia z linii strzału. Przed wyborami było słyhać głosy, że jego kampania jest niemrawa mimo wydania dużych pieniędzy na widoczne w Warszawie billboardy i plakaty z podobizną byłego ministra. Według tych prognoz groziło mu przeskoczenie przez dwóch silnych kandydatów z dalszych miejsc: Hannę Gronkiewicz-Waltz i Michała Szcherbę.



NAJWIĘKSI WYGRANI



BORYS BUDKA (1. miejsce na liście, 334 842 głosy) oraz **BARTOSZ ARŁUKOWICZ** (1., 264 097) Beneficjenci zdyscyplinowania wyborców KO, którzy w swej masie nie byli zainteresowani przekazem programowym swojej partii, lecz jedynie jej dobrym wynikiem. Z tego powodu większość głosów na listach KO padła na jedyńki.

BOGDAN ZDROJEWSKI (1., 310 544) oraz **JANUSZ LEWANDOWSKI** (2., 133 444)

Kolejny dowód na to, że wyborcy KO nie oczekują zmian w swojej partii. Obaj politycy nie należą do najmłodszych – Zdrojewski ma 67 lat, a Lewandowski 73. Ten drugi jest eurodeputowanym od „zawsze”, czyli wstąpienia Polski do

ŁUKASZ KOHUT (3., 107 626)

Indywidualny wynik Kohuta jest o 46 tys. głosów wyższy niż liczba głosów zebranych w tym samym okręgu przez całą listę Lewicy. Polityk został wygryziony z jej szeregow na rzecz Macieja Koniecznego, który zdobył ledwie 24 tys. głosów.

Samo zaś wypchnięcie Kohuta z Lewicy było efektem działań Roberta Biedronia, który tak układał listy, aby znalazły się miejsca biorące dla niego, jego osobistego partnera i najbliższej przyjaciółki, czyli Joanny Scheuring-Wielgus. „Sabotaż polskiej Lewicy udany” – pisał rozwiścieczony tym senator tego ugrupowania Maciej Kopiec.

DONALD TUSK (lider KO, nie startował) oraz **ROMAN GIERTYCH** (szara eminencja, nie startował) Po 10 latach wyborczych niepowodzeń Tusk uzyskał wreszcie mijankę z PiS. Dał twarz kampanii wyborczej KO, a Giertych dał jej myśl, czyli agitację opartą wyłącznie o negatywne emocje i zupełnie pozbawioną wątków merytorycznych. Agresywna narracja byłego lidera Młodzieży Wszechpolskiej całkowicie zdominowała polityczny przekaz KO.

PATRYK JAKI (2., 266 246) oraz **JACEK OZDOBA** (5., 52 327) Środowisko Suwerennej Polski od dawna nie ma powodów do radości, więc spektakularny sukces obu polityków może być tam traktowany jako przełom. Na dodatek dwaj inni kandydaci wykrecili dobre wyniki, choć nie zdobyli mandatów (Sebastian Kaleta 80 tys. i Jan Kanthak 40 tys.). Politykom SP pomogło to, że potrafią w internecie, co jest traktowane jako ich poważny atut w Zjednoczonej Prawicy. Jednocześnie sukces Jakiego rozbudził na prawicy pogłoski o jego prezydenckich ambicjach.

DOMINIK TARCZYŃSKI (3., 210 942) Postawienie na radykalny, ostry przekaz oraz aktywność internetowa i medialna okazały się być sposobem na sukces. Tarczyński dostał najlepszy wynik wśród kandydatów startujących z trzeciego miejsca i pięciokrotnie powiększył liczbę zdobytych głosów w porównaniu z jego pierwszymi eurowyborami w 2019 r.

DANIEL OBAJTEK (1., 171 689) Były prezes ORLEN-u nie został potraktowany na Podkarpaciu jak spadochroniarz. Badania od początku wskazywały, że został tam pozytywnie przyjęty przez elektorat prawicy, któremu kojarzył się z wizerunkiem sprawnego menedżera. Dobry wynik uzyskał mimo braku aktywnej kampanii, ale można uznać, że zrobił ją... Michał Szczerba, który nieustannymi atakami na Obajtka przypominał wyborcom PiS, na kogo powinni zagłosować.

MICHAŁ DWORCZYK (3., 123 908) Sprawna kampania plus wcześniejsza praca w terenie jako posła. Dworczyk, mimo że spadochroniarz z Warszawy, bardzo głęboko zakorzenił się na Dolnym Śląsku i jest tam traktowany jako wpływowy oraz skuteczny rzecznik interesów tego regionu.

MARLENA MAŁĄG (3., 115 670) Pracowita jak mrówka była minister rodziny okazała się być nie do pobicia w swoich rodzinnych stronach. Południowa Wielkopolska, skąd pochodzi, dała jej poparcie tak silne, że łatwo przeskoczyła dwa pierwsze miejsca z listy PiS. Pomogło jej także mocne wsparcie ze strony byłego szefa, czyli Mateusza Morawieckiego.

MARIUSZ KAMIŃSKI (1., 110 466) oraz **MACIEJ WĄSIK** (1., 85 151) Obaj kandydaci prowadzili intensywne kampanie. Mimo rozgłosu wokół nich nie mieli łatwego zadania, gdyż otrzymali miejsca w nieznanym im okręgach. O głosy musieli walczyć często bez pomocy miejscowych działaczy, a nawet wbrew nim.

WALDEMAR BUDA (5. 103 679) oraz **PIOTR MUELLER** (4., 62 330) Beneficjenci wybredności prawicowych wyborców. Z wdzięcznością to pracowitości i pomysłowym kampaniom w internecie.

MAŁGORZATA GOSIEWSKA (1., 99 286) Wszystko wskazywało, że przegra z nowym trendem na prawicy, czyli wybieraniem kandydatów z dalszych miejsc. W odróżnieniu od kilku innych jedynek zdobyła mandat, a także obroniła pierwsze miejsce pod względem liczby głosów.

TOBIASZ BOCHEŃSKI (2., 95 880) Zdobycie mandatu znów rozbudziły plotki o prezydenckim potencjale tego młodego polityka. Miał ogromne szczęście, że dodatkowy mandat przypadł Warszawie, a nie Śląskowi. Zdecydowało o tym zaledwie 100 dodatkowych głosów, które padły w okręgu warszawskim.



GRZEGORZ BRAUN (2., 113 746) W czasie kampanii zachowywał się jak nie on. Nie wywołał żadnego skandalu niekorzystnego dla Konfederacji. Jediną kontrowersją było zdjęcie ukraińskiej flagi na Kopcu Kościuszki, ale był to zaplanowany gest, którym zdobył głosy wyborców o nastawieniu antyukraińskim.

ANNA BRYŁKA (1., 111 420) Kandydatka, która konsekwentnie i sprawnie krytykuje problemy stwarzane przez Brukselę. Jej wybór pozbawił mandatu jednego z kandydatów PiS w okręgu wielkopolskim. Jednocześnie dała Konfederacji wielki sukces propagandowy, czyli fakt, że jej partia zdobyła znacznie więcej głosów kobiet niż walcząca rzekomo o ich prawa Lewica.

EWA ZAJĄCZKOWSKA-HERNIK (2., 102 569) Równieśnica Bryłki (obie mają po 34 lata). Rzeczniczka Konfederacji, sprawna medialnie, szczególnie w mediach społecznościowych.

ROBERT BIEDROŃ (1., 65 869) oraz **KRZYSZTOF ŚMISZEK** (1., 70 363) Do tego duetu należy dodać **Joannę Scheuring-Wielgus** (57 669 głosów), bo to combo trójki działaczy, którzy tak ustawił listy Lewicy, że każde z nich zdobyło mandat. Odkryło się to kosztem wszystkich pozostałych kandydatów, co widać było na przykładzie Kohuta. Wściekli lewicowcy nazwali triadę Biedroń-Śmieszek-Scheuring „rodziną na swoim” albo „family business”.

NAJWIĘKSI PRZEGRANI



JANUSZ KORWIN-MIKKE (1., 4 343 głosy)

Pokłócony z Konfederacją startował z listy Bezpартyjnych Samorządowców „Normalna Polska”, podobnie jak jego obecna, młodsza o 44 lata żona Dominika (otrzymała 604 głosy). Jego klęska to prawdopodobnie największy sukces Konfederacji. JKM nie mógł bowiem uruchomić swojego słynnego „protokołu”, czyli wywołanego przezeń skandalu tuż przed terminem wyborów, który powodował, że lista, z której startował, gwałtownie traciła poparcie.

ANDRZEJ SZEJNA (1., 27 854)

Wiceminister spraw zagranicznych, stary wyjadacz polityczny, został przeskoczony przez 27-letnią debutantkę. Dorota Kolarska, prywatnie bratanica ministra w Kancelarii Prezydenta RP, zdobyła ponad 2 tys. głosów więcej niż on.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ (1., 52 828)

oraz **MAREK BELKA** (1., 56 410)

Dwóch starych politycznych celebrytów, którzy uważali, że niepotrzebne jest prowadzenie kampanii wyborczej, bo same ich nazwiska wystarczą do zdobycia mandatu.

RYSZARD PETRU (3., 11 822) oraz **RÓŻA VON THUN UND HOHENSTEIN** (1., 14 202)

Kompromitujące wyniki wyborcze, które przekonały PSL, że ich porozumienie z Trzecią Drogą to błąd i kula w nogi. Ludowcy są przekonani, że Thun jako bezkrytyczna zwolenniczka centralizacji UE oraz skrajny liberal Petru odstraszyli od nich wielu dotychczasowych wyborców, a jednocześnie nie przyciągnęli nowych.



MICHAŁ KAMIŃSKI (1., 19 419)

Dawny spin doktor PiS, dzisiaj etatowy krytyk tej partii, nie odnalazł się w nowych warunkach prowadzenia kampanii wyborczych.

SZYMON HOŁOWNIA (marszałek rotacyjny, nie startował)

Wynik wyborczy Trzeciej Drogi pogrzebał nie tylko jego szanse prezydenckie, lecz także marzenia o przeprowadzeniu samodzielnej i podmiotowej sile politycznej. 9 czerwca zakończył się proces przekształcania czarnego konia polskiej polityki w przystawkę Tuska.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ

(lider PSL, nie startował)

Kilkadziesiąt godzin przed dniem wyborów stał się twarzą wielkiego kryzysu politycznego, czyli ujawnienia zatrzymania żołnierzy broniących polskiej granicy i śmierci ich kolegów z tej samej jednostki. Ludowcy mówią nieoficjalnie, że padli ofiarą intrygi ze strony Tuska, który tym sposobem miał odebrać wielu dotychczasowych wyborców Trzeciej Drogi. Ich lider nie potrafił odpowiednio zareagować, co jeszcze bardziej stawia Kosiniaka-Kamysza wśród najbardziej przegranych tej kampanii.

DOBROMIR SOŚNIERZ (10., 49 504)

Pechowiec. Głośna i rozpoznawalna postać. Kandydat, który 49 głosami przegrał z nieznanym szerzej kolegą z listy Marcinem Sypniewskim.

JACEK KURSKI (2., 32 222)

Jedno z największych zaskoczeń tej kampanii. Doświadczony polityk, uczestnik i twórca wielu kampanii wyborczych, którego przeskoczyło aż trzech kandydatów z niższych miejsc. Powód? „Kampania w stylu lat 90.” – tłumaczy jeden ze wspierających go polityków PiS. Na usprawiedliwienie porażki trzeba dodać, że Kurski późno się dowiedział, skąd będzie startował i zabrakło mu czasu na dotarcie do miejscowych wyborców. Miejscowe struktury partii nie pracowały na niego, wspierając lokalnych kandydatów.

KAROL KARSKI (2., 38 777), **JOANNA LICHOCKA**

(2., 41 472), **ANNA FOTYGA** (1., 57 647)

Kandydaci, którzy również postawili na kampanię w starym stylu, czyli liczne plakaty i billboardy. Przegrali z młodszym pokoleniem polityków i prowadzoną przez nich precyzyjnie adresowaną agitacją internetową.

WOJCIECH KOLARSKI (1., 49 195)

Pechowiec. Prowadził pracowitą i nieźle przemyślaną kampanię. Jako jedyny kandydat zyskał bardzo mocne wsparcie prezydenta. Konkurował jednak z Ryszardem Czarneckim o tych samych wyborców na terenie tych samych powiatów. Przegrali obaj.

RYSZARD CZARNECKI (2., 66 098)

Wielokrotny eurodeputowany. Okręg wielkopolski znał już jak własną kieszeń, ale oprócz dwójki poważnych wewnętrznych konkurentów zaszkodziło nazbyt rutynowe prowadzenie kampanii.

JACEK SARYUSZ-WOLSKI (2., 56 483)

Pechowiec. Przepadł, przierzucany z okręgu do okręgu, choć jako ceniony i aktywny znawca tajników unijnej polityki miał szansę na zdobycie mandatu.

BEATA KEMPA (2., 86 395)

Znów pech. Przyzwoity wynik, dobrze rozpoznany teren, ale wszystko przepadło wskutek pojawienia się kandydatury Michała Dworczyka.

MARCIN BOSACKI (3., 48 748)

Bardzo rozpoznawalny polityk, brylujący w mediach, a zwłaszcza (niestety dla siebie samego) w tabloidach, wręcz celebryta. Przegrał jednak z dużo mniej znanym adwokatem, który postanowił spróbować swych sił w polityce. Człowiek o wielkich ambicjach, co irytuje partyjnych kolegów, których szybko zraził z trudem skrywanym poczuciem wyższości.

HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ (2., 94 474)

Przeskoczona przez Michała Szczerbę. Jedyny przykład, gdy wyborcy KO postąpili podobnie do elektoratu PiS, czyli przeczytali całą listę kandydatów i wskazali mniej zasłużonego dla partii, ale za to bardziej aktywnego.

Jest trzech zwycięzców

Formacja Jarosława Kaczyńskiego startowała w wyborach europejskich w warunkach bardzo silnego ataku, kreowania różnych rzekomych afer, prób zepchnięcia jej do drugiej ligi. A tylko o włos przegrała walkę o pierwsze miejsce

Michał Karnowski rozmawia
z **Markiem Grabowskim**,
socjologiem, analitykiem
polityki, twórcą pracowni
badawczej Social Changes

Kto naprawdę wygrał wybory do Parlamentu Europejskiego?

Marek Grabowski: Jest trzech zwycięzców: dwie partie wiodące, czyli Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość plus trzecia na podium Konfederacja. Te formacje osiągnęły swoje zaplanowane cele.

Omówmy je po kolei.

Formacja Jarosława Kaczyńskiego startowała w warunkach bardzo silnego ataku, kreowania różnych rzekomych afer, próby zepchnięcia jej do drugiej ligi. Publikowano przecież sondaże, w których na Prawo i Sprawiedliwość rzekomo chciało głosować mniej niż 30 proc. Polaków. W obozie rządzącym rzucono nawet hasło „delegalizacji PiS”. A jednak ta partia tylko o włos przegrała walkę o pierwsze miejsce. Wynik PiS potwierdza bardzo mocną pozycję tej formacji.

Dla partii Donalda Tuska celem było zwycięstwo i to osiągnęła, choć wydaje się, że jej liderzy liczyli na więcej.

Konfederacja może uznać, że skutecznie wyciągnęła wnioski z fatalnego wyniku w wyborach parlamentarnych. Skończyły się cyrkowe występy, bieganie z piwkami, zaczęli mówić poważniej i mają efekty.

Miałem odwrotne wrażenie: mało robili, mało mówili i kto chciał, mógł sobie wyobrazić dowolną Konfederację.

Jednak nie możemy nie dostrzegać, że po 15 października przyjęli nowy kurs w życiu publicznym i w miarę konsekwentnie go realizowali. W mediach ogólnopolskich sprawnie reprezentował ich Krzysztof Bosak, potem także Ewa Zajączkowska-Hernik, a w internecie robili zasięgi spektakularnymi akcjami skierowanymi do konkretnych grup społecznych, choćby kontrole pociągów z ukraińskim zbożem. Z jednej strony spoważnieli, z drugiej utrzymali poparcie wśród młodych – wygrali w najmłodszym elektoracie z wynikiem ponad 30 proc. Zwiększyli też udział kobiet w elektoracie.

Czy oni w ogóle chcą władzy? Mam wrażenie, że pozycja recenzentów ich zadowala i zachwyca.

To typowe dla młodych struktur politycznych, które boją się losu zjadanych przystawek. Z początku taka postawa jest bardzo skuteczna, potem staje się niebezpieczna. Wyborcy wybierają partie polityczne, by sprawowały władzę. Jeżeli za długo się tego unika, ludzie się odwracają.

Czyich wyborców przyciągnęła Konfederacja?

Prawa i Sprawiedliwości oraz Trzeciej Drogi.

Holowni?!

Nie ma w tym nic dziwnego. Obie formacje prezentują się jako antysystemowe, podkreślają swoją nowość, świe-

żość. Obie też odwołują się do wyborców zmęczonych sporem na linii PiS-PO. Ale zasadniczo te wybory pokazały, że kluczowe jest zaangażowanie kandydatów. Samo nazwisko niczego nie gwarantuje, a dobre miejsce na liście to gwarancja dużo słabsza niż dawniej. Tam, gdzie kandydaci byli w terenie, spotykali się z ludźmi, trzymając się piłkarskiej retoryki, „gryźli trawę”, tam były efekty.

Hanna Gronkiewicz-Waltz była aktywna, a nie weszła. Róża Thun także.

Zgoda, mówię o dużym, wspólnym mianowniku, zawsze są wyjątki. W przypadku Hanny Gronkiewicz-Waltz jej aktywność przypominała o złym w oczach wielu bilansie jej rządów w Warszawie, wywołała ataki. Myślę, że ona akurat lepiej by zrobiła, gdyby schowała się na czas kampanii, licząc, że w ciszy jakoś się prześlizgnie. Róża Thun poszła zaś w skrajny radykalizm, odrzucony przez wyborców Trzeciej Drogi.

Dlaczego nie dostał się Jacek Kurski, który miał dobre miejsce w okręgu mazowieckim? Był w terenie, nawet wystąpił wspólnie z Zenkiem Martyniukiem.

To ciekawy przypadek – osoba dla niektórych kontrowersyjna, ale ceniona przez dużą część elektoratu prawicy. Odbudował potęgę telewizji publicznej, która za jego czasów dominowała według badań we wszystkich niemal obszarach. Jacek Kurski ma też rys celebrycki, umie zabłysnąć, przebić się przez różne bańki. Powinien był zdobyć mandat.

Co poszło źle?

Wskazałbym na długą nieobecność w polityce. Przez lata mówił głośno, do wielomilionowej widowni, że nie jest już politykiem, ale menedżerem mediów. Potem zniknął, pracował w Waszyngtonie, gdzie nie za bardzo mógł się wypowiedzieć, i odnalazł się nagle na listach wyborczych. Sądzę, że wielu wyborców trochę się w tym pogubiło. Czy zrobił wszystko, by ten element zniwelować, czy był wystarczająco aktywny lokalnie – nie wiem. Ale potraktowałbym to jako wynik zbiegu niekorzystnych okoliczności. To polityk z dużym potencjałem, ma swoje miejsce w polityce. Jeśli wyciągnie wnioski, wygra kolejne wybory.

Wspomniał pan o mediach: to była pierwsza kampania, w której neo-TVP użyto z całą mocą przeciw. Skutecznie?

Miało to pewien wpływ, choć są to media słabe, źle robione, jak z poprzedniej epoki. Jest jednak faktem, że w mniejszych miejscowościach dostęp widzów do telewizji bywa ograniczony do kanałów naziemnych. Tam brakuje odpowiedzi na ataki na PiS, co powoduje może nie przechodzenie na stronę obozu rządzącego, ale demobilizację.

Dlaczego badania exit poll, czyli przeprowadzane wśród wychodzących z lokali wyborczych, aż tak się pomyliły?

Nie był to pierwszy raz i znowu mocno na niekorzyść PiS. To także dla mnie zastanawiające, szczególnie dlatego, iż pomyłka w tej skali nastąpiła wyłącznie w przypadku Prawa i Sprawiedliwości.

Jeden z ważnych polityków PiS powiedział mi, że przypuszczają, iż chodziło o to, by Donald Tusk mógł odprawić wielkie show radości, łącznie ze łzami w oczach.

Na pewno nastąpił opisywany przez pana efekt polityczny. Miliony Polaków, które w wieczór wyborczy zwracają uwagę na sprawy polityczne, dostały taki właśnie przekaz. Późniejsza korekta dotarła do dużo mniejszych grup widzów. Ten błąd pozwolił Tusкови na świętowanie, budowanie przekazu o wielkim sukcesie „sił demokratycznych”, mógł zagrać z koalicjantami. Tego wieczoru PiS musiał być reaktywny, miny nie były najszcześniejsze.

I to poszło w świat.

Tak. Gdyby podano wyniki bliższe prawdy, wieczory wyborcze i płynące z nich przekazy, te ważne dla polityki momenty, byłyby znacząco inne. Dobrze, by w przyszłości badacze spróbowali zmniejszyć skalę błędów, tym bardziej że IPSOS to doświadczony i ceniony ośrodek badawczy. Jako socjolog wiem jednak, że każde wybory są inne, zmieniają się okoliczności, przyjęte wcześniej modele zawodzą.

A może znowu pojawił się efekt obawy przed przyznaniem się, na kogo się głosowało? O mechanizmach zastraszania, zwalnianiu z pracy nawet członków rodzin, represjach wobec osób przyznających się do Prawa i Sprawiedliwości mówiła niedawno w wywiadzie dla „Sieci” była premier, wiceprezes PiS Beata Szydło.

Nie jestem pewien czy używałbym pojęć takich jak strach czy lęk, raczej mówiłbym o efekcie wizerunkowym kampanii medialnych i politycznych prowadzonych przeciw Prawu i Sprawiedliwości. Na ich skutek wielu wyborcom łatwiej się przyznawać do innych partii, nawet do Konfederacji, niż do PiS. Sporo namieszała też frekwencja. Polska południowo-wschodnia i ogólnie regiony wiejskie, zawsze mocno wspierające PiS, w tych wyborach poszły głosować słabiej.

Czy zdecydowała tylko mniejsza niż oczekiwana aktywność niektórych kandydatów?

To było kluczowe. Oprócz tego wskazałbym coś, co czuło się na majowym marszu solidarności przeciw Zielonemu Ładowi, na którym sam byłem i uważnie go obserwowałem

jako ważne wydarzenie: część wyborców wciąż odbiera postawę PiS w tej sprawie jako mało wyrazistą, mają w pamięci różne wypowiedzi z przeszłości, odczuwają wątpliwości co do wiarygodności Prawa i Sprawiedliwości partii w tej sferze. To przełożyło się na poparcie dla Konfederacji, która na wsiach i wśród rolników zanotowała spore przyrosty.

Gorąco dyskutowany jest wątek rzekomego „buntu wyborców”, którzy częściej niż wcześniej wybierali, zwłaszcza w przypadku PiS i PO, innych kandydatów niż postawionych na czele list wyborczych przez władze partyjne. Pan też to dostrzega?

Zwróciłbym uwagę, że przeszła większość jedynek Koalicji Obywatelskiej. Elektorat Platformy okazał się bardziej posłuszny decyzjom wodza. W PiS i Konfederacji wyborcy okazali się większymi poszukiwaczami własnych kandydatów. Nie zgadzam się z tezą, że to dowód na złe ułożenie list wyborczych, że to jakiś bunt przeciw liderom. Po prostu świadomość wyborców rośnie, do tego głosowania poszli ludzie mocniej zaangażowani w życie publiczne, a zatem chcący mieć większy wpływ. No i jeszcze dodam, że na prawicy zawsze cenilo się wolność.

Czyli z pańskiego punktu widzenia nie ma w tym żadnej sensacji? Niektórzy wpisują w to wątek wieku: wyborcy nie chcą starszych polityków.

To bzdura. Chodzi o aktywność, a nie wiek. Jeśli aktywny i widoczny kandydat jest starszy, może to nawet zagrać na jego korzyść. Spójrzmy choćby na Donalda Trumpa – nikt mu nie wypomina wieku.

Wypominają Bidenowi.

Bo ma kłopot z aktywnością i to jest jego problemem, a nie metryka. Patrzmy na fakty: większość niespodzianek w tych wyborach to sukces najbardziej aktywnych osób o głośniejszym ostatnio nazwiskach: Michał Szczerba z PO, Jacek Ozdoba z PiS. Z punktu widzenia central partyjnych i sztabów ważny jest jeden wniosek: trzeba robić badania terenowe, one pewnie by wykazały, jak wyborcy w danym okręgu postrzegają poszczególnych polityków. Wtedy byłoby mniej niespodzianek. Ja jednak nie widzę w tym nic złego. Tak właśnie działa demokracja.

Czy zgadza się pan z poglądem, że te wybory udowodniły, iż Polska jest krajem konserwatywnym i narodowym? Gdy spojrzymy na ostatnie wybory z tego punktu widzenia, nie widać zgody na jakąś rewolucję obyczajową.

Tak, społeczne siły konserwatywne są w przewadze, co jednak nie przekłada się na konkretne działania w polityce społecznej, rodzinnej, gospodarczej. Widzimy, jak negatywny jest stosunek obecnie rządzących do Kościoła, religijnych inicjatyw medialnych i społecznych.

Wyborcy nie chcą starszych polityków? To bzdura. Chodzi o aktywność, a nie wiek. Jeśli aktywny i widoczny kandydat jest starszy, może to nawet zagrać na jego korzyść

Jednocześnie nawet Donald Tusk doszedł najwyraźniej do wniosku, że jeśli chce dłużej utrzymać się w siodle, musi przynajmniej na odcinku obrony granicy wschodniej zaprezentować się jako obrońca narodu. Czytałem dziś wywiad z Agnieszką Holland, która przyrównuje go do Mateusza Morawieckiego.

Ten dramatyczny zwrot Tuska wygląda jednak na mało wiarygodny. Równolegle prokuratorzy ścigają żołnierzy, którzy mierzą się z agresywnymi bandami migrantów.

Wiarygodność tej operacji politycznej to inna sprawa. Zwracam tylko uwagę, że oni też czytają badania. Pewnych rzeczy nie mogą zmienić, likwidacja pewnych inwestycji, rozwoju Polski jest nakazana przez Niemcy i Tusk chyba musi to zrealizować, spłaca w ten sposób długi. Ale w innych obszarach próbuje jakiegoś manewru. Ciekaw jestem, czy wprowadzi obiecywane w kampanii tzw. związki partnerskie, czy zdecyduje się na adopcję dzieci przez pary homoseksualne. Opór jest bardzo duży, społeczny i wewnątrz koalicji, nie widać, by rządzący się do tego palili.

A gdyby to były wybory parlamentarne?

To najprawdopodobniej mogłaby powstać koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Konfederacją, gdyby ta ostatnia chciała wziąć współodpowiedzialność za kraj. Tu konieczne jest ważne zastrzeżenie: w wyborach do Sejmu i Senatu niemal na pewno frekwencja byłaby dużo wyższa, co mogłoby sporo zmienić.

Tak duża jak 15 października 2023 r.?

Tamta mobilizacja będzie trudna do powtórzenia. To był efekt ośmiu lat pracy ówczesnej opozycji, wielu kampanii, potężnych pieniędzy.

Koalicjanci Koalicji Obywatelskiej zmieniły się po 9 czerwca w żądane przystawki?

Mam wrażenie, że debata w tym wątku jest postawiona na głowie. Wszyscy mówią o zjadającym ich Tusku, a zapominamy, że sami ministrowie z partii koalicyjnych nie walczą o swoje programy, nie podejmują zadań, które pokazałyby wyborcom jakąś różnicę. Nikt nie każe liderom partii koalicyjnych składać hołdów Tuskowi w wieczór wyborczy, a jednak to robią. Reprezentują swoje partie, mają silne umocowanie konstytucyjne, premier nie może ich wyrzucić z dnia na dzień bez konsekwencji.

Tu bym się nie zgodził. Spójrzmy na MON. Tuż przed wyborami związane z Tuskiem media wypuszczają materiały o zatrzymaniu żołnierzy za strzelanie

w samoobronie, Tusk łaja Władysława Kosiniaka-Kamysza, ten zostaje ośmieszony. Precyzyjne uderzenie.

Nie, ta sprawa tylko potwierdza moją tezę. Nie jest winą Tuska, że Kosiniak-Kamysz nie potrafi się skutecznie bronić, zarówno przed zarzutami ze strony opinii publicznej, jak i koalicjanta. I że otoczył się ludźmi, którzy w momencie kryzysu nie umieją mu pomóc, osłonić go, pomóc rozwiązać problem.

Trzecia Droga nie pęknie? Joanna Mucha ogłosiła, że „powinniśmy się rozjeść”.

Z punktu widzenia liderów rozjeście się oznacza stały problem z przekroczeniem progu wyborczego. To ważny czynnik spajający Trzecią Drogę. Napięcia wzrosną, gdy wspólnie zaczną się osuwać w pobliże progu.

Rozumie pan, o co chodzi Lewicy?

Wydaje się być zafiksowana na sprawach światopoglądowych, co wyraźnie zamyka ją w bardzo ciasnym getcie. W ogóle odpuścili sprawę socjalne, pracownicze, z niewielką tylko aktywnością partii Razem w tym obszarze. Obserwuję, że źle przyjęto fakt, iż z trójki posłów wybranych do PE z list Lewicy dwójka to para osób homoseksualnych. Powstało bardzo niedobre wrażenie nepotyzmu, rodzinnego interesu.

Nowych wyborów szybko nie będzie?

Zasadniczo nie. Nie odrzuciłbym jednak tezy, że w pewnym momencie Donald Tusk zdecyduje się na przedterminowe wybory. Oczywiście to jest zawsze bardzo ryzykowne posunięcie. Jeśli jednak jego partnerzy nadal będą słabli, to takie rozwiązanie będzie go

bardzo kusilo. Jednym skokiem mógłby wtedy pozbyć się większości problemów wewnątrz koalicji i zyskać siłę do tego, na czym naprawdę mu zależy: walki z PiS.

A jakie wnioski z wyborów do PE możemy wyciągnąć przed wyborami prezydenckimi?

Najważniejszy jest taki, że ostatecznie będziemy zapewne wybierali między kandydatem PiS a kandydatem PO. Po wakacjach będą pierwsze przymiarki pretendentów, w listopadzie będą już zapewne wskazani. Ciekaw jestem, czy Platforma zdecyduje się na Rafała Trzaskowskiego, czy Donalda Tuska. PiS wybiera pomiędzy doświadczonymi politykami, których ma szeroką paletę, a pokusą pewnego odświeżenia, zaskoczenia sceny politycznej, jak to się udało w 2015 r. Nie przekreślałbym całkiem szans na dobry wynik Szymona Hołowni, który nieźle sobie radzi w takich bezpośrednich starciach. Na pewno pojawi się też wielu nowych kandydatów, bo wybory prezydenckie to zawsze szansa na przebicie się do dużej polityki.

TVP szoruje po dnie

Telewizja Polska otoczyła Donalda Tuska i Koalicję Obywatelską szczelnym kordonem ochrony i uwagi. Koalicjanci na taryfę ulgową nie mogą w niej liczyć, a PiS jest w przekazie telewizji publicznej raczej dekoracją i zwierzyną łowną



MACIEJ WALASZCZYK

TVP Info, a także główny program informacyjny „19.30”, raczej przynudzają, niż zaciekawiają. To mieszanek obowiązkowych uszczypliwości wobec prawicowej opozycji i pełnej dyspozycyjności wobec rządu, a przede wszystkim wobec premiera Donalda Tuska. Ale już koalicjanci z Trzeciej Drogi i Lewicy nie zawsze mogą w nim liczyć na taryfę ulgową. Podobne schematy obowiązują również w „Teleexpressie” i „Panoramie”. Zastanawia sens istnienia tej ostatniej, od kilku miesięcy emitowanej o godz. 22.30, serwującej widzowi na kolację kilka pozlepianych politycznych podsumowań z dodatkiem makabrycznych michałków typu epidemia chorób psychicznych, Orderu Uśmiechu dla Wandy Traczyk-Stawskiej czy historii pytona, który zjadł kobietę. Dziś oglądalność „Panoramy” oscyluje na poziomie nieprzekraczającym 0,5 mln widzów i program ten zanotował gigantyczny, bo prawie 60 proc., spadek widowni. TVP nie przyciąga więc szczególnie uwagi telewidzów, wciąż pozostając dla zwolenników obecnego rządu stacją drugiego albo trzeciego wyboru.

Niektóre dane na temat oglądalności wręcz szokują. Przed miesiącem poinformowano, że program publicystyczny „Bez trybu. Justyna Dobrosz-Oracz”, choć nadawany w środy ok. godz. 20.20, a więc w najlepszym czasie antenowym, ogląda w TVP Info średnio 122 tys. wi-



dzów. Podobną niską oglądalność ma też emitowany w tym samym czasie tylko w czwartki program „Niebezpieczne związki” prowadzony przez Dorotę Wysocką-Schnepfi Grzegorza Nawrockiego.

DONALD JEST JEDEN

Wieczorne „19.30” odrząbiły oczywiście zwycięstwo Platformy Obywatelskiej, „pierwszą wygraną od dekady”. Zwrócono uwagę, że dopiero teraz „siła Polski wzrosła”, ponieważ obecność polityków koalicji lokuje ich w głównym nurcie sił w Parlamencie Europejskim. Szczególnie podkreślano znaczenie europosłów KO jako trzeciej siły w europejskiej chadecji, która w najbliższych latach będzie rozdawać karty w unijnych instytucjach. W materiale Anny Hałas-Michalskiej widz został również pouczony, że „zwy-

cięzca jest jeden”, bo to Donald Tusk jest przywódcą. Podobnie zresztą dowiadujemy się, że również „kandydat jest jeden” – oczywiście kandydat na prezydenta RP – i nie ma wątpliwości, że jest nim dzisiaj Tusk.

TVP niemal od razu zdecydowała się oswoić swojego widza z myślą, że właśnie ze względu na wynik wyborów rząd potrzebuje rekonstrukcji, bo mocno zmienia on układ sił w koalicji rządzącej i „atmosferę wzajemnej współpracy”. „Jak się nie dać wchłonąć” – oto ma być dylemat koalicyjnej drobny, jak mówi jeden z dziennikarzy. Nagle okazuje się, że Trzecia Droga ma „problemy marketingowe”, doprowadziła do tego, że koalicjanci nie odróżniają się od siebie. Ich jedynym kryterium odrębności jest własna podmiotowość i wola indywidualnego startu w wyborach. Tymczasem Tusk ostrzeża

– nie może być kolaboracji ze złem, a koalicjanci muszą się pilnie zastanowić, jak wyobrażają sobie swoją przyszłość.

Stosunek do partii Szymona Hołowni i PSL świetnie pokazała rozmowa Mariusza Piekarskiego z posłanką Polski 2050 Aleksandrą Leo, która została kilkakrotnie dosłownie rozjechana pytaniami o sens bycia „przystawką” dla KO, brakiem oryginalności, programowej odrębności i kompletnym spadkiem politycznego znaczenia w ramach koalicji. Kłopotem stały się też ambicje prezydenckie lidera Trzeciej Drogi, o których się rozmawia, wielokrotnie wyraźnie zwracając uwagę, że jego kandydatura staje się dla układu rządowego problematyczna.

Podobne pytania stawiano nazajutrz po wyborach przedstawicielom Lewicy. Widz usłyszał jasny przekaz, że jej jakiegokolwiek buntownicze miotanie się lub ewentualne wyjście z rządu będzie niezrozumiałe dla wyborców, co oznaczałoby również jej definitywny, polityczny koniec. Problemem bowiem nie jest fakt, że Tusk prowadzi do brutalnej kanibalizacji swoich koalicjantów, ale to, że mniejsze podmioty są odpowiedzialne za kłopoty, w jakich się znalazły. „Wiosną jedzie do Brukseli, SLD zostaje w kraju” – rzuca pod adresem wiceszefa MON Stanisława Wziątka prowadzący rozmowę. Sam wiceminister kulturalnie musiał przyznać mu rację mówiąc, że „sytuacja i atmosfera na lewicy jest zła” i wymaga naprawy oraz wspólnej dyskusji na temat przyczyn, które doprowadziły do kiepskiego wyniku. Wszelkie materiały na temat PiS skupiały się oczywiście na spektakularnej klęsce kandydatów popieranych przez Jarosława Kaczyńskiego. „Ja Jackiem Kurskim zajmuję się najwyżej przez sześć sekund” – nie oszczędzono sobie przyjemności zacytowania tej wypowiedzi Mateusza Morawieckiego.

W „Panoramie” Michał Szczerba zapowiada, że to on pierwszy złoży wniosek o uchylenie immunitetu posłom Maciejowi Wasikowi, Mariuszowi Kamińskiemu i Danielowi Obajtłowi, a polowanie na PiS przenosi się teraz również do PE. Zresztą materiałem politycznym nieustannie towarzyszy zapowiedź odwetu, śledztw prokuratorskich i zarzutów dla czołowych polityków PiS, m.in. w związku

z organizacją wyborów kopertowych czy Funduszem Sprawiedliwości. I zgodnie z zapowiedziami nie mają ich opóźnić rozszady w składach komisji śledczych.

W materiałach dziennikarskich obecne są pełne wypowiedzi polityków prawicowej opozycji, nie ma praktyki ich nachalnego i prostackiego wycinania, ale służą raczej za dekoracje uzupełniające realizację twardej, prorządowej linii realizowanej przez publiczną telewizję. Pozory pluralizmu niezdarnie więc maskują pełną dyspozycyjność wobec najsilniejszego dziś gracza politycznego.

ZTVP sęczy się narracją, zgodnie z którą większym „zagrożeniem dla demokracji” od Konfederacji jest partia Jarosława Kaczyńskiego. „Skrajną prawicą jest w Polsce PiS” – oświadczył prof. Maciej Kisilowski, którego komentarz raczej przypominał kurs prowadzony przez partyjnego politruka niż poważną analizę polityczną.

**Pozorami pluralizmu
Telewizja Polska niezdarnie
maskuje pełną dyspozycyjność
wobec najsilniejszego dziś
gracza politycznego**

GRANICA – ORWELLOWSKI ZWROT

„Rosnąca agresja migrantów” – to obraz sytuacji na granicy z Białorusią. „Granica będzie bezpieczniejsza” – informuje tekst na belce. O „wypowiedzeniu Polsce wojny hybrydowej” mówił np. w premierowym odcinku programu „Niebezpieczne związki” były już szef MSWiA Marcin Kierwiński. Choć ta sytuacja ma miejsce od trzech lat, dopiero dziś widz, zwolennik obecnego rządu, jest przekonywany o powadze zagrożenia. Teraz się okazuje, że konieczne są „coraz częstsze przypadki użycia broni” oraz przywrócenie przy granicy strefy buforowej. „Powinniśmy być bardziej zdecydowani” – mówi Mirosław Gawor, były szef BOR, zrzucając brak zmian w przepisach ułatwiających sięganie po broń palną na poprzednią ekipę.

Widoczna jest więc kompletna, zalecająca fałszem i propagandą zmiana tonu w relacjonowaniu tej sprawy, co między innymi plemiennymi narzekaniami na politykę plemienną i nutą ewidentnego rozczarowania zauważył naczelny „Newsweeka”. „KO wchodzi w buty Zjednoczonej Prawicy jeśli chodzi o sytuację na granicy” – mówił w jednej z porannych rozmów Tomasz Sekielski. Przyznaje ponadto, że na wysoki wynik Konfederacji wpłynęły społeczne lęki przed skutkami nielegalnej imigracji i że większość wyborców KO też oczekuje antyimigranckiej retoryki. „Tusk zmienił więc narrację, nie mówi nic o przyjmowaniu imigrantów. Rok temu na Campusie mówił, że trzeba ich traktować po ludzku, a dziś już, że pushbacki są humanitarne” – dodaje. I rzeczywiście, serwisy TVP Info informują o śledztwie prowadzonym w celu ujawnienia personaliów osoby, która zamordowała polskiego szeregowego i uzasadniają

konieczność utworzenia strefy buforowej przy granicy. Teraz to agresywni i niebezpieczni są migranci nasyłani przez służby białoruskie jako element wojny hybrydowej prowadzonej przez Putina. Podczas relacjonowanej na żywo odprawy z wojewodami Tusk ostrzega przed groźnymi szturmami granicy i aktami dywersji wewnątrz kraju. A ekspertka w studiu potwierdza, że atakujący migranci są być może specjalnie szkoleni w taktyce atakowania naszych pograniczników przez wschodnie służby. Fakt, że opozycja atakowała rząd Zjednoczonej Prawicy za podjęcie w krytycznym momencie obrony granicy i budowy zapory, wspierano i wręcz zachęcano do podejmowania prób przedostawiania się do Polski, jest tematem tabu.

Mimo że to Tusk jest dziś politykiem specjalnej troski, znajdującym się pod szczególną ochroną telewizji publicznej, za jej kulisami toczy się walka o wpływy i stanowiska. Jeszcze przed wyborami Woronicza obiegała plotka o zmianie kierownictwa TVP Info, a niezadowolone wywołuje powrót na stanowisko kojarzonego z Lewicą Sławomira Zielińskiego. W resorcie kultury odbyło się również spotkanie w sprawie TVP, czyli katastrofalnych wyników oglądalności i rosnących kosztów funkcjonowania.

Przełom nadchodzi z Paryża?

Dość nieoczekiwanie możliwa stała się europejska polityczna przewrootka wyracająca do góry nogami obecne kanony unijnej strategii

Przed europejskimi wyborami taką perspektywę rysowała w zasadzie tylko dwójka przywódców: Giorgia Meloni i Viktor Orbán, ale chyba mało kto im dowieżał. Teraz okazuje się, że przewrootka naprawdę jest realna, tyle że nie dzięki Włochom czy Węgrom, ale za sprawą przełomowych zdarzeń politycznych we Francji.

Sporo bowiem wskazuje na to, że już 7 lipca nowym premierem Francji może zostać 28-letni Jordan Bardella, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego (RN), partii francuskich narodowców. Polityk pochodzący z ubogich przedmieść Paryża, który swego czasu nie zdał egzaminów do elitarnej Sciences Po. Potem nawet nie skończył studiów geograficznych na Sorbonie, gdyż kiedy miał 20 lat, Marine Le Pen kazała mu się zająć pracą partyjną na dobrze mu znanych i zdominowanych przez imigrantów przedmieściach stolicy Francji.

RYZKOWNY RUCH MACRONA

Partia, której szefem jest teraz Bardella, od chwili swego założenia w 1972 r. przez Jean-Marie Le Pena (pod nazwą Front Narodowy) aż do dziś była otoczona kordonem sanitarnym zarówno we Francji, jak i w Unii jako stronnictwo zagrażające jednako Republice Francuskiej i zjednoczonej Europie. W Paryżu tę trwającą pół wieku znowę wszystkich przeciw tamtejszej endecji nazwano patetycznie „frontem republikańskim”. Teraz przywódczyni obozu narodowego Marine Le Pen, młodsza córka założyciela partii, mówi z dumą, że ów „pseudokordon sanitarny” właśnie pękł w efekcie wyników wyborów europejskich. Francuscy endecy wygrali je zdecydowanie, osiągając wynik ponaddwukrotnie wyższy niż rządzący macroniści – liberalowie.

To, czy kordon naprawdę pękł, okaże się już 7 lipca, bo tego dnia rozstrzygnie się w drugiej turze polityczny skład francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Macron sporo zaryzykował, decydując o rozwiązaniu parlamentu i ogłoszeniu wyborów jeszcze wieczorem 9 czerwca, gdy nawet nie były znane szczegółowe wyniki głosowania. W swoim stylu wystąpił z agresywną i patetyczną mową do Francuzów, w której wynik głosowania uznał za niebezpieczny dla kraju sukces demagogów, kończąc pełną patosu inwokacją: „C'est maintenant!”. Według prezydenta właśnie teraz jest chwila, w której Francuzi muszą na nowo ukształtować swoją historię, a nie tylko biernie się jej poddać. W ten sposób Macron uzasadnia odwołanie się do nadzwyczajnej i rzadko wyko-



JAN ROKITA

rzystywanej prerogatywy zezwalającej mu na natychmiastowe i arbitralne rozwiązanie parlamentu.

Ostatni raz owej prerogatywy użył prezydent Chirac w 1997 r. i wbrew czynionym przezeń rachubom skończyło się to jego porażką oraz koniecznością powołania na premiera socjalisty Lionela Jospina. To była tzw. trzecia kohabitacja francuska, kiedy na

szczytach w Brukseli musiano ustawiać dla Francji dwa krzesła: dla prezydenta i premiera. Ale wtedy wszystko odbywało się jeszcze w granicach sławetnego „frontu republikańskiego”, a gaullistowska prawica i socjaliści z trudem, ale jakoś się dogadywali. Dziś jest o tyle inaczej, że narodowcy, przez lata spychani na margines polityki, otwarcie dążą do eliminacji wpływów Macrona, który i tak za dwa lata musi się pożegnać z urzędem prezydenta. Można przypuszczać, że Bardella jako premier, a Marine Le Pen w roli najsilniejszego kandydata do następstwa po Macronie potrafiliby zepchnąć głowę państwa do roli drugoplanowej, a być może nawet doprowadzić do wcześniejszego ustąpienia Macrona, pełnego pychy i nawykłego do napoleońskiego stylu uprawiania polityki.

Pierwsze sondaże wskazują, że RN ma szanse na 235–265 mandatów w 577-osobowym w Zgromadzeniu Narodowym. Ale Francja ma większościowy system wyborczy oparty o JOW, dlatego kluczową rolę grają międzypartyjne koalicje gwarantujące wzajemne poparcie w drugiej turze. Na to liczy Macron – że frontalnym atakiem na narodowców, wspieranym ideologicznie z Brukseli, ocali w drugiej turze ów sławetny „front republikański”. Ale prawdę mówiąc, w dzisiejszej sytuacji graniczyłoby to z cudem. Lewica (od komunistów po socjalistów) zapowiada utworzenie własnego bloku przeciw Macronowi i przeciw Bardelli, a stara gaullistowska prawica łamie się co do swojej własnej przyszłości. Lider gaullistów Éric Ciotti przyjął ofertę Bardelli dotyczącą stworzenia przedwyborczej koalicji z RN z perspektywą wspólnego rządu. Ale po tej deklaracji jego partia stanęła na granicy rozłamu – tak działa „republikański” szantaż Macrona. Macroniści określili postawę Ciottiego mianem „mordu na francuskiej republikańskiej prawicy”.

Bardella może też liczyć na koalicję z antyislamską formacją Rekonkwista, w której czołową rolę gra siostrzenica Le Pen Marion Maréchal, skonfliktowana ze swoją ciotką, ale dobrze dogadująca się z młodym Bardellą. W wyborach europejskich gaulliści i Rekonkwista dostali 13 proc. głosów. Jeśli dodać je do 34 proc., które sondaże dają teraz RN, to bezwzględna większość dla Bardelli w Zgromadzeniu Narodowym wydaje się prawdopodobna. Drugi wynik z pewnością



KONSEKWENCJE DLA CAŁEJ UE

Ale przecież cała ta nadzwyczajna sytuacja we Francji nie budziłaby aż takiej ciekawości, gdyby nie jej oczywiste konsekwencje europejskie. Prawicowa większość we francuskim Zgromadzeniu Narodowym i rząd Bardelli musiałyby bowiem oznaczać nie tylko koniec wszystkich paneuropejskich inicjatyw Macrona, lecz także radykalną zmianę układu sił w samej Unii, niezależnie od takiego czy innego składu Komisji Europejskiej albo większości w Parlamencie Europejskim. Sprzeciw Francji skutkowałby zamknięciem kwestii nowelizacji unijnych traktatów i zniesienia wymogu jednomyślności, upadkiem Zielonego Ładu oraz słabnięciem obecnego nadzoru KE nad rządami państw członkowskich. Ale przede wszystkim wprowadziłby głębszy zamęt polityczny w Brukseli, która nigdy dotąd nie była i chyba nadal nie jest zdolna do działania w otwartym konflikcie z Paryżem. Zamęt, z którego powoli powinna zacząć się wyłaniać jakaś nowa linia unijnej polityki, bardziej zdroworozsądkowa i mniej naznaczona obsesjami ideologicznymi.

Hipotetyczny rząd Bardelli mógłby liczyć na życzliwość prawicowych gabinetów w Rzymie i Budapeszcie. Zapewne również w Hadze, gdzie do objęcia władzy przygotowuje się były szef służb specjalnych Dick Schoof, namaszczony przez holenderską Partię Wolności. Być może także w Wiedniu, gdzie duże szanse na wygranie wrześniowych wyborów ma Austriacka Partia Wolności, podobnie jak Bracia Włosi Giorii Meloni.

Francja pod przywództwem Le Pen i Bardelli z pewnością stanęłaby wobec kryzysu w stosunkach z Niemcami, przynajmniej do czasu upadku lewicowo-zielono-liberalnej koalicji kanclerza Scholza. Ten zresztą po wyborach europejskich znalazł się w Berlinie w podobnej defensywie, jak Macron w Paryżu. Zarówno niemieccy socjaliści, jak i francuscy macroniści dostali po ok. 14 proc. głosów. Tak więc dwóch ludzi trzęsących dotąd Europą znalazło się w potrzasku. Z tą różnicą, że Macron ostatkiem swych politycznych sił próbuje czynem odwrócić kiepską dla siebie sytuację, zaś kunktator Scholz będzie biernie czekać na nieuchronne pozbawienie go władzy przez szefa chadecji i zapewne przyszłego kanclerza Niemiec Friedricha Merza.

To wszystko może się zacząć dziać w Europie już za chwilę, co jest sporą niespodzianką polityczną. Tak poważnej zmiany francuskiej polityki niektórzy spodziewali się bowiem najwcześniej za dwa lata, kiedy Marine Le Pen raz jeszcze stanie przed szansą zdobycia prezydentury Francji. Sceptycy zaraz jednak dodawali, że system ustrojowy V Republiki jest tak zorganizowany, że nawet gdyby wygrała, to w taki czy inny sposób zostanie utracona przez spisek elit skutkujący np. odmową uznania przez francuską Radę Konstytucyjną.

To, że europejski przełom może nadejść niemal lada chwila, i to z Paryża, jest wynikiem nadzwyczajnej skuteczności młodego Bardelli jako przywódcy francuskich endeków. No i, trzeba to przyznać, napoleońskiej skłonności do ryzyka politycznego, jaką wykazał się właśnie Macron.

cią uzyska francuska lewica, o ile istotnie pójdzie razem do wyborów. Macroniści mogą więc zostać zmarginalizowani, tym bardziej że, jak dobrze wiadomo, jednomandatowe okręgi wyborcze mają tę właściwość, że nagradzają silnych, a słabym sprawiają dodatkowy łomot.

W takich warunkach zmiana francuskiej polityki musiałaby iść daleko. Bardella nie kryje, że polityka migracyjna Macrona prowadzi do zastąpienia białych Francuzów muzułmanami, choć na skutek zakazu wprowadzonego przez propagandę partyjną nie posługuje się ostatnio owym zakazanym słówkiem „zastąpienie”. Chce wprowadzić tzw. podwójną granicę, czyli oprócz unijnej granicy z traktatu z Schengen ustanowić narodową granicę Francji z własnymi regulacjami dotyczącymi migracji. Bardella sygnuje też inicjatywę „Zatrzymać turbiny wiatrowe”, gdyż zieloną energię, trochę na złość Brukseli, przedstawia jako zagrożenie dla francuskiego środowiska. Lider RN jest krytykiem małżeństw gejowskich, choć jego motyw są tu raczej społeczne niż religijne. Jest on bowiem ateistą, tak jak przygniatająca większość Francuzów na lewicy, prawicy i w centrum.

Jeśli na jakimś polu mógłby się dogadać z Macronem, to chyba tylko w kwestii wojny na wschodzie Europy. Bardella jest bowiem z tej frakcji francuskich narodowców, która nie żywi moskiewskich sentymentów i ostentacyjnie oklaskuje wystąpienia prezydenta Zelenskigo.

Łagodny szok, czyli

Choć wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego w kilku krajach, jak choćby we Francji, Niemczech czy Belgii, wywołały polityczne trzęsienie ziemi, to w całej Unii niewiele się zmienia



DARIUSZ MATUSZAK

Spodziewana prawicowa, konserwatywna rewolucja się nie odbyła. Powiedzmy, że nie została odwołana, ale przełożona. Mimo to prawicowym, populistycznym ugrupowaniom wreszcie udało się powstrzymać nieustający zwycięski pochód lewicy, bezpłciowych partii środka czy chrześcijańskich jedynie z nazwy, jak niemiecka CDU. Odejście od obecnej samobójczej dla Europy polityki przynajmniej w kilku krajach to już nie malingra czy niedosiężny cel, ale jawiące się w tunelu światelko.

OSWAJANIE BESTII

Zgodnie z obyczajem nad Sekwaną, a także w sąsiedniej Belgii potoczyły się głowy. Prezydent Francji, która ma 81 europosłów, po katastrofalnym dla swojego ugrupowania wyniku rozwiązał parlament i ogłosił przedterminowe wybory. Tym samym upadł urzędujący

ledwie pół roku gabinet Gabriela Attala. W Brukseli do dymisji zaś podał się rząd Alexandra De Croo i cały zarząd jego pobitej w wyborach flamandzkiej partii Open VLD. Jak widać, prezydent Macron jest w dużo lepszej sytuacji, bo on nie musiał siebie karać za lichy wynik swej partii – ledwie 14,6 proc. – i miał kogo złożyć w ofierze prześlągalnej. Analitycy zgodnie orzekli, że lokator Pałacu Elizejskiego zastosował bardzo popularny we Francji manewr ucieczki. Tym razem do przodu. Przedterminowe wybory mają zjednoczyć całą francuską klasę polityczną, by powstrzymać pędzącą ku władzy bête noire – czarną bestię. Jest nią oczywiście Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen, które z wynikiem 31,4 proc., ponad dwa razy lepszym niż prezydenckie Odrodzenie (Renaissance), zdecydowanie wygrało wybory do Parlamentu Europejskiego. Ewentualne zwycięstwo RN w wyborach krajowych miałyby się okazać zbyt małe, bo potrzeba aż 50 proc. głosów w okręgu, by uzyskać w nim mandat. Establishment jak zwykle w drugiej turze zjednoczyłby się przeciwko bestii i ją spętał.

Okazało się jednak, że Emmanuel Macron w swej ucieczce do przodu może nie dość szybko przebierać nóżkami i bestia już w lipcu wbije się do

Hôtel de Matignon, gdzie mieści się siedziba premiera Francji. Jeszcze kilka tygodni temu Zjednoczenie Narodowe było jedną z tych partii, którą jasnie państwo rasowo czyści Europejczycy traktują jak zadżumioną, trędowatą, którą trzyma się w politycznym getcie czy za kordonem sanitarnym. Teraz bestia jest osławiana i Republikanie, którzy odwołują się do gen. Charles'a de Gaulle'a, podjęli z nią rozmowy. Odbyna się to z wewnętrznymi oporami i przy protestach, ale wyłom w murze getta już jest. Zjednoczenie Narodowe oświadczyło nawet, że ustąpi Republikanom miejsca w kilku okręgach wyborczych.

Trwają też rozmowy, a może nawet klótnie, w rodzinie – z partią Rekonkwista (Reconquête), która zdobyła 5,5 proc. i której liderem obok Érica Zemmoura jest siostrzenica Marine Le Pen Marion Maréchal. Jak zwykle histerycznie na to wszystko zareagowała lewica, która chce decydować o tym, na kogo wolno głosować i kto może sprawować władzę. Posypały się więc apele i podle insynuacje, jak w Polsce, i ogłoszono nawet powstanie Frontu Ludowego, który powstrzyma faszystów. Towarzysze od Stalina raz już zainstalowali Francuzom taki Front Populaire – w 1936 r.

Swoją bestię oswoił już Holendrzy, którzy wysyłają do Brukseli 31 posłów.



i eurowybory 2024

Tam po miesiącach rozmów właśnie mości się rząd tworzony m.in. przez trędowną do tej pory Partię Wolności (PVV) Geerta Wildersa. Na czele koalicyjnego gabinetu stanie Dick Schoof, były szef Służby Wywiadu Ogólnego i Służby Bezpieczeństwa. PVV nie powtórzyła wielkiego sukcesu z wyborów krajowych i z wynikiem 17,7 proc. zajęła drugie miejsce za sojuszem Zielonych i Partii Pracy (21,6 proc.), któremu przewodził Frans Timmermans. Mimo to prawica, nazywana skrajną, obejmuje rządy w Holandii. By do tego doszło, Wilders dał się ugłaskać, powściąga swój język, nie nazywa już Unii Europejskiej „państwem nazistowskim” i przestał mówić o nexicie, czyli wyjściu Holandii ze Wspólnoty. Sam nie wszedł do rządu, tylko skromnie przycupnął z boku.

Na chwilę wróćmy do sąsiedniej Belgii, bo tam jest coraz śmieszniej. Nie dość, że jak zwykle nie ma rządu, to wybory do europarlamentu podobnie jak krajowe wygrała partia Interes Flamandzki (VB). Skromnie, bo wynikiem ledwie 14,5 proc., ale trzeba zwrócić uwagę, że w wyborach startowało tyle różnych komitetów, ile Belgia ma miejsc w PE – 22. By mieć wyobrażenie, jakie tam jest bogactwo życia politycznego, trzeba to pomnożyć przez 3 albo 4, bo te komitety to przecież koalicje różnych ugrupowań. Nic dziwnego, że do Belgii należy chyba światowy rekord niemożności powołania rządu – ponad 500 dni. A śmiesznie jest też dlatego, że Interes Flamandzki chce podziału Belgii na Walonię i Flandrię. Gdyby się tak stało,

to domniemana stolica Europy – Bruksela – zmieniłaby się we francuskojęzyczną enklawę we Flandrii.

„Brunatni”, by za Szczerbą i Hołownią powtórzyć lewicowy bełkot, potwierdzili swe panowanie we Włoszech. Tam premier Giorgia Meloni, liderka partii Bracia Włosi (28,8 proc.), wyrasta na królową Europy. To od niej w dużej mierze może zależeć, kto zostanie przewodniczącym Komisji Europejskiej i czy będzie to ta skrajnie nieudolna i pretensjonalna Niemka Ursula von der Leyen. We Włoszech doskonale widać jedną z największych słabości europejskiej prawicy, czyli nieumiejętność dogadywania się. Każdy sobie panem, więc koalicyjne podobne ugrupowania Forza Italia i Liga wicepremiera Matteo Salviniego konkurowały z partią Meloni i powygryzały sobie kandydatów. Zamiast mieć razem minimum 47 proc. i zgarnąć ponad połowę z 76 mandatów, to Salvini uciułał swoje 9 proc., a Forza 9,6 proc. To i tak niezłe wyniki, bo długo się wydawało, że popularna premier pożre przystawki. Cała włoska sytuacja pokazuje, jak ciężko prawica nawiązuje porozumienie w Parlamencie Europejskim. Marine Le Pen nie dogaduje się z własną siostrzenicą i Giorgią Meloni. Nie lubią się i nic się nie da z tym zrobić.

„Brunatni” po raz pierwszy wygrali też wybory w Austrii, która ma 20 mandatów w PE. Eurosceptyczna Wolnościowa Partia Austrii uzyskała 25,4 proc., o punkt procentowy więcej niż Austriacka Partia Ludowa. Lider wolnościowców, były minister spraw wewnętrznych, Herbert Kickl już jest

traktowany jak kanclerz in spe, bo wielu Austriaków spodziewa się, że po wrześniowych wyborach to on stanie na czele rządu.

Największe przerażenie wzbudziły jednak wyniki w Niemczech, które mają 96 europosłów. Tam bowiem odsądzana od czci i wiary, wypełniona prowokatorami i agentami służb Alternatywa dla Niemiec (AfD) uzyskała 16 proc. i zajęła drugie miejsce za CDU – 30 proc. Koalicyjny gabinet Scholza podobnie jak francuski czy jeszcze nie dobity belgijski, a także hiszpański, właściwie nie ma legitymacji do rządzenia krajem. Socjaldemokraci, tak potężni pod rządami Willy’ego Brandta, Helmuta Schmidta, a nawet Gerharda Schrödera, zdobyli ledwie 13,9 proc., Zieloni – 11,9 proc., a liberałowie – 5,2 proc. Razem tylko o jeden punkcik więcej niż sama CDU.

Charakterystyczne jest głosowanie przez młodych. Pokazują, jak anachroniczne są niektóre formułowane oceny speców z telewizora: politologów czy socjologów. Młodzi częściej głosowali na AfD – 17 proc. niż na Zielonych – 11 proc. Fanatycy z sekty klimatycznej wyrządzili tak wiele szkód europejskiej gospodarce i w dużej mierze uczynili Niemcy oraz Europę wasalem energetycznym Rosji. Szczęśliwie w skali całej UE Zieloni okazali się największymi przegranymi. Stracili 18 mandatów i będą ich teraz mieć tylko 53. W poprzednim rozdaniu mieli w Niemczech 20,5 proc., a we Francji z 13,5 proc. spadli do 5,4 proc. W Walonii francuskojęzyczna zielona partia Ecolo straciła ponad połowę poparcia.

Wyniki wyborów w Niemczech tylko utrwalają fakt, że tam wszyscy się nawzajem nienawidzą. Zaciekłość, agresja chaos w życiu politycznym osiągnęły poziom pewnie niespotykany od czasów Republiki Weimarskiej. Niemiecki establishment reaguje histerycznie i mowa jest nawet o delegalizacji AfD. Kraj pęka, bo choć Alternatywa dla Niemiec na pozór nie osiągnęła imponującego wyniku, to jednak wygrała we wszystkich landach dawnego NRD. Po koszmarnych komentarzach swego lidera Maksymiliana Krahna na temat SS partia została usunięta z prawicowej grupy w Parlamencie Europejskim Tożsamość i Demokracja, ale powyborcze symulacje wskazują, że i tak zyska 11 mandatów – będzie ich mieć 60.

Prawica po raz kolejny potwierdziła swe aspiracje do rządzenia Hiszpanią, która wysłała do Brukseli 61-osobową delegację. Partia Ludowa zdobyła 34,2 proc. głosów i pokonała socjalistów premiera Pedra Sáncheza – 30 proc. Na trzecim miejscu ułożył się konserwatywny Vox – 10,4 proc. Dalej jest już kilka komitetów składających się z całych mgławic ugrupowań. Można powiedzieć, że na tle Hiszpanii, Francji, Belgii, Holandii (15 komitetów wyborczych) u nas jest nudny politycznie porządek. Inna sprawa, że fatalna ordynacja wyborcza promuje miernych, ale wiernych i betonuje scenę polityczną.

Inną coraz wyraźniejszą tendencją polityczną w Europie jest to, że w połowie kontynentu mamy teraz rządy mniejszościowe albo w fazie upadku, jak belgijski czy duński. Kiedy patrzy się z góry i widzi tę mozaikę partyjną mieniającą się bardziej niż praske witraże Alfonsa Muchy, to człowiek od razu wie, że tylko szaleńcy mogą sobie rościć, że da się z tego uskładać jedno państwo – federalną Europę. W Bułgarii drugie miejsce z blisko 15-proc. poparciem zdobyli Turcy, a konkretnie partia ich mniejszości – Ruch Praw i Wolności. Co ci Turcy niby mieliby razem ustalać, dajmy na to, z hiszpańską partią El Pi z Balearów albo Szwedzką Partią Ludową z Finlandii? Oczywiście nie, ale struktury brukselskiej eurokracji będą promować takie postawy, jak

wyrzekającego się polskości Łukasza Kohuta. Wszystko ma się mieszać ze wszystkim, wtedy ludzkie masy będą podatniejsze na modelowanie.

MISTRZ JEST JEDEN, GAMONI WIELU

Swoją wielką wagę potwierdził Viktor Orbán. Niekwestionowanym zwycięzcą wyborów z 45 proc. poparciem jest Fidesz, który dostał 2 mln głosów. To najlepszy wynik w historii tej partii. Ugrupowanie premiera Orbána posłało po pieniądze do Brukseli 11 posłów z 21. Równolegle odbywały się wybory samorządowe i w nich wynik był jeszcze lepszy – 55 proc. W przeliczeniu na mandaty parlamentarne Fidesz piąty

Największe przerażenie wzbudziły jednak wyniki w Niemczech, które mają 96 europosłów. Tam bowiem odsądzana od czci i wiary, wypełniona prowokatorami i agentami służb Alternatywa dla Niemiec (AfD) uzyskała 16 proc. i zajęła drugie miejsce za CDU – 30 proc.

raz z rzędu miałyby większość wystarczającą do zmiany konstytucji. Ale uczciwie przyznajmy, że rozstrzyga się, czy w Rumunii koalicja Socjaldemokratów i Narodowych Liberalów (Alianta PSD-PNL) zdola przeskoczyć Fidesz.

Trudno zrozumieć, iż europejska prawica nie widzi zwycięstw na Węgrzech, nie analizuje ich, nie wyciąga wniosków, tylko wiecznie tkwi w jakimś rozroku, hamletyzuje i mizdrzy się do lewicy, a już zwłaszcza ich mediów. W tym tempie to w przewidywalnej przyszłości nie zdobędzie władzy i pozwoli establishmentowi, lewicowemu

i brukselskiemu jasnie państwu wykończyć Europę. Po wielkich bojach grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR) w Parlamencie Europejskim zyska 4 mandaty i będzie ich miała 73. O tyle samo (choć procentowo uzyskał głosów mniejszy) powiększyli swój stan posiadania główni władcy Europy z Europejskiej Partii Ludowej. EPP będzie miała 180 posłów. Po tych wyborach pędzący ku przepaści samochód będzie jechał nieco wolniej, ale nic nie zapowiada zmiany kierunku.

Europie potrzeba prawdziwych przywódców, takich z krwi i kości, a nie ulizanych aparatczyków z budynku. Może takich jak George Simion, który startował pod Trumpowskim hasłem „Uczyńmy Rumunię znów wielką” i na wiecach występował pod portretem Draculi – Władcy Palownika, który Turków nadziewał na pal. W ciągu trzech lat jego Sojusz Zjednoczonych Rumunów (AUR) wyrósł na największe ugrupowanie opozycyjne w kraju. Gdy mowa o wielkiej Rumunii, nie jest to tylko przenośnia, ale konkretny plan połączenia się z Mołdawią. AUR organizuje się także w tym kraju i aż 43 proc. Mołdawian byłoby skłonne poprzeć zjednoczenie.

Myślenie o wielkich projektach zdaje się być za to całkowicie obce Chorwatom. Jakby już na niczym im nie zależało. Ten kraj ma niechlubny tytuł największego wyborczego lenia. Do urn poszło ledwie 21 proc. obywateli. To kompromitacja porównywalna chyba tylko z klęską belgijskiego wicepremierza Georgesa Gilkineta, który liderując liście w rodzinnym Namur, uzyskał ledwie 4329 głosów. Na co komu taki wicepremier, podobnie jak na co Duńczykom dzisiejsza Partia Socjaldemokratyczna, która zdobyła 15,6 proc., co jest najgorszym wynikiem tego ugrupowania od 1898 r.? Pocieszymy biednych Duńczyków i powiedzmy im, że my mamy liczące 120 lat PSL, które razem z jakąś tam partią telewizyjną uciułało ledwie 6 procencików.

W chwili pisania tekstu wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego w wielu krajach były bardzo przybliżone, ale nadal szacunkowe. Może też zmienić się ostateczna liczba mandatów poszczególnych ugrupowań

Elity uśmiechniętej Polski

Zapleczem obecnej władzy są dzisiaj głównie karierowicze oraz kulturowi prostytutki. To oni stali się „inżynierami polskich dusz” i na równi z ekipą Tuska odpowiadają za cywilizacyjny regres kraju



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rząd Tuska sprawuje władzę w Polsce zaledwie od pół roku. I choć padają zarzuty, że niewiele zrobił, nie jest to do końca prawda. Są bowiem pola, na których koalicja 13 grudnia jest bardzo aktywna. Weźmy np. szeroko rozumianą politykę kulturalną i edukacyjną. W ciągu kilku miesięcy rząd może się pochwalić wypatroszeniem programu nauczania z wielu treści patriotycznych, cenzurą historii (sztandarowym przykładem może być likwidacja przedmiotu historia i terazniejszość), likwidacją instytutów naukowych zajmujących się kulturą i historią oraz zamknięciem czasopism, które w „niewłaściwy” sposób opisywały rzeczywistość. Niekiedy było to brutalne wykaszanie treści z internetu (jak w przypadku „Tygodnika TVP”), w innych odcięcie finansowania. Wisienką na torcie może tutaj być polecenie zdejmowania krzyży wydane przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego.

Wszystko, co polskie, wydaje się tej władzy obce. Czasami można odnieść wrażenie, że znajdujemy się pod obcą okupacją, która chce nas wynarodowić. Ale to nieprawda, nic takiego nie ma miejsca. Obecna władza nie jest okupacyjna i nie realizuje w tej kwestii żadnych cudzych poleceń. Ci ludzie po prostu bardzo wstydzą się własnego pochodzenia, dlatego zawsze będą się od niego odcinać. Ciągnie ich na za-

graniczne salony, gdzie – jak mają nadzieję – ktoś w nagrodę pozwoli im pozjadać pańskie resztki ze stołu. To byłoby spełnieniem ich marzeń i zwieńczeniem drogi życiowej – od pospolitego pastucha do kamerdynera na obcym dworze.

Nie chcą tkwić w zaścianiu, za który uważają swój kraj – zamiast tego wolą występować w roli światowców, którzy pozwalają tępym rodakom ogrzać się w swoim blasku.



ojcu żadnego tytułu, więc w ślad za liberalnymi mediami można go zaliczyć do kategorii „młodych, wykształconych, z wielkiego miasta”. Tak bowiem określa się w Polsce wyborców Platformy.

Oczywiście nie są oni ani młodzi, ani dobrze wykształceni, ani – najczęściej – nie pochodzą z wielkich miast. Jedyne,

MIARA PRESTIŻU

Stopień odklejenia zwolenników obecnej władzy bywa porażający. Jeden z nich – 50-letni biznesmen – sam nazwał się w prywatnej rozmowie ze mną „arystokratą”, co mogłoby być prawdą, gdyby wysoko postawionym partyjniakom nadawano w PRL dziedziczne tytuły hrabiowskie. Wspomniany biznesmen nie odziedziczył jednak po

w czym górują nad współplemieńcami, to grubość portfela. I to właśnie on – i tylko on – decyduje o ich pozycji społecznej.

Nie są to również ludzie szczególnie błyskotliwi. Dziś wykształcenie stało się tak powszechne, że może je zdobyć każdy – choćby w Collegium Humanum. Nic więc dziwnego, że dyplom nie jest żadnym miernikiem inteligencji. Bywa wręcz przeciwnie. Jak pokazują badania Estymatora z końca

maja, ludzie z wyższym wykształceniem bywają głupszy od tych, którzy zakończyli edukację na poziomie podstawowym lub zawodowym. Bo na pytanie o to, czy powinniśmy przyjąć Zielony Ład, aż 41 proc. respondentów z wykształceniem wyższym odpowiedziało pozytywnie. Tymczasem wśród absolwentów podstawówek takich osób było jedynie 23 proc. Kto więc ma więcej rozumu w głowie i lepiej rozumie rzeczywistość?

Studia podobnie jak pieniądze są dziś jedynym osiągalnym wyznacznikiem prestiżu dla przeciętnego wyborcy Tuska. I nic poza tym. Powszechnie wiadomo, że ani dyplom, ani gruby portfel nikomu nie dają rozumu, ale dla wielu fajnopolaków to ogromne osiągnięcia życiowe, którymi mogą pochwalić się w swojej rodzinie. Jest to zarazem certyfikat przynależności do klubu ludzi „na pewnym poziomie”.

ZETEMPOWCY

Polska pod rządami Tuska przywodzi nieco na myśl nasz kraj z epoki bierutowskiej. Nie chodzi mi o represję czy o wszechobecną biedę i dziadostwo – tu przed obecną ekipą jeszcze sporo do zrobienia – ale o prawdziwie zetempowską gorliwość zwolenników nowej władzy.

Podobnie jak ich komunistyczni poprzednicy, są oni bezkrytycznymi, bezmyślnymi fanatykami reżimu i zarazem beneficjentami awansu społecznego ostatniego ćwierćwiecza. Ich kariery były tak szybkie, pogoń za pieniędzmi tak gwałtowna, że nigdy nie mieli czasu nadrobić zaległości w kulturze i edukacji. Aby ukryć własne braki, nasz współczesny zetempowiec stara się być bardzo postępowy. Walczy więc z Kościołem i z PiS, popiera LGBT+ (zwykle tylko deklaracyjnie – nie jest aż tak nowoczesny) i martwi go ocieplenie klimatu oraz smog (ale z wypasionego samochodu nie wysiadzie za żadne skarby świata). Jeżeli jest kobietą, domaga się prawa do aborcji, a jeżeli jest mężczyzną – solidaryzuje się z kobietami (za wyjątkiem własnej żony). Jest więc hipokrytą pierwszej wody.

Tacy ludzie wślizgują się dzisiaj na samą górę drabiny społecznej, więc nikogo nie powinno dziwić, że tak jak w PRL musi się to skończyć dla Polski kulturową zapaścią i cywilizacyjnym regresem. Dziś znowu jesteśmy polem bitwy, na którym rozpychająca się lokciami barbaria traktuje wielowiekową kulturę dawnych pokoleń. W zamian dostajemy destrukcyjną ideologię i ukryte za jej zasłoną prymitywne chamstwo. Oraz reżim, który mniej lub bardziej instrumentalnie posługuje się tą ideologią, aby utrzymać władzę.

Mamy też nowomowę, w której słowa nabierają przeciwnych znaczeń. Demokrację, w której opozycję otacza się zaporą ogniową, praworządność podporządkowaną jednej władzy i ocen-

Kultura uśmiechniętej Polski jest wyłącznie na pokaz. Gdy zajrzeć do niej głębiej, dokopie się do bluzgów Andrzeja Seweryna, końskich zalotów Tomasza Lisa i „dupiarza” Trzaskowskiego

zuowaną wolność słowa. Są wreszcie paskudni koniunkturaliści wysługujący się temu wszystkiemu, którzy uchodzą za odważnych buntowników, burzycieli starego porządku i autorytetów. Ponura rzeczywistość stworzona przez małych ludzi.

PUDŁO REZONANSOWE

Tydzień temu Maciej Walaszczyk opisywał na tych łamach ostatni kabareton na festiwalu w Opolu. To doskonała ilustracja zjawiska, o którym mowa – kulturalnej zapaści, stęchlizny, którą przyniosła ze sobą nowa władza. Emerytowani satyrycy, pamiętani jeszcze z okresu swoich występów w PRL, tym razem atakowali jedynie opozycję, ku uciesze prymitywnej gawiedzi spod

znaku ośmiu gwiazdek. Na jakąkolwiek krytykę wobec Tuska zabrakło im odwagi.

Jedyna kultura, jaką dopuszcza dziś władza, ma być apoteozą tej władzy, służyć jej wiernie i potępiać jej wrogów. Wielu artystów i celebrytów chętnie na to przystaje, niektórzy z powodów finansowych, inni ze względu na środowiskowe mody. W końcu artyści powinni być postępowi i iść z duchem czasu, a nawet jeśli Tusk nie jest wystarczająco postępowy, to przecież jego przeciwnicy są pod tym względem znacznie gorsi. Dla premiera służba jest więc politycznie i ideologicznie uzasadniona.

Normalni ludzie nie sugerują się opiniami artystów i celebrytów. Nie dotyczy to jednak sporej części młodzieży wychowywanej przez internetowych influencerów (często politycznie poprawnych lub będących na służbie władzy) oraz tych wyznawców uśmiechniętej Polski, którzy uważnie śledzą życie celebrytów i starają się ich naśladować. Dla przeciętnego fajnopolaka Kuba Wojewódzki, Maciej Stuhr czy Barbara Kurdej-Szatan to przedstawiciele świata kultury. Ma do nich taki sam nabożny stosunek, jaki jego rodzice czy dziadkowie mieli do Ireny Dziedzic, Zygmunta Broniarka lub Andrzeja Wajdy. Światowi, nowoczesni, na pewno znają języki.

Każdy chciałby być taki jak oni. Więc jeśli oni coś mówią, to na pewno mają rację.

W takim pudle rezonansowym kształtują się „słuszne” poglądy. Władza rzuca hasło, usługujące media to podchwytyją, celebryci powtarzają, media ich cytują i tworzy się bańka informacyjna, w której jest zanurzony fajnopolak. Później dzieli się tym ze swoją rodziną i znajomymi („Słyszałaś? Kaczyński wlał rękę do Odry”), wszyscy się oburzają lub zgadzają, a on żyje w przekonaniu, że jest świetnie poinformowany i właściwie ocenia sytuację. Co więcej, jest gotów klócić się i wymyślać od najgorszych tym, którzy próbują mu wyjaśnić, że jest w błędzie. On przecież wie lepiej. Tak podali w TVN, „Newsweeku” i potwierdziła to jeszcze Magda Mołek.

WZORY DO NAŚLADOWANIA

Wyznawcy uśmiechniętej Polski nie imponują wiedza ani erudycja. Nie czyta książek, bo go nudzą, a jedyne, jakie ma na półce, to produkcyjniaki w rodzaju Remigiusza Mroza lub modne pozycje mające robić wrażenie na gościach – np. proza Olgi Tokarczuk lub zakurzony album z impresjonistycznym malarstwem francuskim.

Zamiast szukać wiedzy fajnopolak ogląda seriale na Netflixie i Fakty w TVN. Jedyne, co mu naprawdę imponuje, to kasa i sława. Chciałby się otaczać znanymi ludźmi, a jeśli takich spotka, to prosi o wspólne zdjęcie i do końca życia będzie opowiadał znajomym, jak to zamienił kilka słów z Vito Bambino.

Jednak niedoścignionym wzorem pozostaje dla fajnopolaka Donald Tusk. W sygnowanym jego nazwiskiem dzienniku zatytułowanym „Szczerze” zawarta jest bodaj cała esencja fajnopolactwa. Premier przedstawia się tu jako polityk najwyższego formatu, a zarazem znawca sztuki, najlepszego wina oraz sympatyczny, wiecznie młody luzak. Ten groteskowy, pretensjonalny obraz, którym Tusk mógłby zapewne uwieść wszystkie pensjonarki, przywodzi nieco na myśl lekcje „stylu”, które dla podobnego odbiorcy prowadziła niegdyś Jolanta Kwaśniewska. Mamy bowiem do czynienia z „naukami” skierowanymi do zakompleksionych ignorantów i ignorantek, którym bardzo zależy na tym, aby uchodzić za nowoczesnych światowców i którzy ekscytują się Tuskową erudycją rodem z Wikipedii niczym odkryciem życia na Marsie.

To właśnie pod takiego wyborcę ustawił się Rafał Trzaskowski, który – jak pamiętamy – mówił coś po francusku, co dla jego elektoratu uchodziło za dowód wręcz kosmicznych kompetencji i znak przynależności do światowej elity. Zresztą on też jest fajnopolakiem, o czym świadczą choćby słynna scena z warszawskiej imprezy, na której prezydent stolicy – jak na 50-letniego luzaka przystało – domagał się od didżejki lepszej „muzy”.

TUSKOWI ARYSTOKRACI

Kultura uśmiechniętej Polski jest wyłącznie na pokaz. Gdy zajrzeć do niej głębiej, szybko dokopie się do prawdziwego oblicza naszej „arystokracji” – bluzgów Andrzeja Seweryna, rubasznych opowieści Rafała Trzaskowskiego o tym, jak w młodości był „dupiarzem” czy końskich zalotów Tomasza Lisa.

Czemu jednak fajnopolak miałby się oburzać na Trzaskowskiego za to, że ten był „dupiarzem”? To przecież doskonała rekomendacja dla mężczyzny, każdy normalny facet lubi sobie przecież trochę podupczyć z jakąś ładną panną. Z podobnych powodów wyznawca uśmiechniętej Polski nigdy

Staliśmy się społeczeństwem spacyfikowanym kulturowo i za sprawą obecnej władzy ten proces zyskał duże wsparcie państwa

nie zrozumie zarzutów wobec Lisa. Że był – jak mówią – trochę niegrzeczny wobec podwładnych? Toż wiadomo, że pracownik to obibok i cham, który myśli tylko o tym, jak oszukać swojego szefa. A że – jak piszą – Lis obściskował jakąś dziennikarkę podczas kolegium czy wkładał makijażystce paluchy w spodnie? I co z tego. To przecież nobilitacja dla pracownicy. Każda się łączy do szefa, trudno więc czasem tego nie wykorzystać. Być może w odróżnieniu od uśmiechniętych Polaków zapatrywania uśmiechniętych Polek na relacje damsko-męskie są nieco inne, ale zapewne i one nie mają większych złudzeń. Ludzie są przecież tylko ludźmi. Każdemu się zdarza.

W rzeczywistości przeciętny fajnopolak jest więc dość często nieokrzesanym prostakiem, maskującym swoje pochodzenie i oblicze bogactwem, zagranicznymi wożaczami i werbalnym

poparciem dla postępowych haseł. Kombinuje, bo uważa, że wszyscy dookoła są kombinatorami, bije się wyłącznie o kasę, bo przecież jedynie frajerzy poświęcają się dla innych celów. Jest przedstawicielem antykultury, postrzegającym świat jako walkę wszystkich ze wszystkimi, z której tylko najbardziej cwani wyjdą zwycięsko.

Bardziej okrzęsany leming zdaje sobie sprawę z tego, że często łamie zasady. Dlatego próbuje zakrzyczeć swoje słabości, kierując swoją agresję w stronę Kościoła, prawicy lub uboższej większości społeczeństwa.

KULTUROWA PACYFIKACJA

PRL był – o czym często się zapomina – okresem długotrwałej inżynierii społecznej, której cel stanowiło wyparcie dawnego systemu wartości i zastąpienie go nowym, komunistycznym w treści i proletariackim w formie. Nie do końca się to powiodło, mieliśmy bowiem raczej do czynienia z wymieszaniem części starych elit z nowymi, co dało ambiwalentny efekt: nowi nabrali nieco oglady, ale za to starzy się zdegenerowali.

Dziś jako społeczeństwo znów podlegamy przemianom. I wcale nie są to zmiany na lepsze. Po upadku PRL niektórzy liczyli na to, że uda się odbudować polskie elity, ale ich rozkład był zbyt duży, a zachodnia rewolucja kulturowa, która dotarła do Polski, zbyt silna, aby było to możliwe. PiS, które w ostatnich latach próbowało pochwycić kulturę zapaśca naszego, poniosło niestety porażkę. Nowe elity III RP, po części wyrosłe z peerelowskich, a po części na gruncie awansu społecznego i materialnego, niemal całkiem zerwały ciągłość z tradycyjnym systemem wartości i wynikającą z niego kulturą.

Staliśmy się społeczeństwem spacyfikowanym kulturowo i za sprawą obecnej władzy ten proces zyskał duże wsparcie państwa. Jej zapleczem są głównie karierowicze oraz kulturowi prostacy. To oni stali się „inżynierami polskich dusz” i na równi z ekipą Tuska odpowiadają za cywilizacyjny regres kraju.

To nie było zwykłe pożegnanie

Jakie przesłanie niesie dzisiaj życie i śmierć sierż. Mateusza Sitka?



Wie pan, nie mogę przestać myśleć, czy to wszystko stałoby się, gdyby dwa lata temu „ci” nie zaczęli całej tej kampanii nienawiści przeciwko naszym żołnierzom na granicy – usłyszałem te słowa od pana Michała, którego poznałem w ub. tygodniu na pogrzebie Mateusza Sitka, młodego polskiego żołnierza 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, zabitego przez nielegalnego imigranta na polsko-białoruskiej granicy. Kim są „ci”, dobrze wiemy. Pan Michał użył innego, dużo mocniejszego słowa na „ich” określenie, ale nie będę go tutaj powtarzał.

Staliśmy przed kościołem pw. św. Anny w Nowym Lubielu, małym miasteczku na północy Mazowsza. To piękna, drewniana świątynia, zbudowana w końcu XIX w., w której śp. Mateusz przyjął chrzest i pierwszą komunię. Urodził się w pobliskiej wsi Plewica, uczył w Wyszkowie. Był dzieckiem Mazowsza, utalentowanym i pracowitym młodym człowiekiem z patriotycznej i katolickiej rodziny, który marzył o tym, aby być polskim żołnierzem.

Kiedy 28 maja nielegalny imigrant zaatakował go nożem na odcinku granicy w okolicach Dubicz Cerkiewnych, miał 21 lat. Zmarł 6 czerwca 2024 r. w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie po nieudanej walce o jego życie.

Pan Michał, z którym rozmawiałem na uroczystości pogrzebowej, nie znalazł go. Podobnie jak dziesiątki innych osób, które tego dnia stanęły przed kościołem w Nowym Lubielu, by jako patrioci złożyć hołd młodym człowiekowi, który oddał życie

za ojczyznę. Rozmawialiśmy otoczeni tłumem z biało-czerwonymi flagami.

Czekaliśmy na rozpoczęcie ostatniego pożegnania Mateusza. Gdy zaczęła się modlitwa, słowa „Zdrowaś Maryjo” zmieszały się z krokami polskich żołnierzy wchodzących po drewnianej posadzce do kościoła.

Wielu z nich pozostało na zewnątrz. Rozpoznałem różne jednostki wojskowe, od żołnierzy obrony terytorialnej przez policjantów po strażaków. Wszyscy przybyli, aby oddać hołd poległemu żołnierzowi, młodemu obrońcy Polski.

TO JEST ICH WYBÓR

Wśród młodszych zauważyłem chłopców i dziewczęta ubranych w mundury. Gdy podszedłem bliżej, przeczytałem napis na uniformach. To licealiści z I LO CN-B im. Polskich Spadochroniarzy w Wyszkowie, którzy przyjechali tu razem ze swoją dyrektorką Joanną Wawrzczak. Trudno zbierać materiał w tak trudnych okolicznościach, ale w głowie wciąż brzmiało mi jedno pytanie: jak nastolatki z klasy wojskowej czują się na pogrzebie zabitego żołnierza, wiedząc, że niektórzy z nich wybiorą także karierę w polskim wojsku? – To jest ich wybór, ich pasja – odpowiada mi pani dyrektorka. – Wie pan co, przed chwilą rozmawiałam z chłopakami i zapytałam, czy ponownie wybraliby tą szkołę. Powiedzieli, że tak i że nie są w niej przypadkiem. Chcą tu być, bo to jest ich wybór.

Choć przed kościołem zgromadziło się wiele osób przybyłych z całej Polski, widać było, że wśród tłumu nie zabrakło także mieszkańców okolicznych miasteczek i wsi. Podchodzę do trzech młodych mężczyzn ubranych na czarno i pytam o Mateusza.

– Tak, znaliśmy się. Regularnie graliśmy w piłkę nożną na lokalnym boisku – od-

powiada jeden. „Noga” obok wojska była drugą wielką pasją Mateusza. Jestem ciekawych ich wspomnień o zmarłym koledze.

– Był bardzo, bardzo w porządku – mówi kolejny z nich i można zobaczyć, że to nie kurtuazja na potrzeby tego reportażu. Ścisza głos i po krótkiej pauzie dodaje: – Takie rzeczy, sposób, w który został zabity, nie powinny się zdarzać.

To zdanie dobrze oddaje atmosferę, którą w dużej mierze dało się odczuć w trakcie pogrzebu.

„Czy nielegalny imigrant może być lepiej chroniony niż polski żołnierz?” – pyta na początku nabożeństwa proboszcz parafii Wojciech Goryszewski, ten sam, który udzielił Mateuszowi sakramentu chrztu i pierwszej komunii.

To pytanie wisi w powietrzu i jest powtarzane raz po raz w tłumie żałobników. Ale mimo to mam wrażenie, że całe wydarzenie odbywa się ponad wszelkimi podziałami politycznymi i ma wydźwięk metafizyczny.

WIERNY RODZINIE I OJCZYZNIE

Od śmierci sierż. Mateusz Sitek media dużo o nim pisały. Poznaliśmy chłopaka, który już w rodzinie otrzymał jasne wskazówki dotyczące życia. Młody, cichy, zdyscyplinowany, oddany swoim zadaniom i wierny rodzinie, ojczyźnie i społeczności, która go ukształtowała. Marzył o byciu żołnierzem, ale nie z powodu jakiejś chłopięcej fascynacji bronią i mundurem, ale ze względu, odważyć się to powiedzieć, na świadomość misji, jaką dzisiaj oznacza służba wojskowa. Prezydent Andrzej Duda opisał go jako „żołnierza z powołania” i miał pełną rację.

Jego pogrzeb tętnił różnymi emocjami. Oczywiście był smutek z powodu przedwczesnego odejścia młodego życia. Ale była też duma. Że są jeszcze młodzi ludzie tacy jak Mateusz Sitek, którzy są gotowi oddać życie za ojczyznę, służąc w ten sposób Bogu i bliźniemu. Kiedy stałem przed kościołem na północnym Mazowszu (to region z mocną tradycją patriotyczną) i modliłem się z tymi ludźmi oraz rodziną poległego żołnierza, zdałem sobie sprawę, że jestem wśród tych, którzy czynią to, co najlepsze w tym, co nazywamy polskością.

Mali, zwykli ludzie z, jak to określają snoby, „prowincjonalnej Polski”. Pierwsi, którzy odczuwają skutki ewentualnego ataku na ojczyznę i pierwsi, którzy pójdać ją bronić. Dalecy od salonów politycznych i społecznych, które nimi gardzą, opisując jako „ciemnogród”, choć tak naprawdę są najlepsi z nas.

Doskonale rozpoznał to również prof. Piotr Grochmalski, wykładowca, politolog i analityk, który mówił mi o tym, jak wiele ważnych przesłań dla Polaków niesie postawa Mateusza Siteka.

– Droga wojskowa tego młodego człowieka była mocno osadzona w świadomości tożsamości narodowej. Jak wiemy

„Kochani, módlmy się za naszą ojczyznę. Niech rządzący naszym krajem zawsze podejmują mądre i odpowiedzialne decyzje, aby żadna matka nie musiała płakać nad trumną swojego dziecka, a synowie i córki mogli wracać bezpiecznie do swoich rodzin” – powiedziała w bardzo emocjonalnym przemówieniu pani Emilia Sitek, matka Mateusza

z doniesień medialnych, wychowywał się w rodzinie o silnym ładunku patriotycznym. Był utalentowany i pracowity – mógł wybrać dla siebie karierę, jaką chciał. W sposób głęboko przemyślany zdecydował się na armię, co jest bardzo istotne. Jego szkolenie w Wojskach Obrony Terytorialnej też nie jest przypadkowe. Kiedy w Polsce zaczęto budować system WOT, duży nacisk położono na oparcie go na patriotycznej tradycji polskiej armii, którą odziedziczyła nowa formacja. Przede wszystkim powstała jako naturalna kontynuacja tradycji Armii Krajowej – opowiada prof. Piotr Grochmalski i dodaje: – Sierż. Mateusz Sitek był żołnierzem 1. Brygady Pancерnej, która jest częścią

18. Dywizji Zmechanizowanej im. gen. broni Tadeusza Boka. Ta nowa dywizja, utworzona w 2018 r., miała za zadanie wypełnić strategiczną lukę na wschodzie Polski. Powstała ona na skutek złych decyzji rządu Donalda Tuska w latach 2007–2015. Nosi imię generała, który poległ w katastrofie prezydenckiego samolotu w Smoleńsku, co też ma swoją symbolikę. W Smoleńsku zginęło całe dowództwo polskiej armii, co jest faktem bezprecedensu w całej historii NATO. Dywizja stacjonuje na obszarze najbardziej zagrożonym ze strony reżimu Władimira Putina. Żołnierze służący w tej formacji wiedzieli, że na wypadek rosyjskiej agresji im pierwszym przyjdzie bronić ojczyzny – wyjaśnia analityk.

PRAWDZIWA MISJA

Po latach utrzymywania, że żyjemy na „końcu historii”, przebudzenie rosyjskiego imperializmu w Europie ponownie nas otrzeźwiło. Wojsko, instytucja, która wydawała się przestarzała, znów zyskała na znaczeniu.

– Za pierwszej kadencji rząd Tuska przekonywał, że wojny nie będzie. Bagatelizował ostrzeżenia śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego dotyczące rosyjskiego imperializmu. Wspierał zbliżenie Berlina i Moskwy – przypomina prof. Grochmalski. – Jednak w ciągu ostatnich kilku lat uległo to głębokiej zmianie. Młodzi Polacy, którzy wcześniej nie czuli, że wojsko może dać im misję, teraz odkrywają ją jako służbę, która pozwala im pomóc ojczyźnie i społeczeństwu. Historia

Mateusza Siteka jest dowodem na taki właśnie powrót poczucia głębokiej misji do polskiej armii – podsumowuje Grochmalski.

Wagi żołnierskiej służby szczególnie teraz, gdy bezpieczeństwo naszej ojczyzny jest zagrożone, z całą pewnością jest świadoma również mama śp. Mateusza. W bardzo emocjonalnym przemówieniu pani Emilia Sitek powiedziała:

„Kochani, módlmy się za naszą ojczyznę. Niech rządzący naszym krajem zawsze podejmują mądre i odpowiedzialne decyzje, aby żadna matka nie musiała płakać nad trumną swojego dziecka, a synowie i córki mogli wracać bezpiecznie do swoich rodzin”.

Oby jej słowa zostały usłyszane.



Uczniowie gorszego sortu?

Jako Stowarzyszenie Katechetów Świeckich jesteśmy przeciwni zawłaszczaniu religii przez polityków jakichkolwiek ugrupowań. Religia i jej nauczanie powinny być wolne od polityki oraz traktowane jako wyraz praw, wolności i swobód obywatelskich, zdobyczy demokratycznych państw

Z Piotrem Janowiczem, przewodniczącym Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, rozmawia Dorota Łosiewicz

„Szkoła jest od kształcenia, a nie od formacji religijnej” – twierdzi Barbara Nowacka, minister edukacji narodowej. A jak jest pana zdaniem?

Piotr Janowicz: Przede wszystkim powinniśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, czym jest szkoła, mając jednocześnie na uwadze, że zawsze pozostaje ona miejscem spotkania człowieka z drugim człowiekiem – ucznia z uczniem, ucznia z nauczycielem. Spotkanie powinno być oparte na

wzajemnym szacunku, a w tym mieści się także poszanowanie prawa do edukacji religijnej. Warto zaznaczyć, że MEN było partnerem tegorocznej XXXIV Olimpiady Teologii Katolickiej dla młodzieży szkół ponadpodstawowych, a to potwierdza, że młodzież zdobywa jednak całkiem obszerną wiedzę podczas lekcji religii. W liście, który Stowarzyszenie Katechetów Świeckich skierowało do prezydenta RP, marszałka Sejmu i MEN podkreślamy, że wobec rosnących

problemów młodego pokolenia żyjącego pod coraz większą presją multimediów, w których ginie przekaz uniwersalnych i duchowych wartości oraz doświadczającego negatywnych skutków rozpadu więzi rodzinnych i ogólnospołecznych, uważamy, że polska szkoła winna jeszcze bardziej wesprzeć rodziców w procesie wychowania ich dzieci, co posłuży zarówno ich indywidualnemu, jak i społecznemu dobru. Dlatego nawiązując do preambuły konstytucji RP, w której czytamy: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł [...] w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem” postulujemy wcielenie w życie naszego apelu w imię wzajemnego szacunku i społecznego porozumienia. To w szkole dzieci na każdym etapie rozwoju otrzymują coraz bardziej wyspecjalizowaną wiedzę, dzięki której rozwijają się intelektualnie i pogłębiają nabywane umiejętności praktyczne. Jednak aby dojrzewać do pełni człowieczeństwa, każdy młody człowiek szuka pogłębionych odpowiedzi na pytania egzystencjalne, moralne i etyczne. Obecność religii i etyki w szkole na każdym etapie kształcenia służy właśnie temu moralnemu i duchowemu rozwojowi dzieci i młodzieży.

Tymczasem ocena z religii ma nie być wliczana do średniej. Jaki to jest sygnał dla dzieci?

Brak wliczania oceny z religii do średniej może spowodować u uczniów poczucie, że ten przedmiot jest mniej istotny od innych nauczanych w szkołach, a to z kolei może – choć nie musi – wiązać się z poczuciem bycia gorszym od tych, którzy nie uczęszczają na religię. Warto zauważyć, że dla większości rodziców posyłających dzieci na lekcje religii oprócz tego, że stanowi ona pomoc w przekazie wiary, jest wychowaniem dzieci do wartości moralnych, nauką tolerancji wobec poglądów innych niż chrześcijańskie, przestrzenią do zadawania pytań i szukania na nie indywidualnych odpowiedzi. Jesteśmy przekonani, że rodzice posyłający swoje dzieci na lekcje etyki czynią to również w nadziei, że wychowanie do uniwersalnych wartości realizowane w szkole skutecznie wspiera rozwój moralny ich pociech. Dlatego dziwi nas, katechetów, obecne otwieranie pola potencjalnego konfliktu związanego z ograniczaniem nauczania religii i etyki w polskiej szkole wbrew oczekiwaniom większości społeczeństwa oraz pozbawianiu nauczycieli tych przedmiotów pewności zatrudnienia.

A jak rozumieć wymuszenie, by religia odbywała się na pierwszej lub ostatniej lekcji?

Przede wszystkim powoduje to chaos organizacyjny oraz problemy z racjonalnym ułożeniem planu lekcji. Brak wliczania ocen do średniej w połączeniu z umieszczaniem religii na pierwszej i ostatniej lekcji jest rozwiązaniem dalekim od uczenia tolerancji, w tym tolerancji religijnej, a biorąc pod uwagę pomysł łączenia rozmaitych grup wiekowych w ramach wspólnych zajęć powoduje, że taka organizacja w ogóle wydaje się niemożliwa.

No właśnie, od września łączone lekcje religii lub etyki będzie można organizować w klasach, w których na zajęcia zgłosiło się więcej niż siedmiu uczniów. Ale te grupy mogą łączyć uczniów w różnym wieku. Z klas I–III i IV–VIII. Jak to wpłynie na edukację?

To zaskakujący pomysł. Oznacza bowiem, że w jednej grupie w lekcji religii bądź etyki będą brali udział uczniowie klas czwartych z uczniami klas siódmych czy ósmych albo klas pierwszych z uczniami klas trzecich. To całkowicie ignoruje poziom rozwoju emocjonalnego i intelektualnego uczniów oraz ich realne potrzeby w tym zakresie, a także zdobytą przez nich do tej pory wiedzę. Uczniowie połączeni w takie przypadkowe grupy zostaną pozbawieni równych szans edukacyjnych. Takie rozwiązanie wywoła dyskomfort u młodszych uczniów, którzy będą czuli, że odstają od starszej części grupy, z kolei starsi uczniowie nie będą chcieli dopasowywać się do poziomu wiedzy i potrzeb młodszych. Za sprawą tego rozwiązania może także dojść do sytuacji, w której uczniowie będą zmuszeni do pozostawiania na tym samym poziomie wiedzy przez kilka lat, bez szansy na poznawanie materiału dostosowanego do ich wieku, rozwoju potrzeb i oczekiwań. Prowadzenie lekcji w grupach tak bardzo od siebie oddległych wiekowo zakłada, że nauczanie w ogóle nie powinno być dostosowane do wieku uczniów i do ich potrzeb rozwojowych.

REKLAMA



"Co Kościół na to?"

Weronika Ostrowska
środa, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa

13.05.24/F

Słyszymy, że ma chodzić o większą elastyczność. Czy faktycznie tak mało dzieci uczęszcza na religię, że są problemy ze zorganizowaniem grup?

W dużych miastach może być mniej chętnych niż w mniejszych miejscowościach, gdzie frekwencja jest bliska 100 proc., jednak według statystyk ok. 80 proc. uczniów w skali kraju uczęszcza na lekcje religii. Do Stowarzyszenia docierają sygnały z różnych części Polski, że dyrektorzy szkół aktualnie wymuszają na rodzicach, by ci ponownie składali lub wycofywali deklaracje w sprawie udziału dzieci w lekcjach religii. Tak naprawdę pomysły MEN cofają edukację w zakresie religii do formacji, lekceważą bowiem wiedzę i potrzeby rozwojowe młodych obywateli, w ogóle nie pytając ich o zdanie. Uczniowie, którzy chcą uczestniczyć w lekcjach religii, nie tylko rzymskokatolickiej, co warto zaznaczyć, również powinni mieć głos, a zostali całkowicie zlekceważeni. Osoby uczęszczające na lekcje religii nie powinny czuć się gorszym sortem uczniów.

Barbara Nowacka najchętniej ograniczyłaby lekcje religii do jednej tygodniowo. Czy to możliwe?

To są ustalenia pomiędzy episkopatem a rządem, my nie bierzemy udziału w tych rozmowach, choć zgłaszaliśmy wolę uczestnictwa. Ale trzeba przypomnieć, że nauczanie religii jest obecne w 23 krajach Unii Europejskiej i kształtuje przede wszystkim szacunek wobec drugiego człowieka. Szacunek to coś więcej niż tolerancja i w obecnych czasach powinniśmy dążyć do poszanowania osób bez względu na to, czy i jaką religię wyznają. Religia to przedmiot, którego nauczanie odbywa się wyłącznie na życzenie rodziców i uczniów. Jako Stowarzyszenie Katechetów Świeckich jesteśmy przeciwni zawłaszczaniu religii przez polityków jakichkolwiek ugrupowań – religia i jej nauczanie powinny być wolne od polityki oraz traktowane jako wyraz praw, wolności i swobód obywatelskich, zdobyczy demokratycznych państw.

Mam wrażenie, że MEN najchętniej wypchnęłoby religię do kościołów. Co by to oznaczało?

Byłby to jakiś krok w tył, patrząc zarówno z perspektywy historii naszego kraju, jak i miażdżącej większości państw członkowskich Unii Europejskiej. W sytuacji gdy coraz większy odsetek uczniów nie odbiera żadnej edukacji aksjologicznej w szkole, czego pośrednim skutkiem wydają się rosnące problemy psychiczne naszych dzieci i podejmowanie przez nie zachowań ryzykownych zdrowotnie, dodatkowy atak MEN na lekcje religii jest po prostu szkodliwy

dla młodych ludzi. Dlatego doprowadzenie do społecznego konsensusu w kwestii wychowania do wartości w polskiej szkole jest konieczne.

Czemu mają służyć zmiany w nauczaniu religii? Jakie są prawdziwe intencje autorów rozporządzenia?

Sami zadajemy sobie i władzom to pytanie. Wszystkie działania MEN w sprawie lekcji religii dotyczą jej organizacji, a ich celem jest ostateczne wyprowadzenie nauczania tego przedmiotu ze szkół. Być może w szerszym znaczeniu mają się przyczynić do marginalizowania potrzeb duchowych młodych ludzi, co nie jest krokiem w dobrą stronę. Z mojego ponaddwudziestoletniego doświadczenia w nauczaniu religii w różnych typach szkół wynika, że młodzi ludzie oczekują i potrzebują tych zajęć, są one dla nich przestrzenią

poszukiwań wartości, tożsamości, wyrażania własnego zdania, dzielenia się przemyśleniami i doświadczeniem, a to wszystko w poczuciu pełnego przekonania, że ich głos jest wysłuchany. Podczas tych lekcji uczniowie zdobywają wiedzę nie tylko na temat religii i jej wpływu na historię i kulturę, lecz także stanowią one dla nich miejsce nauki budowania relacji z innymi ludźmi i wyrażania siebie. Poprzez lekcje religii uczniowie zdobywają poczucie sprawczości i rozumieją, że są wartością sami dla siebie nawzajem. Pozbawienie młodych ludzi dostępu do nauczania o wartościach i duchowości człowieka może być niebezpieczne dla ich zdrowia psychicznego. Wobec rosnącej liczby prób samobójczych dokonywanych przez dzieci

i młodzież takie ograniczenie nauczania religii i etyki może pogłębić ten problem.

W całej tej sytuacji warto także zwrócić uwagę na to, że nie wiadomo, jaka będzie dalsza sytuacja świeckich nauczycieli religii, których jest ok. 20 tys. Stanowią oni absolutnie większość osób nauczających religii i także nie są pytani o zdanie oraz całkowicie pomijani, a ich wieloletnie doświadczenie nie jest brane pod uwagę. Trzeba skończyć z retoryką, która dominuje w przekazie medialnym, a stanowi skutek przedziwnego myślenia polityków utożsamiających Kościół wyłącznie z duchowieństwem. Kościół to przede wszystkim ludzie świeccy i głos świeckich powinien być słyszalny.

Do tego dochodzi zdejmowanie krzyży w urzędach zarządzanych przez prezydenta stolicy. Dokąd to zmierza?

Takie działania być może są nakierowane głównie na tzw. zabicie kapitału politycznego. Jednak rugowanie wartości z życia publicznego, po pierwsze, ma bardzo złe konotacje historyczne, po drugie, nigdy nie wynikło z tego nic dobrego.



Jak Rosja chce wygrać wojnę i rywalizację z Zachodem?

Aby uniknąć bezpośredniego zaangażowania NATO w wojnę na Ukrainie, na Kremlu najwyraźniej postawiono z jednej strony na groźby eskalacji konfliktu, a z drugiej na to, by sprawić państwu postrzeganym jako najbardziej wrogie możliwie dużo kłopotów, tak by uwaga rządzących i opinii publicznej skupiła się na własnych problemach



MAREK BUDZISZ

W minionym tygodniu rosyjskie Ministerstwo Obrony poinformowało, że w drugim etapie trwających właśnie ćwiczeń sił strategiczno-kosmicznych, których scenariusz przewiduje symulowanie ataków taktycznymi głowicami jądrowymi, czyli takimi, które mogą razić cele w Europie, ale nie stanowią zagrożenia dla USA, wezmą

udział oddziały Petersburskiego Okręgu Wojskowego. Ta informacja zaskoczyła obserwatorów, bo do tej pory Moskwa informowała jedynie o manewrach w bezpośredniej bliskości Ukrainy, a teraz najwyraźniej rozszerzyła planowany obszar ćwiczeń. Potwierdza to zresztą oficjalny komunikat o włączeniu do manewrów okrętów Floty Bałtyckiej, które, uzbrojone w rakiety średniego zasięgu, „mają wyjść w wyznaczone rejony patrolowania”.

Mamy więc do czynienia z oczywistym posunięciem eskalacyjnym, rodzajem komunikatu strategicznego, którego odbiorcami są przede wszystkim państwa na wschodniej flance NATO, co oznacza, że rosyjskie siły nie koncentrują się wyłącznie na wojnie ukraińskiej. W podobny sposób należy interpretować zaangażowanie w ćwiczenia armii białoruskiej oraz narastającą liczbę ataków na granicy z Polską i w jej pobliżu. Przykładem na to może być informacja z ub. tygodnia: samolot linii

Finnair lecący z Helsinek do nadgranicznej z Rosją miejscowości Joensuu nie mógł wylądować i musiał zawrócić ze względu na zakłócenia sygnału GPS.

Zasadniczym pytaniem, które trzeba zadać w związku z tymi incydentami, jest to, czy mamy do czynienia z rutynowymi działaniami czy może raczej Rosjanie zmienili swoją strategię zwycięstwa w wojnie, którą toczą z Zachodem i teraz mamy do czynienia z jej realizacją.

NUKLEARNY STRASZAK

Wiele wskazuje na to, że tak właśnie jest. Otwarcie mówił o tym w Petersburgu Władimir Putin, występujący na corocznym Forum Ekonomicznym. Agencje odnotowały, że zapowiedział on możliwość dostarczenia przez Rosję rakiet dalekiego zasięgu państwom, które są poróżnione z Zachodem, ale nie dostrzeżono, iż rosyjski prezydent użył wieloznacznego sformułowania, wspominając o dostawach dla „państw czy nawet legalnych organizacji, które doświadczają na sobie pewnej presji, w tym natury militarnej”. Jakie organizacje mógł mieć na myśli? Tego nie wiemy, ale możemy być zaskoczeni kolejnymi posunięciami Kremla. W Petersburgu Putin wspominał też o możliwości zmiany rosyjskiej deklaratywnej doktryny użycia broni jądrowej, choć jednocześnie zaznaczył w rozmowie z Sergiejem Karaganowem, który od przeszło roku nawołuje do użycia broni masowego rażenia, aby w ten sposób wygrać wojnę, że tego rodzaju drastyczny krok nie jest potrzebny. W opinii Putina Rosja może odnieść zwycięstwo, kontynuując dotychczasową politykę. Jej istotą, jak zauważył Sergiej Poletajew, komentator wpływowego portalu Rossija w globalnej polityce, jest sprowadzenie wojny na Ukrainie do wymiaru lokalnego, co do tej pory się udaje. Rosja nie chce, aby powstała globalna koalicja państw, które będą zainteresowane rozwiązaniem konfliktu i mogą bezpośrednio zaangażować się w wojnę. Temu obecnie służy eskalacyjna retoryka nuklearna, u nas nazywana „straszakiem”. Będzie się ona zmieniała, o czym otwarcie mówił w rozmowie z dziennikiem „Kommiersant”

Sergiej Riabkow, wiceminister spraw zagranicznych odpowiedzialny m.in. za rozmowy rozbrojeniowe. Jego zdaniem doktryna użycia broni jądrowej „jest żywym instrumentem”, co oznacza, że może zostać zmieniona w każdej chwili.

Eksperci są zdania, że Kreml może wrócić do zapisów już nieobowiązującego dekretu z 2000 r., który dopuszczał użycie broni jądrowej, jeśli zostaną zagrożone żywotne interesy Rosji. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to obniżenie progu użycia rosyjskiego potencjału jądrowego. A to mogłoby doprowadzić do jakiejś formy ataku w kosmosie na systemy rozpoznania i łączności, czego Amerykanie, jak się wydaje, obawiają się najbardziej.

Rosjanie chcą postawić amerykańskie elity przed wyborem: albo jakaś formuła porozumienia w kwestii Ukrainy, albo wiele nowych ognisk zapalnych, potencjalnie groźnych dla interesów USA. Natomiast Europa Zachodnia powinna „zrozumieć”, że bez Rosji będzie ponosić coraz wyższe koszty i tracić w globalnej rywalizacji ekonomicznej

PROWOKACJE KREMLA

Jak mówi Sergiej Kaszin, rosyjski ekspert ds. militarnych, współczesna wojna jest związana przede wszystkim z umiejętnością zbierania, przetwarzania i przesyłania olbrzymiej liczby danych. Nawet stare systemy, pochodzące jeszcze z czasów sowieckich, jeśli zostaną w odpowiedni sposób zmodernizowane, uzyskują dodatkowe, nieporównywalnie lepsze zdolności w zakresie precyzyjnego rażenia celów.

A to oznacza, że w działaniach wojennych coraz większe znaczenie mają zdolności do walki radioelektronicznej i zakłócania systemów łączności przeciwnika. W opinii Kaszina Ukraina korzysta ze zdolności amerykańskich w zakresie zbierania i przetwarzania danych oraz świadomości sytuacyjnej (rozpoznanie i zwiad), co oznacza, że „wyłączenie systemu” uczyniłoby ukraińskie siły „ślepyimi, głuchymi i bezzębnymi”. I Rosjanie właśnie udoskonalają swoje możliwości w tym zakresie, czego dowodem jest choćby zagłuszanie sygnału GPS nad Bałtykiem i państwami wschodniej flanki.

Ale Kaszin w wywiadzie rzucił jeszcze jedną, ciekawą uwagę, którą warto odnotować. Otóż, jak zauważył, art. 5 traktatu waszyngtońskiego, który jest filarem kolektywnego bezpieczeństwa państw europejskich, nie dotyczy terytoriów zamorskich państw członkowskich, co oznacza, że atak np. na francuskie posiadłości na innych kontynentach nie będzie oznaczał wybuchu wojny z całym NATO. To spostrzeżenie w ciekawy sposób koresponduje zarówno ze słowami Putina wypowiedzianymi w Petersburgu, jak i tym, co realnie się dzieje. Na Kubę zawinęła rosyjska armada, w tym atomowy okręt podwodny Kazań, uzbrojony, jak się uważa, w rakiety Kalibr o zasięgu 2,5 tys. km i fregata Admiral Gorszkow wyposażona w hipersoniczne rakiety Cyrkon, o których Rosjanie mówią, że są „nie do namierzenia”. Ta „wizyta” jest lekceważona przez amerykańskich ekspertów, którzy twierdzą, że o stanie rosyjskich okrętów wiele mówi to, iż Rosjanie wysłali na Kubę również holownik, ale nie to jest istotne. Kreml sygnalizuje w ten sposób, że jest gotów „sprawić kłopoty” Waszyngtonowi w bezpośredniej bliskości kontynentu amerykańskiego. Zresztą nie tylko Stanom Zjednoczonym – niedaleko znajdują się francuskie posiadłości zamorskie, takie jak Gujana.

Tego rodzaju prowokacyjne dyslokacje okrętów czy deklaracje na temat gotowości wysłania rakiet i zaopatrzenia w nie państw w rodzaju Wenezueli czy Nikaragui, które są wrogię wobec Stanów Zjednoczonych, to element nowej strategii, o której mówią rosyjscy eksperci.

SCENARIUSZE ZWYCIĘSTWA

I tak Aleksandr Nosowicz, redaktor naczelny portalu Ru.Baltic, argumentuje, że Rosja ma przed sobą dwie drogi. Może albo wynegocjować zakończenie wojny na własnych warunkach, ale tego nie chce Zachód, albo kontynuować walkę i unikając wojny z całym NATO, zwiększyć koszty jej trwania, które ponosi Zachód.

Opodobnej strategii pisze też Poletajew, którego zdaniem niepotrzebna eskalacja może być nawet scenariuszem groźnym dla Rosji. W tym przypadku mogłoby chodzić np. o odwołanie się do potencjału jądrowego czy ogłoszenie kolejnej fali mobilizacji, o czym zaczynają mówić niektórzy rosyjscy eksperci, argumentujący, iż bez kadrowego wzmocnienia przerzdzonych sił rosyjskich nie ma mowy o kolejnej ofensywie. Ale Poletajew jest innego zdania i uważa, że druga mobilizacja mogłaby zachwiać chwiejnym konsensem społecznym w Rosji, który według niego sprowadza się do formuły: „Rosjanie popierają wojnę, o ile nas to nie dotyczy i nie spada poziom życia”.

Na znaczenie czynnika ekonomicznego w rosyjskiej strategii zwycięstwa zwraca też uwagę Aleksiej Dynkin, rosyjski akademik i jeden z doradców Kremla, który uważa, iż „główną niespodzianką dla naszych wrogów okazała się fantastyczna stabilność rosyjskiej gospodarki”. W świetle jego argumentacji sankcje nie osłabiły zdolności Rosji do kontynuowania wojny, a perspektywy na przyszłość są korzystne, o ile uda się uniknąć eskalacji i bezpośredniego zaangażowania Zachodu. To dlatego Rosjanie nerwowo zareagowali na deklaracje Macrona na temat gotowości wysłania francuskich instruktorów na Ukrainę, a jeszcze bardziej zaniepokoiły ich ostatnie decyzje dopuszczające ataki na cele położone w Federacji Rosyjskiej.

Aby uniknąć bezpośredniego zaangażowania NATO w wojnę na Ukrainie, na Kremlu najwyraźniej postawiono z jednej strony groźbę eskalacją konfliktu, a z drugiej na to, by sprawić państwom postrzeganym jako najbardziej stanowcze możliwie dużo kłopotów, tak by uwaga rządzących i opinii publicznej skupiła się na własnych problemach. To dlatego mamy zastrzeżenie sytuacji na granicy z Białorusią, która obecnie jest szturmowana przez młodych mężczyzn, sprawiających wrażenie wy-

szkolonych w walce, którzy mają w paszportach rosyjskie wize. Temu też służy fala „dziwnych zdarzeń”, czyli pożarów i aktów sabotażu, rozlewająca się po Europie.

URABIANIE ZACHODU

Siergiej Kryłow, rosyjski dyplomata, wice-minister spraw zagranicznych w latach 1993–1996, napisał, że rozpoczynanie teraz rozmów pokojowych z Zachodem nie ma sensu, bo „przeciwnik musi dojrzeć”, czyli zrozumieć swe położenie i pogodzić się z myślą, iż nie wygra wojny. To zakłada zdolność do jej kontynuowania na Ukrainie, ale jednocześnie umiejętność przeciwdziałania eskalacji. Ona mogłaby bowiem oznaczać rosnące zaangażowanie NATO, co z kolei odwróciłoby relację sił na niekorzyść Rosji.

To „dojrzwianie” do rozmów w opinii Kryłowa polega na uświadomieniu sobie przez europejskie elity faktu, że w dłuższej perspektywie bez rosyjskich surowców energetycznych gospodarka Unii Europejskiej przegra globalną rywalizację.

Jeśli analizować, w jaki sposób Rosjanie zamierzają grać ze Stanami Zjednoczonymi, godne uwagi jest to, co powiedział Aleksandr Łomanow z Centrum Prima-kowa, specjalizujący się w polityce Chin. Otóż w rozmowie z Fiodorem Łukianowem, doradcą Kremla i jednym z bardziej znanych rosyjskich ekspertów ds. polityki międzynarodowej, zauważył, że z oficjalnej retoryki Pekinu zniknęła formuła o „partnerstwie niemającym granic” jeśli chodzi o współpracę z Rosją. Władze Chin posługiwały się nią jeszcze w przed wybuchem wojny na Ukrainie. Teraz częściej używa się oficjalnie, charakteryzując stan rosyjsko-chińskich relacji, starego sformułowania mówiącego o „doktrynie trzech nie”, czyli że współpraca nie jest zwrócona przeciwko państwom trzecim, a Moskwa i Pekin nie dążą do zawarcia sojuszu strategicznego i nie chcą konfrontacji. W opinii rosyjskiego eksperta ta zmiana wynika z faktu, iż Chiny nie mają ochoty ryzykować w związku z trwającą wojną. Tak jak Rosja opowiadają się za nowym globalnym porządkiem przypominającym „koncert mocarstw”, ale nie mówią o strategicznym sojuszu z Moskwą.

Oceny Łomanowa można też odczytywać w przewrotny sposób. Jeśli nie ma mowy o sojuszu strategicznym Moskwy i Pekinu, a ma miejsce jedynie bliska

współpraca, to w nowym porządku nie należy wykluczać jakiegś formuły porozumienia Rosji i Stanów Zjednoczonych, bo „koncert mocarstw” wymusza politykę szukania równowagi. Oczywiście warunkiem takiego zwrotu jest uznanie przez Waszyngton strefy rosyjskich interesów w Europie Środkowej. Nie będzie ona przypominać RWPG czy Układu Warszawskiego, choćby dlatego, że, jak pisze Siergiej Kryłow, „naleganie na wystąpienie niektórych krajów z bloków politycznych, do których już należą, przyniesie wyraźnie efekt przeciwny do zamierzonego”. W jego opinii Rosja powinna prowadzić politykę umiarkowaną, ale twardą, bez niepotrzebnej symboliki.

Jeśli zatem opisywać obecną strategię zwycięstwa Rosji w wojnie z Zachodem, to składa się ona z kilku elementów. Po pierwsze, nie można dopuścić, aby konflikt na Ukrainie przekształcił się w otwartą wojnę z NATO. Po drugie, robić swoje, bo ze względu na różnicę potencjałów Rosja wygra lokalną wojnę, to tylko kwestia czasu. W jej efekcie Ukraina będzie państwem zniszczonym, niezdolnym do uprawiania polityki zwróconej przeciw Kremlowi, co z czasem zrozumieją też obywatela, jak to ma miejsce w przypadku Gruzji. Trzecim elementem strategii zwycięstwa jest stałe nękanie przeciwników z Zachodu, podnoszenie kosztów antyrosyjskiej polityki, destabilizowanie sytuacji.

Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to Rosjanie chcą postawić amerykańskie elity przed wyborem: albo jakaś formuła porozumienia w kwestii Ukrainy, albo wiele nowych ognisk zapalnych, konfliktów potencjalnie groźnych dla amerykańskich interesów. Będą też używać argumentu na temat przyszłych relacji, o ile Waszyngton uwzględni rosyjskie interesy, współpracy w polityce, której ostrze może być zwrócone przeciw Chinom. Natomiast Europa Zachodnia powinna zrozumieć, że bez Rosji będzie ponosić coraz wyższe koszty i tracić w globalnej rywalizacji ekonomicznej, a Europa Środkowa będzie miała do wyboru albo ciągłą destabilizację i agresję hybrydową, albo współpracę – oczywiście po tym, jak NATO wycofa swe siły z Polski, Skandynawii i państw bałtyckich. Nie musi to oznaczać żądania wyjścia z Sojuszu Północnoatlantyckiego, a tym bardziej z Unii Europejskiej. Moskwie wystarczy jedynie „odsunięcie sił” paktu na linię Odry. ▀

Kuba umiera po cichu

Los Kubańczyków nie budzi sumienia świata – umierają po cichu. UE od lat legitymizuje krwawy reżim klanu Castro, przekazując miliony euro ze wspólnej kasy państw członkowskich w ramach „Porozumienia o dialogu politycznym i współpracy” zawartego w 2016 r. z dyktaturą Raula Castro. Che Guevara, zbrodniarz, który stał się ikoną lewicy, zapewne cieszy się zza grobu, że 60 lat po rewolucji wciąż aktualny jest wygłoszony przez niego manifest o tym, że zabijali, zabijają i wciąż będą zabijać



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Czy pamiętacie państwo, jak to było zdobywać w PRL jedzenie na kartki? Kubańczycy przeżywają to każdego dnia od 1962 r.

A pamiętacie może przerwy w dostawie prądu? Mieszkańcy „wyspy gorącej jak wulkan” muszą się zmagać z brakiem

prądu nawet przez 20 godzin, co czyni niemożliwym przechowywanie żywności na zapas i paraliżuje pracę szpitali.

Kto jeszcze pamięta nieustanną inwigilację i czujne oko sąsiada należącego np. do ZOMO? Kubańczycy wiedzą, że czuwa nad nimi nieustannie oko jakiegoś donosiciela lub służb specjalnych.

Niektórzy jeszcze wspominają, jakim aktem odwagi było wyjście na protesty studenckie czy udział w strajku, ale reżim kubański zdołał niemal całkowicie unicestwić opozycję i po siłowo stłumionych demonstracjach w 2021 r. już mało kto ma odwagę protestować. Kolejna analogia: od-

ziały Wojska Polskiego w ramach Układu Warszawskiego były zmuszone do interwencji w Czechosłowacji, Kubańczycy zaś są podstępnie wysyłani są na front ukraiński, zasilając wojska Putina. Ekspert szacuje, że do tej pory 14 tys. Kubańczyków wcielono do armii Federacji Rosyjskiej, a parę tysięcy rodzin dostało już powiadomienie o śmierci syna lub męża.

OKRUCIEŃSTWO DYKTATURY

Tak naprawdę nie ma ani jednej opowieści z naszego życia w mrocznych czasach komunizmu, która nie rymowałaby się z dzi-



siejszym doświadczeniem Kubańczyków. Może tylko czasem trzeba podmienić dekorację lub detale z życia codziennego. Nawet dobranocka „Bolek i Lolek” pomagała zapędzić kubańskie dzieci do spania. Polska była jednak o wiele weselszym „barakiem w obozie”, bo nieznane nam było doświadczenie obozów reedukacyjnych dla homoseksualistów, nie wspominając o mordach na nich. Nikt tu też nie pamięta, aby w PRL w zorganizowany sposób zmuszano dzieci do morderczej pracy w polu czy w fabrykach, aby pokryć braki siły roboczej. Tymczasem wspomnienie niewolniczej pracy, np. przy trzcinnie cukrowej lub tytoniu, jest doświadczeniem pokoleń Kubańczyków.

Historycy, nawet ci zbiegli z wyspy, nie są w stanie oszacować liczby ofiar reżimu wprowadzonego w 1959 r. przez Fidela

Castro i jego popleczników. Powszechna zgoda dotyczy tylko tego, że rozstrzelano dziesiątki tysięcy (15–18 tys.), a tych, którzy przeszli przez więzienia, ok. 100 tys. Oblicza się wstępnie, że ponad 15 proc. społeczeństwa uciekło z kraju, do dziś exodus szacuje się na 2 mln osób.

Sama statystyka dobitnie ukazuje rozmiary okrucieństwa dyktatury, ale jednocześnie od dekad trwa akcja wybielania Fidela Castro i Che Guevary. To Pinochet, który stworzył nieporównanie mniejszy system opresji i w dodatku sam oddał władzę w sposób demokratyczny, jest uważany za najgorszego dyktatora z Ameryki Łacińskiej i wciąż służy lewej stronie jako przykład terroru prawicy.

PEŁNE WIĘZIENIA

Tymczasem to castroizm ma na sumieniu kolejne pokolenia Kubańczyków, ale mówi się o tym rzadko i niechętnie. W dodatku dyktatura wciąż zaostrza terror. Słynna była niedawno sprawa Mayelín Rodríguez Prado – telefonem komórkowym nagrała ona protesty, które wstrząsnęły miastem Nuevitas w sierpniu 2022 r. Chciała udokumentować, jak brutalnie policja rozprawiła się z jej koleżankami. Kilka dni później sąd skazał tę 21-latkę na 15 lat więzienia. Inna 22-letnia influencerka Sulmira M. Pérez przebywa w więzieniu od roku, aresztowana za opublikowanie na Facebooku serii postów, w których zachęcała Kubańczyków do wyjścia na ulice. Prokuratura żąda dwóch lat pozbawienia wolności za obrazę, dziewięciu za przestępstwo przeciwko porządkowi konstytucyjnemu oraz pozbawienia jej praw, konfiskatę majątku i zakazu opuszczania terytorium kraju. Młode dziewczyny spędzą za kratami najcenniejsze chwile swojego życia.

Osób oskarżonych o „przestępstwo działalności wywrotowej” jest mnóstwo, bo szacuje się, że reżim przetrzymuje za kratami co najmniej 1 tys. więźniów politycznych. Surowość wyroków ma odstraszać resztę społeczeństwa, aby zrezygnować z najmniejszych metod sprzeciwu wobec władzy. Komunistyczna Partia Kuby przez dekady traktowała swoich obywateli jak żołnierzy w koszarach: ludzie mają po prostu natychmiastowo reagować na oficjalne wezwania i bezwzględnie wykonywać polecenia władz.

Tyle że jest to już naród krańcowo wyczerpany i zagłodzony. Przeciętny Polak miałby zapewne ochotę spytać, dlaczego Kubańczycy nie zerwali kajdan tak jak my, ale na ten temat napisano mnóstwo książek i odpowiedź jest złożona. Kubański reżim był okrutniejszy, po latach rewolucji na wyspie pozostało niespełna 200 księży, a biskupi zostali wydaleny lub uwięzieni z wyjątkiem jednego, który współpracował z reżimem. Nie było komu powiedzieć non possumus. W latach 90. XX w. po wizytach na wyspie św. Jana Pawła II władza okazała większą przychylność Kościołowi, a temu udało się doprowadzić do uwolnienia więźniów politycznych. Dziś wiara jest tolerowana, o ile nie atakuje rewolucji i nie stanowi zagrożenia dla porządku publicznego. Podobno też marksizm kubański nie był aż tak ateistyczny jak ten przywleczony z Rosji. Kubańczycy wciąż nawet swoich męczenników za wiarę, choć rewolucja przedstawia ich jako męczenników imperializmu.

CODZIENNY HEROIZM

Codziennie życie na Kubie wymaga już niemal heroizmu. Jednym z najbardziej dotkliwych problemów są deficyty w dostawie energii, której brakuje czasem nawet przez całą dobę. Ludzie tracą resztki żywności zmagazynowanej na czarną godzinę, o ile kogoś stać na lodówkę. Jednak tym, co czyni te przerwy horrorem, jest niemożność walki z upałami. Wentylator to podstawa przeżycia upałów. Dla pełni obrazu warto przytoczyć fragment tekstu pt. „Dzień z życia Kubanki” opublikowanego w „El Debate” w 2023 r. i zaznaczyć, że jeśli ktokolwiek upomina się o tragiczny los mieszkańców Kuby, robią to wyłącznie prawicowe media w Hiszpanii (lewica i rządząca koalicja współpracują z reżimem).

„Na przykład dziś, gdy poszliśmy spać, kilka minut po położeniu się do łóżka było słychać, jak wentylator się zatrzymał i zgasły światła. Wskazywało to na początek przerwy w dostawie prądu, która miała trwać przez kolejne 9 godzin. Wkrótce temperatura gwałtownie rośnie, a dzieci zaczynają się kręcić w poszukiwaniu chłodu. Próbuje je ochłodzić, machając wachlarzem. Temperatura wyższa niż 40°C, a do tej wartości mierzonej na zewnątrz należy dodać jeszcze pięć stopni

panujących w mieszkaniu. Kleszcze, karaluchy i muchy, które nigdy nie zostały w pełni opanowane, krążą podług własnej woli, przenosząc choroby, takie jak gorączka tropikalna. Rząd przez lata ograniczał kampanię kontroli epidemiologicznej ze względu na braki wszystkiego. Dziecko się budzi, bo mimo mojego wachlowania pot spływa z niego strumieniami. Moja chora mama opowiada mi o wentylatorze na baterie, który ktoś sprzedaje. Trzeba taki kupić dla dzieci. Taki wentylator na czarnym rynku może kosztować 60 tys. kubańskich peso, czyli około 300 dolarów. Syn sąsiadki sprzedaje go za 30 tys. kubańskich peso. Natychmiast piszę do niego wiadomość, odpowiada jednak: »Skończyły się«. O świecie zapalają się światła. Przywrócili prąd, spalam jakieś 3 godziny, teraz czas biegać, żeby się umyć i przygotować całodzienne posiłki, zanim znowu odetną prąd. Priorytetem jest wykorzystanie energii elektrycznej do gotowania, tylko na kilku obszarach istnieje instalacja gazowa. Sąsiad puka do drzwi i zaskłopotany pyta mnie, czy mogę mu pożyżyć 2 funty ryżu do przyszłego poniedziałku. Z bólem w sercu mówię mu, że zostały mi ledwie 3 funty. My, Kubańczycy, spożywamy ryż codziennie albo dwa razy dziennie. [...]

Przed bodegą [sklep racjonowanej żywności] zaczynają się gromadzić ludzie. Sprzedawczyni krzyczy: »Kurczak dla osób powyżej 65. roku życia i poniżej 13 lat«, dla reszty nie starczy. Na najbliższym balkonie sąsiadka robi gest całkowitego rozczarowania i podsumowuje: »Powinni nas wszystkich już rozstrzelać«. Pralka staje, bo kolejna awaria, a obiad nie jest gotowy, nie ma na czym ugotować ani z czego, już nawet nie ma chleba ani konserw czy konfitur». To zaledwie mały fragment relacji, która przypomina nam najgorsze skojarzenia ze stanu wojennego, a przecież to się dzieje dziś i w sąsiedztwie Miami i Bahamów.

POLACY CHCIELI POMÓC

Czasem nie wiadomo, czy grozę tej sytuacji bardziej oddają robione z ukrycia zdjęcia pogrążonej w biedzie i głodzie kubańskiej ulicy, czy fakt, że mieszkańcy Kuby do tej pory nie zostali poinformo-

wani, że komunizm w Europie upadł w 1989 r. Trzeba jednak wspomnieć, że nawet przedstawiciele Polski, a konkretnie senator Zbigniew Romaszewski, w 2000 r. zaangażował się w pomoc tamtejszym dysydentom i Kościołowi, co zostało potępione przez klan Castro jako „konspiracyjne działania Polski przeciwko Kubie”. Liczne ślady oburzenia tą wizytą i wystawą poruszającą temat roli Solidarności i polskiego Kościoła w obaleniu komunizmu zachowały się w internecie. Do tej pory wszelka próba pomocy ze

„Przed bodegą [sklep racjonowanej żywności] zaczynają się gromadzić ludzie. Sprzedawczyni krzyczy: »Kurczak dla osób powyżej 65. roku życia i poniżej 13 lat«, dla reszty nie starczy. Na najbliższym balkonie sąsiadka robi gest całkowitego rozczarowania i podsumowuje: »Powinni nas wszystkich już rozstrzelać«”

świata kwitowana jest przez prezydenta Díaz-Canela oskarżeniem: „Wrogowie rewolucji usiłują nas zdestabilizować”.

UNIA ŻYWI REŻIM

Problem jednak w tym, że to Unia Europejska żywi tego potwora. Rosa María Payá, jedna z najbardziej znanych kubańskich opozycjonistek i córka zamordowanego przez reżim Oswaldo Payá, od lat prosi, aby Bruksela natychmiast zerwała „Porozumienie o dialogu politycznym i współpracy”, które utrzymuje i legitymizuje kubański reżim ze wspólnej kasy państw członkowskich.

Nie tylko ona, ale wielu aktywistów na rzecz wolnej Kuby oskarża unijnego

komisarza Josepa Borrellę (hiszpański socjalista) o przyczynienie się do uznania reżimu. Uważają, że UE ma wystarczające mechanizmy sankcji dla karania zbrodniarzy przeciw ludzkości, z pomocą którego mogłaby ukarać kubańskich generałów, architektów represji wobec bezbronnych Kubańczyków czy Wenezuelczyków.

Nie bez winy jest Hiszpania, która utrzymuje na Kubie sieć luksusowych hoteli dla bogaczy. Na konferencji zorganizowanej ostatnio w Madrycie Payá wytknęła gospodarzom: „Hiszpańscy biznesmeni nadal wzbogacają się na Kubie bez oglądania się na prawa obywateli i pracowników. Świat wie, jak to zastrzymac, bo robił to już wielokrotnie i zadziałało”. Orlando Gutiérrez Borronat, inny z przywódców demokratycznej opozycji, podczas tej samej debaty poświęconej relacjom Unii Europejskiej z Kubą stwierdził, że dotacja przyznawana przez UE przyznaje reżimowi komunistycznemu Díaz-Canela pomocą w utrzymaniu ścisłej kontroli nad ludnością. „Jak to możliwe, że Unia Europejska finansuje Federację Kubańskich Kobiet, która służy całkowitej kontroli kobiet? A Klub Paryski, który także jest instytucją europejską, w nieodpowiedzialny sposób przekazuje darowizny reżimowi w wysokości 4 mln euro? Gdzie się podziewają te pieniądze?” – mówił z oburzeniem Borronat. Odpowiedź jest oczywista: dyktatura używa ich do swoich celów, rozkrada i nagradza swoich aparatczyków. Dzięki tym zastrzykom

finansowym reżim utrzymuje się przy władzy i dlatego nie upada pod ciężarem własnej dysfunkcyjności.

Przez ostatnich osiem lat Unia nie ustawała w sankcjonowaniu i potępieniu tego co nadwiślański lewicowo-liberalny salon i zagranica zwąły „reżimem Kaczyńskiego”, a jednocześnie słała fundusze do krwawego reżimu z Hawany. Wniosek? Hegemonia kulturowa lewicy w Unii Europejskiej została zabezpieczona strukturalnie i dlatego woli wspierać spadkobierców komunistycznych rewolucjonistów, niż stać po stronie prawdy i wolności. Miejmy nadzieję, że wybory do Parlamentu Europejskiego właśnie zachwiał tym gmachem obłudy i nadejdą nowe, lepsze czasy również dla Kuby. 

K

ULTURY

*Kto ma na podorędziu
prastare jaszczury, nie
zawaha się ich użyć. Tak jak
członkowie „Rodu smoka”
wracający właśnie do
widzów. Nie tylko zresztą oni
wiedzą, jak cenna jest moc
przekazu, który przekłada
się na realny rząd dusz*

Drugie wejście smoka

Fot. Warner Bros. Discovery



Fot. Warner Bros. Discovery



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Nagrodzony Złotym Globem 2023 amerykański serial „Ród smoka” okazał się inwestycją godną swojego poprzednika. A skoro produkcja – będąca prequelem spektakularnej, liczącej osiem sezonów „Gry o tron” (2011–2019) – przyniosła twórcom i inwestorom medialny oraz finansowy sukces, zgodnie z prawami rynku musiała się doczekać kontynuacji. I tak oto drugi sezon „Rodu smoka” – zrealizowany również na podstawie bestsellerowej prozy George’a R.R. Martina – trafia do widzów, zwiastując w realnym świecie zmiany równie spektakularne jak w ekranowej kreacji fantasy.

UDERZENIE KOŁOSA

Niczym w finałowych bitewnych starciach pierwszego sezonu – gdy smoki wykorzystano do walki o Żelazny Tron (i widzów) – prastare jaszczury z kontynuacji „Rodu smoka” mają za zadanie wzmocnić emocje związane z wejściem na europejski rynek medialnego kolosa. Mowa o uruchomieniu platformy streamingowej Max (która zastąpiła HBO Max, stając się główną platformą Warner Bros. Discovery; w Stanach Zjednoczonych Max ruszył w maju ub.r.; w Polsce od 11 czerwca). Według branżowych zapo-

wiedzi to „największa premiera produktu w historii Warner Bros. Discovery” (globalnego koncernu mediowego, którego częścią stała się w 2018 r. grupa TVN).

Po zakończeniu procesu uruchomienia platformy w Europie Max będzie dostępny w 25 krajach regionu (1 lipca dołączy do niego Belgia). Światowy zasięg serwisu obejmie łącznie 65 państw i terytoriów. To imponujący rynek dla potencjalnych zysków.

SZEROKO I LOKALNIE

Drugi sezon serialu „Ród Smoka” pojawi się w ofercie Maxa 17 czerwca. Jednak, co podkreślają udziałowcy i kreatorzy platformy, jej „niezwykłą siłą będzie także lokalny kontent”.

Premierowy serial „Przesmyk” w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego z Leną Górą w roli głównej, produkcja „Lady Love” (z Anną Szymańczyk) „ukazująca świat niemieckiej branży porno w latach 70. i 80.” czy nowy sezon „Odwilży” to, jak słyszymy i czytamy w zapowiedziach, tylko początek. W serwisie Max będzie można zobaczyć m.in. premierowy i ostatni sezon serialu „Skazana” z Agatą Kuleszą w roli głównej. Obecnie trwają też prace nad ponad 15 produkcjami lokalnymi, które zostaną pokazane na platformie w ciągu najbliższych trzech lat. Do tego dochodzą realizacje dokumentalne. Często – jak oceniają przedstawiciele platformy – kontrowersyjne w wyrazie. Jeszcze w br. w serwisie zadebiutują polskie dokumenty Max Original – „Król Zanzibaru”, „Łowcy skór” i „Hope” Martyny Wojciechowskiej.

Z CZYM DO WIDZA?

Szeroka „na maxa” oferta nastawiona na przyciągnięcie (oraz zatrzymanie) jak największej grupy odbiorców robi wrażenie. Tym mocniejsze, gdy zestawia się ją z nieoficjalnymi doniesieniami dotyczącymi związania się kluczowego w minionych dekadach polskiego producenta i współproducenta fabuł oraz dokumentów. Realizowanych z myślą zarówno o dużym, jak i małym ekranie. Mowa o TVP, która w obecnym kształcie głównie odcina się od projektów zostawionych przez poprzedników, nie zabiega o dobrą ekspozycję tego, co już zrealizowano albo w przyspieszonym tempie wygasza produkcje kojarzące się z wcześniejszą ekipą (np. serial „Leśniczówka”).

Wydaje się przy tym nie mieć pomysłu na ofertę, która mogłaby, realizując politykę publicznego nadawcy, w jakimkolwiek zakresie rywalizować z zapowiedziami „lokalnego kontentu” prywatnych stacji czy płatnych platform (a taką jest Max).

TANIEC JASZCZURÓW

Wracając do przyciągającego widzów „Rodu smoka”, a w nim historii o „ludziach pełnych wad, którzy potrafią robić rzeczy dobre i potworne; są zdolni do odwagi, ale i do tchórzostwa”. „To rodzaj postaci, które kocham najbardziej” – komentował George R.R. Martin pierwszą serię. Przy okazji drugiej nie mógł się doczekać zwiększonej liczby smoków. W „Grze o tron” były trzy. W „Rodzie smoka” – 17 (w tym 9 w pierwszym sezonie). Spece od współczesnej filmowej technologii ponoć zrobili wszystko, by każda z fantastycznych

bestii była jedyna w swoim rodzaju, ale też współgrała wizerunkowo z jeźdźcem.

I tak np. Caraxes, należący do Daemona Targaryena, młodszego brata króla Viserysa (gra go Matt Smith, który zyskał popularność jako tytułowy „Doktor Who” oraz księżę Filip w „The Crown”), jest jednym z największych i najstarszych fantastycznych gadów w rodzinie Targaryenów.

Nie tak duży i groźny Syrax został przypisany do Rhaenyry Targaryen – księżniczki, która stała na drodze Daemona do władzy. Dorosłą bohaterkę gra nominowana do Złotego Globu 2023 Brytyjka Emma D'Arcy.

Rhaenyra, „pierworodne dziecko króla Viserysa”, by odsunąć od Żelaznego Tronu innych pretendentów mimo wcześniejszych oporów przystaje na rozpoczęcie bratobójczej wojny.

MIEDZY FRAKCJAMI

„Ród smoka” cofa opowieść o 200 lat wstosunku do akcji z „Gry o tron”. W finale pierwszego sezonu prequelu widzowie towarzyszyli księżniczce Rhaenyrze m.in. w szokujących scenach porodu. W kontynuacji serii fabuła koncentruje się na tzw. tańcu smoków, czyli brutalnej wojnie domowej między dwoma frakcjami rodu.

Daemon (Matt Smith) cały czas dąży do walki, ponieważ jako wuj Rhaenyry źle znosi fakt, że jej ojciec, a jego brat nie uznał go za swojego naturalnego następcę. Alicent (druga żona Viserysa) uważa, że korona należy się jej synowi, a nie Rhaenyrze, córce męża z pierwszego małżeństwa. Także w tej kwestii nie uda się uniknąć konfrontacji. A co będzie dalej?

TAJEMNICZY RYCERZ

Jak zapowiada portal Wirtualne Media, drugi sezon „Rodu smoka” wpisze się w ciąg tytułów przygotowywanych przez Warner Bros. Discovery, a związanych z czasem poprzedzającym fabułę „Gry o tron”. Na liście następnych produkcji znajdzie się m.in. „Rycerz Siedmiu Królestw” (serial będzie adaptacją jednego z opowiadań George’a R.R. Martina, toczącego się w Westeros kilkadziesiąt lat przed wydarzeniami z pierwszego sezonu „Gry o tron” i zatytułowanego „Wędrowny rycerz”). Pisarz zdradził na swoim blogu: „Serial zadebiutuje w przyszłym roku. Jeśli dobrze mu pójdzie, to »Zaprzysiężony miecz« i »Tajemniczy rycerz« [pozostałe dwa teksty z „Rycerza Siedmiu Królestw”] będą następne w kolejce”. 

W drodze do syna

Na dwa dni przed Dniem Ojca (który w Polsce przypada 23 czerwca) do polskich kin wchodzi film „Mój syn Ezra” – opowieść o łączącej pokolenia ojcowskiej miłości. Robert De Niro gra w niej rodzica, który towarzyszy dorosłemu już potomkowi (Bobby Cannavale) w budowaniu prawdziwie głębokiej relacji z autystycznym synem

Mój syn Ezra” to kino drogi. Wyrusza w nią (dosłownie i w przenośni) mało stabilny życiowo i zawodowo komik Max (Cannavale), który od rozwodu mieszka z ojcem (De Niro). Wyzwalającym impulsem okazuje się wiadomość, że była żona postanowiła umieścić Ezrę w szkole specjalnej. Bez pytania o zgodę, Max zabiera syna w podróż przez USA. Doświadczenie to staje się niezwykle ważne i budujące nie tylko dla ojca i syna, lecz także dziadka.

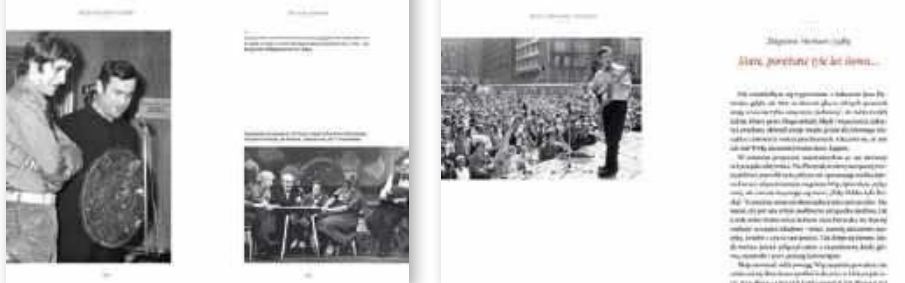
Pierwszą „ojcowską” rolę Robert De Niro zagrał równo półwieku temu w drugiej części głośnej trylogii Francisa Forda Coppoli. W nowe tysiąclecie wszedł z komediowym impetem jako despotyczny ojciec („Poznaj mojego tatę”, 2000). W filmie „Wszyscy mają się dobrze” (2009) próbował odbudować relacje z dorosłymi dziećmi. Rodzica surowego, ale oddanego synowi kreował w „Poradniku pozytywnego myślenia” (2012). Trzy

lata później jako tytułowy „Praktykant” (2015) po ojcowsku wspierał Anne Hathaway. Natomiast skutecznie utrudniał życie dojrzałemu potomkowi w komedii „Wszystko o moim starym” (2023).

Przy okazji promocji tego filmu wywołał poruszenie, przyznając, że jako 79-latek po raz siódmy został ojcem (w sierpniu 2024 r. aktor skończy 81 lat). Wcześniej, unikając wypowiedzi na temat prywatnego życia, stwierdził m.in., że nie jest tak fajnym rodzicem jak na ekranie. Przyznał, że z powodu rozwodów, romansów i rozstań nie potrafił sprostać roli ojca. Dlatego stara się być jak najlepszym dziadkiem czwórki wnucząt (często sporo starszych od jego najmłodszej córki). Dwuletnia Gia Virginia Chen ma 52-letnią siostrę Dreńę, brata Raphaela (47), 23-letnie bliźniaki: Aarona i Juliana oraz brata Elliota (26) i siostrę Helen (12).

JGZ





Prezent od pana Janka



RYSZARD MAKOWSKI

Klub Ronina to najlepsze miejsce na prestiżowe wydarzenie, jakim był wieczór autorski Jana Pietrzaka, który zaprezentował swoją najnowszą książkę „Moje zakazane piosenki”. Tytuł dość intrygujący. Pewnie wielu się zaduma, dlaczego zakazane? Przecież piosenki pana Janka są powszechnie znane

Oczywiście przez 64 lata intensywnego zajmowania się kabaretem i twórczością artystyczną przy jej niebywałym bogactwie wiele utworów dotarło do szerokiej publiczności, ale przyglądając się dokładniej drodze tytana polskiej satyry, trudno się nie zgodzić z tym trochę przewrotnym tytułem. Oczywiście czas Solidarności sprawił, że wiele utworów, przede wszystkim „Żeby Polska była Polską”, dotarło do mas, ale potem przyszedł stan wojenny i kabaret Pod Egidą musiał ponownie wrócić do małych sal i stał się towarem trudno dostępnym, nieustannie przeświecany przez cenzurę.

Wydawało się, że III RP będzie niezwykle przychylna artystyce, którego zasługi w walce o wolność i zmianę ustroju po 1989 r. są niezaprzeczalne. Niestety tak się nie stało. W latach 90. Jan Pietrzak musiał przenieść kabaret do Krakowa i Gliwic, bo w jego rodzimym Warszawie władze pilnowały, żeby nie mógł znaleźć lokalu na występy. Po 2000 r. też trzeba było szukać nowego lokum co sezon. Na koncert w Polskim Radiu w sali im. Witolda Lutosławskiego już za rządów dobrej zmiany nie znaleziono czasu antenowego. Został odtworzony w skrócie w programie nocnym.

Jako wyraziciel nurtu patriotycznego i narodowego Janek Pietrzak jest chronicznie szykanowany przez michnikowszczyznę, a jego twórczość i zasługi są na wszelkie sposoby umniejszane. Prowadzi to oczywiście do sytuacji, gdy życie przerasta kabaret. Zarzuty, że był członkiem PZPR, formułują ci, dla których Kiszczak i Jaruzelski to ludzie honoru.

Janek Pietrzak nie miał łatwego życiorysu, a to, co osiągnął, zawdzięcza swojemu talentowi, niebywalej mądrości życiowej, a także w dużej mierze niezłomności i umiejętności stawiania czoła najtrudniejszym wyzwaniom losu.

Ma już 87 lat, ale nie myśli o artystycznej emeryturze, tylko cały czas zachwyca formą. Oczywiście ten wieczór w klubie Ronina musiał być dopełniony występem artysty. Akompaniował sobie na gitarze, a muzykę wzbogacał pianista i kierownik muzyczny kabaretu Pod Egidą Mariusz Dubrawski.

Wydanie tekstów jego piosenek stwarza czytelnikowi możliwość dostrzeżenia maestrii operowania słowem przez Jana Pietrzaka. Gdy znajdziemy się z autorem sam na sam, łatwiej jest wyłuskać wszelkie niuanse z tekstów, które nawet wielokrotnie słyszeliśmy na koncertach. Bo Pietrzak jest ostatnim przedstawicielem legendarnych autorów budujących przez lata potęgę polskiej piosenki. Bohemę, wręcz poetycko-tekściarską arystokrację, współtworzył wraz z Agnieszką Osiecką, Jonaszem Koftą, Adamem Kreczmarem czy w czasach kabaretu Hybrydy Wojciechem Młynarskim. Wtedy piosenka była dziełem sztuki.

Większość tekstów w tej książce to klasyki, ale są też utwory nie tylko z dawniejszych lat, lecz także pisane ostatnio, świadectwa ogromnej wrażliwości autora nie tylko jeśli chodzi o tematykę społeczną. Mocno ujmuje wiersz „Co słowo, to łza” poświęcony ukochanej córce Jasi. Są też „Liryczne klimaty”, ale wrażenie robi też to, z jaką lekkością potrafił pisać parafrazy znanych utworów. Choćby „Egzekutywa” według „Lokomotywy” Juliana Tuwima czy „XI Księga »Pana Tadeusza« Adama Mickiewicza na nowo odczytana w 1980 roku”.

Jan Pietrzak jest też kompozytorem. Oprócz utworów napisanych dla siebie, takich jak niezapomniane „Pamiętajcie o ogrodach” lub „Czy te oczy mogą kłamać”, współpracował z wieloma wybitnymi kompozytorami – Jerzym Wasowskim, Włodzimierzem Korczem, Janem Kantym Pawluśkiewiczem czy Krzysztofem Paszkim.

Książka zawiera też 175 fotografii. Obok niepublikowanych dotąd pamiątek rodzinnych jest tu zilustrowana historia Egidy. Kto nie pamięta, zobaczy, jaka plejada gwiazd chciała współpracować z Jankiem Pietrzakiem, a wręcz uważała to za wyróżnienie. Są też plakaty Towarzystwa Patriotycznego, Fundacji Jana Pietrzaka. Można obejrzeć wizerunek zaproponowanego przez TP łuku triumfalnego Cudu nad Wisłą, który nie doczekał się realizacji.

Piosenkę „Dziękuję ci, Polsko, za 85 lat” kończy wers: „Dziękuję ci, Polsko, za moją publiczność”. To my Ci, Janku, dziękujemy za wielką pracę dla Polski, za *opus magnum* ku pokrzepieniu, a także za rozbawianie rodaków.



Liberałowie też potrzebują mitu - „1989”

To dobra decyzja Teatru Telewizji, że przeniósł musical „1989” wprost ze sceny krakowskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego na mały ekran. To głośne wydarzenie i warto, aby poznała je cała Polska.

Zarazem to sprawa uwikłana w konteksty polityczne. Kiedy progresywny dyrektor „Słowaka” Krzysztof Głuchowski ogłaszał ze sceny potrzebę „pozytywnego mitu”, w podtekście oskarżał prawicę, że za mało dbała o mit Solidarności, a nawet uwikłała go w karczemne awantury. Spór o rolę Lecha Wałęsy to pierwszy przykład.

Scenariusz napisali Katarzyna Szyngiera, Marcin Napiórkowski i Mirosław Wlekły. Ta pierwsza jest reżyserką spektaklu. Samą próbę opowiedzenia w konwencji śpiewanego scenicznego reportażu dziejów lat 1980–1989 uważam za uzasadnioną. Niedobrze, że w ogniu waśni politycznych zgubiliśmy patos tamtej historii buntu.

Inna sprawa, na ile to opowieść przejrzysta i sprawiedliwa. Twórcy mówili o powrocie do solidarnościowej jedności. Na bohaterów wybrano ludzi z późniejszej jednej strony: Lecha Wałęsę, Władysława Frasyniuka i Jacka Kuronia. Oraz ich żony. W jednej z finałowych piosenek nie zawahano się, wkładając to w usta Marcina Czernika grającego Kuronia, wbić szpilę braciom Kaczyńskim.

Ten spektakl ogłoszono arcydziełem teatralnym. Mnie porwał średnio, choć też pewnie ciężko było ogarniać roztańczoną i rozśpiewaną scenę telewizyjnym kamerom. Muzyką zajął się raper Andrzej „Webber” Mikosz, stąd legenda, że w Słowackim o Solidarności śpiewa się hip-hopem. Ale była to mieszanina hip-hopu i łatwego popu, czasem sugestywna, czasem standardowa.

Słowa o „pozytywnym micie”, włożone nawet do jednej z piosenek, wywołały aplauz w liberalnych mediach. Na co dzień te media wręcz obsesyjnie tropią próby kreowania mitów, choćby w filmach historycznych. Dopiero co recenzent „Wyborczej” zgłosił pretensję do Krzysztofa Łukaszewicza, że w „Czerwonych makach” nie próbował

podważyć mitu bitwy o Monte Cassino. Tu pomnikowość nie przeszkadza tamtej stronie. Niektóre śpiewane dialogi trącą dydaktyzmem, jak w produkcyjniakach z lat 50.

Dostajemy też przejmujące fragmenty, choćby o cenie, którą zapłaciła rodzina Frasyniuka za inwigilowanie i nękanie. Jest to uwikłane w dodatkowy cel: afirmację roli niedocenianych kobiet Solidarności, co trąci genderowym morałem, ale jest jakoś uzasadnione. Widzę tu jednak pęknięcie. O represjach, szykanach z czasów stanu wojennego mówi się dużo. A jednak gdy zbliża się kompromis w postaci okrągłego stołu, jedna z piosenek zestawia go z pojednaniem różnych stanów przy stole w „Weselu” Wyspiańskiego. Znika dramatyzm pytania, na ile można wierzyć komunistom. A już pojawiający się Aleksander Kwaśniewski to zapowiedź nowych, świetlanych czasów.

Za proste to. Choć spektakl był atakowany z różnych stron. Znana liberalna dziennikarka uznała za niedopuszczalne pokazanie gdzieś w tle filmów z Magdalenki, gdzie Michnik przepijał do Wałęsy i Kiszczaka. Pojawił się w przedstawieniu, acz niejasno, nawet sygnał rozterek związanych z dawną agenturalnością Wałęsy.



Najmocniej „1989” atakowali niemainstreamowi lewicowcy, choćby Jan Śpiewak. Uznali, że cukierkowe zakończenie zbagatelizowało późniejsze dramatyczne wybory związane z transformacją à la Balcerowicz. Ja, nie bagatelizując takich głosów, rozumiem radość z wyborów 4 czerwca. To jednak początek marszu ku politycznej wolności i suwerenności.

No i dobra wiadomość: przynajmniej na chwilę zniknął format 1 godz. i 20 min, który krępował teatry telewizji. Pytanie, czy to trwała zmiana.

Piotr Zaremba

SKW w piątki pracuje do 13.00

P przed nami czas smuty, przynajmniej kilka lat niszczenia wszystkiego, co stanowi o Polsce i polskości. Niewykluczone nawet, że nasze późne wnuki uznają 2023 r. za początek końca narodu.

Płoną centra handlowe, fabryki i zajezdnie, słychać wybuchy w polskich fabrykach zbrojeniowych, giną żołnierze na granicy. Od dwóch tygodni w piątki polski kontrwywiad wojskowy pracuje do 13.00.

Na całym kontynencie brutalne akty sabotażu, eksplozja w największej brytyjskiej firmie zbrojeniowej, katastrofy kolejowe w Szwecji, płonące chemikalia w berlińskiej fabryce produkującej broń dla Ukrainy, w Estonii rosyjscy agenci wywiadu zaatakowali samochód ministra spraw wewnętrznych.

Trwa wojna kognitywna, Rosja zaatakowała Zachód. W Polsce smuta i czas niepokoju. Wolny świat, choć dotknięty neo-marksistowskim trądem, jest dla nas militarnie i cywilizacyjnie jedynym wyborem. Znów z dwóch stron zaciskane są nam na gardle imperialne kleszcze.

Zachód odbudował Niemcy, choć od zawsze były częścią Wschodu, jasno wyłożył to pokrewieństwo Feliks Koneczny. Zjednoczone Niemcy nie poczuwają się do solidarności z zachodnią wspólnotą. Pod własnym parasolem militarnym Waszyngton wychował zbrojnika Rosji.

Amerykanie popełnili ten sam błąd w stosunkach z Chinami. Od lat 70. dopuszczone do swobodnej wymiany gospodarczej z Zachodem totalitarne państwo, choć miało się upodobnić do wolnego świata, jedynie urosło w siłę, nie zmieniając swej imperialnej istoty. Dokładnie to samo stało się z wykorzystującą naiwność Amerykanów despotyczną, putinowską Rosją.

Niemcy, Chiny i Rosja, bogacąc się, miały dać się ucywilizować. Partnerstwo było jednak jednostronne. Waszyngton sprzedawał Rosjanom i Chińczykom sznur, na którym ci chcą dziś Amerykanów powiesić, a Niemcy choćby tylko wypchnąć z Europy.

Po Polsce przejechał się walcem niemiecki nazizm, sowiecki komunizm, teraz kapitalistyczny globalizm. Naród wraca do zabobonu, katolicyzm w odwrocie. I w niebyt wcale nie spycha go ateizm. Połowa Polaków wyznaje dziś mętne, pogańskie wierzenia. Co czwarty katolik wierzy jednocześnie w reinkarnację i zmartwychwstanie, a są to idee wykluczające się na mocy swoich definicji. „To, w co wierzysz, stanie się z tobą po śmierci”, „Każdy ma swoją prawdę”, „Najważniejsze w życiu jest zdrowie”. Celebrytka, którą kochają dorastające dziewczynki, przekonuje: „Jedząc zwierzęta, które zostały zabite, jemy ich emocje”, mentorzy zapraszają: „Pozwól sobie być we flow: znajdź spokój, sens i moc! Dołącz do czołowych światowych mentorów, którzy wskażą Ci, jak pokonać stres, ośwoić lęk i stawić czoło traumie, abyś mogła prowadzić życie pełne miłości do samej siebie”. Newage’owy przekaz płynie z tysięcy stron, kanałów i profili. Dziś Dmowski nie znalazłby klucza do polskiej duszy. Hasło Polak-katolik odeszło w niebyt. Polska traci spójność, duchowy synkretyzm nie pomoże budować niezbędnej wkrótce jedności.

Co może nas jeszcze czekać? W miejscowości Spokane niedaleko Waszyngtonu dwa tygodnie temu aresztowano trzech nastolatków. Przejechali skuterami po graffiti LGBT+ namalowanym na lokalnym skrzyżowaniu dróg. Grozi im za to do 10 lat więzienia. Obok eko-religii, która ma wyznawców gotowych do kastracji w imię klimatu,



ROBERT TEKIELI

powstaje właśnie kult Najwyższej Istoty Kochającej Inaczej. Ile czasu potrzebały wierzenia neo-pogańskie, by ogarnąć Polskę? Trzy i pół dekady.

Rosja przyszła, aby podbić albo zniszczyć Ukrainę. Chce jej suwerenności, to nie jest wojna o terytorium. Jeśli Kijów przegra, mamy 535 km granicy, wzdłuż której staną bataliony, które zajęły Irpień i Buczę.

To wschód, a na zachodzie? Granty, finansowanie partii politycznych, sponsoring polityków, interesowna współpraca z samorządami – Niemcy od 35 lat używają nie tylko soft power, by przekonać Polaków, że własne państwo nie jest im potrzebne. „Przeciwnik może całkiem realnie podporządkować sobie społeczeństwo bez uciekania się do jawnej siły lub przymusu”, piszą autorzy artykułu z Johns Hopkins University i Imperial College London opublikowanego w „NATO Review”. Celem wojny kognitywnej jest doprowadzenie do rozłamu i rozpadu całego społeczeństwa, aby nie miało ono już zbiorowej woli przeciwstawienia się zamysłom przeciwnika. Sowietzi przekonali dwa pokolenia amerykańskiej młodzieży, że lepiej być czerwonym niż martwym. Ponad 100 lat temu Dmowskiemu, Piłsudskiemu i Paderewskiemu udało się przekonać Polaków, że warto mieć własne państwo, bo tylko ono o nich zadba. Jutro to zadanie może się okazać trudniejsze. 

Warte

Jesteśmy innym narodem, niż byliśmy przed wojną. Jesteśmy dziećmi z gwałtu, okrutnego i wielokrotnego. Po 1939 r. zlikwidowano całe grupy społeczne, zniszczono ziemiaństwo i arystokrację, zdeptano inteligencję, klasę przedsiębiorców, rzemieślników. Odcięto połowę Polski, a mieszkającą tam ludność wymordowano, wywieziono lub zniewolono. Przez nasz kraj przejechały buldożery XX-w. historii: niemiecki nazizm i sowiecki komunizm; został on poddany destrukcji, ludobójstwu, cierpieniu, zniewoleniu. Z czterech głównych polskich miast tworzących poczucie ciągłości Rzeczypospolitej ostał się jedynie Kraków. Lwów i Wilno nam odebrano, Warszawę zniszczono. Ogromna część więzi społecznych uległa rozbiciu, nie przetrwała praktycznie żadna instytucja przedwojenna. Komunistom udało się przekonać Polaków, że w 1939 r. nastąpiło całkowite zerwanie z przeszłością. Narzucili nam narrację, iż cała historia Polski to pasmo klęsk i nieporozumień, beznadziejnych konfliktów zewnętrznych i wewnętrznych. W miejsce bohaterów pojawili się bandyci, których otoczono kultem, a zerwanie ciągłości kulturowej uzewnętrzniło się w niewyobrażalnej brzydocie. Komunistyczna rewolucja się powiodła, bo odebrała Polakom tak wiele, iż nie mogli odtworzyć umysłowego, społecznego i duchowego stanu posiadania okresu przedrewolucyjnego. Tak zaczyna swój wywód Ryszard Legutko w „*Eseju o duszy polskiej*”. Klasyk polskiej literatury, dla każdego, kto chciałby rozumieć, czemu dziś Polacy są gotowi z entuzjazmem zrzec się suwerenności, o której marzyły pokolenia, za którą ginęły dziesiątki i setki tysięcy najodważniejszych.

Dziś zszokowani widzimy, że dla wielu z naszych rodaków niesuwerenność znów stała się atrakcyjną ideą. Prognozy dla suwerennych Polaków nie są dobre, jakbyśmy chcieli zostać lennikami – pisze autor w posłowie do najnowszego wydania „Eseju”. Tekst powstał w 2008 r., analizowany w nim głęboki, choć nieco zamaskowany polski sentyment do myślenia podległego nie tylko uzewnętrznił się w ostatnich latach w całej swej brzydocie, lecz także „stał się siłą jednoczącą miliony i przekraczającą społeczne podziały”.

Zaakceptowana po 1989 r. postawa kibica oraz chamstwo, z jakiego uczyniono buldożer do dekulturacji Polski wprawia dziś w dumę połowę naszych rodaków, stając się masowym symbolem politycznej przynależności. „Od roku 1989 cały system mentalno-instytucjonalny działał w taki sposób, że niesuwerenność utrwał: tworzone struktury, których celem była adaptacja do struktur istniejących na Zachodzie, imitowano schematy myślowe i wzorce kulturowe w celach adaptacyjnych, korzystano obficie z funduszy zachodnich ten sposób myślenia



promujących, a szkoły i uczelnie dostosowywały się do tendencji uznawanych za konieczne i nieodparte”. Ta strategia utwierdzała polską duszę w podległości.

Elitom nadano władzę lennika, a wasal, jak to wasal, czapowanie suzerenowi rekompensuje sobie chamstwem wobec tych, których ma za stojących niżej.

Działania burzące, głęboko wkorzenione dogmaty o naturalnej dla Polski roli kibica i adaptatora, wzbudziły się i wzbudzają furję i nienawiść. Apologii niesuwerenności nie głosi się wprost, lecz w quasi-patriotycznej retoryce. Pamiętamy, jak komuniści przekonali nas, iż właśnie mając na celu dobro Polski, musimy ją przekazać pod opiekę Związku Sowieckiego, dziś w płasach przy dźwiękach „Ody do radości” mamy ją oddać pod but Unii Europejskiej.

Natrwającą intronizację niesuwerenności nakłada się zaś proces przejmowania przez międzynarodowe struktury władzy coraz większej i coraz bardziej niezależnej od mechanizmów kontroli, jakie wypracowano w państwach narodowych. Sądy, parlamenty i konstytucje poszczególnych krajów są arbitralnie i bezprawnie pozbawiane władzy przez międzynarodowe trybunały prawne, WHO, UE czy instytucjonalizowane przez ONZ wielkie konferencje feministyczne czy demograficzne. Również pieniądź okazuje się mieć już nie narodowość, a ideologię – wielkie korporacje międzynarodowe zdobyły ogromny wpływ na tworzenie prawa oraz kształt języka publicznego Zachodu. Polscy niesuwereniści uznali więc, że cały porządek świata jest po ich stronie, a Polacy nie mają wyjścia i muszą się poddać – według nich – nieuniknionemu. Czy suwereniści wpadną w poczucie beznadziei? – pyta na koniec Ryszard Legutko. Czy wycofają się do nisz dających schronienie przed zalewającą Polskę falą triumfującego zniewolenia, czy na odwrót, mając nóż na gardle, zaczną sensownie działać i wywołą uśpioną energię narodu, by postawić się – jak to już w naszej historii bywało – na czele ruchu toczącego boje o wolność naszą i waszą? By tym razem już bez starych błędów i niewczesnych urojeń zająć się kształtowaniem współczesnego świata zgodnie z własnymi planami i poczuciem słuszności.

Robert Tekieli, Polskie Radio

Mądrość baśni

Baśnie to jeden z najstarszych gatunków epickich, element naszej duchowej kultury. Są nieśmiertelne. Archetypicznie przedstawiają ideały dobra, sprawiedliwości, a symbole określają kryteria ludzkich poczyniń. Baśń, oparta głównie na metaforze, miesza prawdę z fantazją, dyskretnie pomagając dzieciom przeżywanie i rozumienie siebie samych oraz tego, co w życiu jest trudne i niezrozumiałe. Uruchamia wyobraźnię, inteligencję, porządkuje uczucia. Korzeniami sięga dawnych wierzeń i zwyczajów, bo baśń można interpretować tylko w odniesieniu do kultury, w której wyrosła. W tym przypadku Słowian wschodnich i obecnego wśród nich od tysiąca lat chrześcijaństwa.

Warto powrócić więc czasem do świata, w którym pojawia się Baba Jaga – centralna postać słowiańskiego folkloru, złowrogi Kościec, dziad i baba, błotniak z bagien, wily, cudowne zioła, żywa woda, cud-drzewo, przebiegłe lisy, odpłacające dobrem za dobro konie i ptaki, miecze-samobije, a symbolem mądrości spotykani po wsiach i w polach długobrodzi dziadowie. Mamy też obecne szczególnie w słowiańskich podaniach archetypiczne triady – trzech braci, trzech synów, trzy ziarna, trzy prace do wykonania, troje zwierząt. W końcu zabicie smoka czy przechytzenie czarta.

Często najwykleszy prostaczek potrafi znaleźć najprostszy sposób na pokonanie Złego, struchlałego na widok zapalanej łojowej gromnicy. Bohaterami targają emocje, każdy z nich dokonuje trudnych wyborów w labiryncie symboli, w których kompasem musi być silny moralny imperatyw, a szczególnie wrażliwość na niedolę bliźniego.

W których za dobro spotyka nagroda, taka jak ożenek, władza i bogactwo, a za zło kara. Trzeba być też zapobiegliwym, ale nie bać się ryzyka, egoizm i zachłanność nie popłacają, a wielkoduszość owocuje stokrotnie. Nie można mieć wszystkiego naraz, a szczęście jest tylko chwilowe.

Człowiek musi również mieć świadomość swych ograniczeń. Przecież do dziś nikt nie policzył gwiazd na niebie i nie wskazał, gdzie leży centrum świata. A nawet zdobycie wiedzy przewyższającej mądrość bogów nie przynosi wolności, lecz zakuwa w kajdany, co przytrafiło się jednej z ciekawskich kobiet. Zdarzyło się to albo i nie zdarzyło, ale taka jest ludowa mądrość. I ja tam byłem, miód i wino piłem, po wąsach mi spływało, a w ustach nie stało!



Iwona Czaplą, „Baśnie wschodniosłowiańskie”, Replika 2024

DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Muzyka liturgiczna ma nas prowadzić ku Bogu, więc nie może być ani płytkim środkiem do łatwych wzruszeń ani prowokować wyszukaną estetyką. To oczywiście założenie teoretyczne, którego praktyki trudno szukać w dzisiejszych kościołach, tak samo jak porządnego organisty. Jednak kierowany przez Bartosza Izbieckiego, dyrygenta i muzykologa, zespół Jerycho w swoim wykonawstwie ożywia takie brzmienia, odwołując się też do żywego jeszcze niedawno na polskiej wsi śpiewu głosem otwartym i pełnym. Na swojej kolejnej płycie podjął się wykonania jednego z dzieł Josquina des Présa, jednego z najważniejszych kompozytorów renesansu. Interpretacja tej franko-flamandzkiej polifonii ma przywrócić jej oryginalne brzmienie, tym bardziej że zespół od dawna współpracuje z Marcelem Pérèsem, wybitnym specjalistą od odczytywania dawnej notacji i wykonywania starożytnych śpiewów, których próbkę szersza publiczność mogła usłyszeć w potężnym korsykańskim „Austerlitz Kyrie” w filmie „Napoleon”. Msza „Mater Patris” została po raz pierwszy wydana drukiem w 1514 r., docierając w jednej kopii do katedry wawelskiej na potrzeby Kapeli Rorantystów, męskiego zespołu wokalnego króla Zygmunta Starego. Jej motywem przewodnim jest motet „Mater Patris” zmarłego wówczas Antoine’a Brumela. Dodatkowo w Krakowie został on przerobiony przez Krzysztofa Borka, który m.in. dokomponował głosy w miejscach, w któ-

Msza księcia muzyków

rych zastosowano dwugłos. „W jego redakcji nie ma ani jednego taktu bez Josquina” – podkreślają twórcy.

Na przełomie XV i XVI w. pochodzący podobnie jak Josquin des Prés z Flandrii i północnej Francji kompozytorzy, pełniąc funkcje kapelmistrzów na głównych dworach i świątyniach Europy, zdominowali muzykę, tworząc zasady uniwersalnego stylu polifonicznego. Utwory z poszczególnych części mszy przyjmują formę wielogłosowego motetu, w którym podstawową linię podtrzymują męskie tenory lub basy, a kolejne linie wokalne, operując z coraz większą swobodą melodyczną, tworzą razem majestatyczną, niepokojącą i wywołującą bardzo silne emocje całość. Śpiewy te nie są bowiem „anielskie”, często poruszają słuchacza wielką i chropowatą siłą. Choć zamykająca płytę „Inviolata” na osiem minut zdaje się otwierać przed nim drogę ku tronowi apokaliptycznej Niewiasty z „koroną z gwiazd dwunastu”.

Ensemble Jerycho, „Josquin in Poland: Missa Mater Patris”, Dux Recording Producers 2024



Maciej Walaszczyk

Wojownicy ze skrzydłami

Tworzyli elitarne bractwo i najcięższą, choć posiadającą umiejętność sprawnego manewru, kawalerię. Byli formacją wszechstronną, klejnotem w koronie wojsk Rzeczypospolitej

Gdzie husaria, tam zwycięstwo” – głosiło znane powiedzenie. Działo się tak mniej więcej do końca XVII w., ale przez ponad 100 lat, od drugiej połowy XVI w., husaria przyjęła na siebie główny ciężar walki i obrony Rzeczypospolitej. Najsłynniejszą polską i litewską formację kawaleryjską cechowało znakomite wykształcenie, doskonałe wyposażenie i umiejętności indywidualne oraz zespołowe w walce i jeździectwie, a także wysokie morale wojowników. Apogeum jej triumfów wraz aspiracjami politycznymi ówczesnej Rzeczypospolitej wiąże się m.in. ze stoczoną w lipcu 1610 r. bitwą pod Kłuszynem i złożonym rok potem hołdem księcia moskiewskiego Wasyla IV Szuskiego przed królem Zygmunt III Wazą.

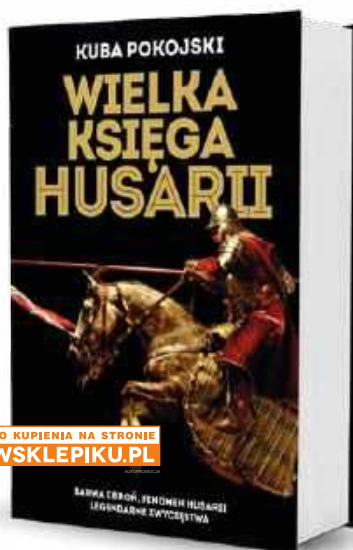
Warto posiadać tę publikację, w zamierzeniu będącą przystępną syntezą dostępnej wiedzy na temat husarii i jej historii w dziejach polskiego oręża. Lekko napisaną i starannie zredagowaną książkę ilustrują reprodukcje obrazów i rysunków, wzbogacone fachowymi opisami czerpanymi też obficie ze staropolskich źródeł. Husaria nie jest tworem polskim, ale to na naszych ziemiach w wyniku długotrwałej ewolucji osiągnęła szczytową formę. Obecnie, jak pisze autor, przeważający pogląd wskazuje na Bizancjum w X w., gdzie miała służyć wywodząca się z terenów Zakaukazia i Persji lekka jazda zwana „chosarioi”, przeznaczona do działań zwiadowczych. Potem trafiła do Serbii, gdzie jeźdźców nazywano „racami”, a stamtąd na Węgry i w końcu do Korony i na Litwę.

Pod wpływem Wschodu i Zachodu zmienił się więc husarski wygląd i uzbrojenie, które w emblematycznej formie sprowadzało się do kolczugi, szyszaka, zbroi z lamparcią skórą i skrzydłami, kopii, naddziaka, pałasza i szabli. Jej długa ewolucja prowadzi do łączącej dziedzictwo Wschodu i Zachodu polskiej szabli bojowej z łańcuszkiem, krótszą rękojeścią i kablukiem typu D, umożliwiającymi tzw. husarski uchwyt pozwalający na wszechstronną szermierkę. Autor opisuje, w jaki sposób dokonywano rozbudowy formacji, szkolenia, werbunku. Służba w niej wiązała się bowiem z prestiżem, ale też dużymi wydatkami ponoszo-

nymi przez fundatorów chorągwi, będącymi jej podstawową jednostką organizacyjną. Jedyne kopie były elementem uzbrojenia dostarczanych przez państwo. Dominował zaciąg towarzyski, prowadzony pośród znanych, zamożnych szlachciców posesjonatów (towarzysze husarscy). W stukonej chorągwi (dobry koń bojowy kosztował 2,5 tys. zł) służyło ok. 25 towarzyszy (40 zł żołdu na głowę). Każdy zgłaszał się z wystawianym przez siebie pocztą złożonym z kilku pocztowych, czeladzi będących rodzajem rzemieślniczego cechu tworzącego zaplecze armii. Pojmani jeńcy zawsze byli wypytani o liczebność husarii, uzbrojenie i morale. Była to bowiem formacja świadoma swojej skuteczności i umiejętności oraz klasy dowodzenia na każdym szczeblu, od poruczników i rotmistrzów przez pułkowników do hetmanów. Świadczy o tym lista znakomitych zwycięstw, które stoczyła przez tych 300 lat istnienia. I tak m.in. w 1621 r. pod Chocimiem 600 husarzy zwycięsko uderzyło na 10 tys. Turków, w 1531 r. pod Obertynem 5,7 tys. rozgromiło 17 tys. Mołdawian, a w 1577 r. pod Lubieszowem ok. 2 tys. rozprawiło się z ok. 14 tys. gdańskich buntowników (!) wspieranych przez najemników z Europy Zachodniej. To tylko krótka lista jej mniej znanych triumfów, z których

najbardziej znaczącymi, oprócz wspomnianego Kłuszyna, były zwycięstwa pod Orszą, Cecorą, Kircholmem czy Wiedniem.

W czym tkwiła tajemnica zwycięstw nad przeważającym wrogiem? „Nie liczba tam walczy, lecz mężowie” – miał wyjaśniać sułtanowi ten fenomen turecki wódz Abazy Pasza. „Gdybym miał taką jazdę, z moją piechotą obozowałbym tego roku w Konstantynopolu” – oświadczył król szwedzki Gustaw II Adolf, dysponujący przecież znakomitą rajtarią. Do służby przygotowywano bowiem od dziecka, np. codziennie hartując ciało zimną kąpielą, pływano, dźwigano ciężary. Do tego wysokobiałkowa dieta, trening jeździecki oraz fechtunek. „Mistrz zaraz nie chce być, byś nie pobłądził” – radził hetman Żółkiewski, przypominając też, by adept trzymał się „mocnie i statecznie” wiary chrześcijańskiej, dla której potem „krwie rozlać i żywota położyć nie żałować”. „Dopóki Usarza, dopóty Polaka”!



Kuba Pokojski, „Wielka Księga Husarii”, Fronda 2024



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

24 maja 2024 r. w Łęgu Probstwie na północ od Płocka naukowcy z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN odkryli ciała czterech ofiar komunistycznego reżimu. To pokazuje, jak ważną misję do spełnienia ma Instytut Pamięci Narodowej – przywrócić pamięć i oddać hołd bohaterom, a także wskazać ich morderców

Aby poznać genezę tych badań, musimy się cofnąć do wydarzeń z początku 1945 r. Po przejściu przez północne Mazowsze niemiecko-rosyjskiego frontu sytuacja w okolicy była daleka od spokojnej. Komuniści przystąpili do tworzenia strukturalnego czerwonego państwa, a NKWD i UB szybko rozpoczęły aresztowania działaczy podziemia niepodległościowego.

W lipcu 1945 r. doszło do rozmów przedstawicieli Ruchu Oporu Armii Krajowej z szefem UB w Płocku. Podziemie niepodległościowe chciało załagodzenia sytuacji. Efektem tych działań było ujawnienie się w Łęgu ok. 30 żołnierzy ROAK obwodu płockiego. Mało kto jednak wierzył w zapewnienia komunistów o bezpiecznym powrocie do normalnego życia, dlatego większość konspiratorów

Misja IPN trwa.

Co już wiemy o szwadronie śmierci?



została w ukryciu. Mimo to w okolicy zapanał względny spokój. Nie na długo. W listopadzie 1945 r. zaczęli ginąć ludzie.

CZERWONY WATAŻKA

To właśnie wtedy do domów zaczęli przychodzić umundurowani, zamaskowani mężczyźni. Wyprowadzali ludzi, którzy już nigdy nie wracali. Komunistyczna władza od razu ogłosiła, że sprawcami tych zaginięć są „reakcyjne bandy” – czyli podziemie niepodległościowe.

Jednak nie dało się długo ukryć tożsamości sprawców, członkowie rodzin i sąsiedzi ludzi wyprowadzanych z domów rozpoznawali wśród oprawców funkcjonariuszy MO i UB z okolicy: z Łęga, Bielska, Lelic czy Zagot. Wszyscy byli dawnymi partyzantami Armii Ludowej, podporządkowanymi w czasie wojny Jakubowi Krajewskiemu „Kubie” – po wojnie sekretarzowi komitetu powiatowego PPR w Płocku. W dodatku większość pochodziła z oddziału AL, którym dowodził Władysław Rypiński „Stary”, „Rypa”. I to właśnie on stał na czele tzw. szwadronu śmierci, który od jesieni 1945 r. siał postrach wśród miejscowej ludności.

Władysław Rypiński pochodził z ubogiej rodziny spod Sierpca. Był analfabetą, ojcem dziewięciorga dzieci. W II RP zaczął działać w Komunistycznej Partii Polski. W czasie wojny został członkiem PPR, a następnie partyzantem AL wspomnianego Jakuba Krajewskiego. W 1945 r. wstąpił do MO. Był sekretarzem PPR w Łęgu (potem zastępcą komendanta powiatowego ORMO w Płocku). Po tym, jak obwołał się przewodniczącym miejscowej Gminnej Rady Narodowej, zajął dworek, młyn i ponemiecki sklep w Łęgu Kościelnym. Właśnie wtedy z partyzantami swojego oddziału utworzył szwadron śmierci, PPR-owską bojówkę.

POD PATRONATEM KC

Grupa terroryzowała powiaty płocki i sierpecki przez dwa lata. Według różnych szacunków jej ofiarami padło od 50 do nawet 100 osób. Najbardziej zagrożeni byli członkowie opozycyjnego PSL, a także podziemia niepodległościowego. Część osób została zamordowana na polecenie Krajewskiego, inne z powodów znanych jedynie Rypińskiemu. Szwadron działał przy pełnej aprobacie

komunistycznych władz. O wszystkim na bieżąco był informowany szef powiatowej milicji Henryk Józwiak, a także członkowie Komitetu Centralnego PPR: Władysław Gomułka i Zenon Kliszko. Dzięki temu grupa była niezależna od UB i mogła swobodnie korzystać z pomocy okolicznych posterunków MO.

Głośnym echem odbiło się uprowadzenie i zamordowanie przez oddział „Rypy” trzech braci Gujskich: Ryszarda, Kazimierza i Juliana. Gujscy byli znani i szanowani w okolicy, w czasie wojny cała rodzina działała w AK. Ryszard był ojcem chrzestnym jednego z dzieci Rypińskiego. Kiedy w czasie wojny „Rypa” musiał się ukrywać, Gujscy zaopiekowali się jego rodziną.

Po wojnie banda „Rypy” przewiozła braci najpierw na posterunek milicji w Bielsku, gdzie poddała ich torturom, a następnie do dworku w Łęgu Kościelnym zajęтым przez Rypińskiego. Tam najprawdopodobniej zostali zabici. Rok po uprowadzeniu w stawie w Łęgu wypłynęły zwłoki Ryszarda Gujskiego. Zostały zabrane przez ubeków z Płocka i wywiezione w nieznanym kierunku.

Przeżył jedynie najstarszy z braci Stanisław Gujski, wcześniej komendant AK w Łęgu, a po wojnie działacz PSL. Tylko dzięki temu, że podczas uprowadzenia był w Gdańsku. Po powrocie w rodzinne strony rozpoczął poszukiwania braci, a o wszystkim poinformował wojewódzki komitet PSL. Na niewiele się to jednak zdało. W składzie komisji, która miała zbadać okoliczności uprowadzenia Gujskich, byli... Władysław Rypiński i Jakub Krajewski.

A w okolicy nadal ginęli ludzie.

ZWIERZĘTA ODKOPUJĄ KOŚCI

Jak wynika z zeznań członków grupy Rypińskiego, które złożyli podczas śledztwa wszczętego na fali odwilży w 1956 r., ofiary musiały same kopać sobie groby, rozebrać się i położyć w dole. O swojej działalności opowiadali ze szczegółami, jakby z góry wiedzieli, że i tak nic im nie grozi. W sumie mieli rację, bo nigdy nie stanęli przed sądem.

Po 1989 r. prokuratura w Płocku wprawdzie wszczęła śledztwo, gdy żyli jeszcze członkowie grupy Rypińskiego, jednak także bez efektu w postaci jakiegokolwiek wyroku. Samego „Rypę” dosięgła sprawiedliwość. Po kilkunastu próbach likwidacji podziemi niepodległościowemu udało się go dopaść 11 października 1947 r. Wyrok na nim wykonał patrol Wiktora Stryjewskiego „Cacka”, rozbity kilka miesięcy później przez UB.

Szwadron działał przy pełnej aprobacie komunistycznych władz. O wszystkim na bieżąco był informowany szef powiatowej milicji Henryk Józwiak, a także członkowie Komitetu Centralnego PPR: Władysław Gomułka i Zenon Kliszko

Na terenie dworku w Łęgu Kościelnym przejętego przez Rypińskiego i jego rodzinę, a także w najbliższej okolicy cały czas spoczywały szczątki wielu ofiar bandy. Pracujący w polu rolnicy wielokrotnie natrafiali na ludzkie kości. Późniejsi mieszkańcy dworku chowali znalezione szczątki obok miejsc kaźni. Do piwnicy przy budynku bano się wchodzić, ponieważ przez lata unosił się tam fetor rozkładających się zwłok. Według relacji jednej z kobiet w jej chlewie sąsiadującym z posterunkiem MO w Bielsku również świnie wykopały ludzkie szczątki. Mimo to przez lata nikt nie chciał mówić o tej zbrodni.

„Ludzie po prostu żyli w strachu. Bali się mówić o tym, co się działo, bali się przyznawać, jeżeli natknęli się na ludzkie szczątki. Najbliżsi krewni ofiar obawiali się o życie swoje i swoich dzieci. Teraz powoli się to zmienia” – mówi Magdalena Bukowska z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

WYDOBYWANIE Z DOŁÓW ŚMIERCI

Sprawa nabrała rozpędu w 2023 r., kiedy robotnicy podczas pogłębiania rowu obok jednej z posesji odkryli kości dwóch osób. Szczątki zabezpieczyła Prokuratura Rejonowa w Sierpcu i rozpoczęła śledztwo w tej sprawie. Wkrótce ruszyły przygotowania do poszukiwań kolejnych ciał. Jak relacjonuje Magdalena Bukowska: „Zaczęliśmy od przeglądania archiwów, bogatych protokołów postępowań sądowych z lat 50. i 90. przeciwko milicjantom, którzy byli w szwadronie śmierci Władysława Rypińskiego. Zeznawało wówczas wielu tych milicjantów, a także świadków tych zbrodni. Wielokrotnie przewijała się właśnie ta stodoła. Znajdowała się bardzo blisko posterunku milicji, a jednocześnie była oddalona od głównej drogi. W środku był wykopany dół. Aresztowanych wprowadzano do posterunku, kazano im się rozebrać, okradano ich z tego, co mieli, a potem biegiem pędzono do stodoły. Najczęściej działo się to zimą – tak wynika z relacji świadków i uczestników tych egzekucji. Dlatego zaczęliśmy od zbadania właśnie tej stodoły”.

Pierwszy etap prac został zakończony. Jak czytamy na profilu Biura Poszukiwań na Facebooku: „W dniach 6–24 maja na terenie należącym niegdyś do Milicji Obywatelskiej (dziś biblioteki gminnej) pod budynkiem gospodarczym ujawniono szczątki czterech osób. Ofiary noszą ślady postrzałów w głowę. Przy szczątkach znaleziono m.in. przedmioty osobiste. Przebadano także teren bezpośrednio sąsiadujący z miejscem, w którym w ub.r. odnaleziono ludzkie szczątki. Na sprawdzanym terenie nie odnaleziono kolejnych szczątków”. Teraz IPN szuka osób, które mogą być krewnymi ofiar Rypińskiego lub po prostu mają wiedzę o tamtych tragicznych wydarzeniach.

Warto podkreślić, że nie są to jedyne działania Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN. Podczas tegorocznych prac na Kalwarii Wileńskiej na Litwie ekshumowano szczątki co najmniej 15 żołnierzy AK. Na terenie dawnej leśniczówki Brenzberg w Mucznem w Bieszczadach trwają poszukiwania szczątków ofiar ukraińskich nacjonalistów zamordowanych latem i jesienią 1944 r. To pokazuje, jak ważne jest dalsze istnienie IPN. ➤



Przyszłość wolnego świata rozegra się również w Izraelu

Każde wołanie o zatrzymanie operacji wojsk izraelskich w Gazie jest nieporozumieniem. To oznacza zgodę na przetrwanie Hamasu, czyli permanentne zagrożenie dla Izraela, a także na przedłużenie dramatu ludności palestyńskiej poddanej tyranii obskuranckiej władzy



BERNARD MARGUERITTE

Jest zrozumiałe, że w Polsce jesteśmy bardziej świadomi zagrożenia dla Europy i demokracji z powodu agresji Putina na Ukrainę. Jest jednak godne pożałowania, iż tracimy z oczu dramatyczne konsekwencje dla wartości wolnego świata wynikające z tego, co się dzieje w Izraelu, Gazie i Cisjordanii.

Mówiąc o wydarzeniach w tamtej części świata, które stały się pretekstem do ohydnej fali antysemityzmu również na

Zachodzie, warto przytoczyć kilka ewidentnych prawd.

1. 7 października 2023 r. miał miejsce dramatyczny atak na Izrael i bestialski pogrom, w którym z rąk islamistów ginęły, często mordowane w sposób barbarzyński, również kobiety i dzieci; w dodatku zostali uprowadzeni zakładnicy, o których wciąż myślimy.
2. Zrozumiała i konieczna reakcja Izraela nie jest żadnym „ludobójstwem”, jak się słyszy podczas różnych demonstracji w wielu zachodnich krajach. Wojsko izraelskie nie chce zniszczyć ludności palestyńskiej. Stara się walczyć z autorami pogromu i pragnie unicestwić organizację uznaną za terrorystyczną przez Unię Europejską i Stany Zjednoczone.
3. Hamas, winny październikowego pogromu w Izraelu, to organizacja, która

planuje, jak zapisano w jej programie, budować państwo palestyńskie „od rzeki do morza”, czyli chce zlikwidować państwo izraelskie.

4. Izrael jako jedyne państwo demokratyczne w tej części świata i obrońca wartości wolnego świata walczy więc wręcz o przetrwanie.
5. Każdego obserwatora śmierci wielu Palestyńczyków niezwiązanych z Hamasem ta sytuacja musi głęboko poruszać. Takie dramaty są jednak związane z każdą operacją wojenną. Wiemy też, że izraelskie wojsko stara się zredukować liczbę ofiar cywilnych na tyle, na ile to możliwe. Pamiętamy również, iż operacja ta została sprowokowana pogromem 7 października dokonany przez Hamas, dla którego konsekwencje dla ludności palestyńskiej nie były specjalnie ważne.

Biorąc pod uwagę te fakty, widzimy, jak demonstracje „na rzecz Palestyny” na świecie i ta fala antysemityzmu są godne pożałowania. Te reakcje wynikają z braku znajomości rzeczywistości. Ale nie tylko. Akcje na ulicach czy uniwersytetach są inspirowane także z zewnątrz. W ostatnich latach Arabia Saudyjska i Katar płaciły wiele miliardów dolarów uczelniom w Ameryce i nie tylko. A niekiedy nawet zagubieni Żydzi potrafili finansować organizacje lewicowe i wspierające Hamas, jak pokazuje Rachel Ehrenfeld, prezes Amerykańskiego Ośrodka dla Demokracji, w książce „The Soros Agenda”.

Za karygodne należy uznać decyzje różnych państw o nagłym uznaniu „państwa palestyńskiego” (komunistyczna Polska uznała je już dawno). Stanowi to bowiem premię dla terroryzmu, stwarza przekonanie, że dokonanie pogromu może mieć dla jego autorów bardzo pozytywne konsekwencje.

Dziś, „uznając Palestynę”, co *de facto* uznajemy? W istocie istnieją bowiem aż dwa byty palestyńskie. Mamy do czynienia z Palestyną na Zachodnim Brzegu Jordanu, będącą pod kontrolą partii Al-Fatah Mahmuda Abbasa, i Palestyną w Gazie, opanowaną przez Hamas.

Abbas został wybrany na prezydenta Autonomii Palestyńskiej w 2005 r., jednak rok później jego partia Al-Fatah przegrała wybory z Hamasem (nawiasem mówiąc, były to ostatnie wybory, które odbyły się w Palestynie). Od tego czasu Al-Fatah kontroluje Cisjordanie, Hamas – Gazę, a oba ugrupowania ostro walczą ze sobą.

Al-Fatah nie jest uznawana za organizację terrorystyczną, a Mahmud Abbas ma opinię człowieka umiaru. Jednak w Autonomii Palestyńskiej demokracja jest bardzo ograniczona, przeciwnicy reżimu są prześladowani. Czego zresztą oczekiwać, kiedy na czele AP stoi Abbas, człowiek bez charyzmy, który niegdyś napisał w Moskwie pracę doktorską pod tytułem „Relacje między nazizmem a kierownictwem ruchu syjonistycznego”.

W raporcie z lutego 2020 r. think tank Al-Shabaka. The Palestinian Policy Network cytuje opracowanie Human Rights Watch, który twierdzi, że władze palestyńskie „dokonały w ostatnich latach

wielu aresztowań za pokojową krytykę władz, szczególnie w mediach społecznych, czy to wśród niezależnych dziennikarzy, czy w kampusach uniwersyteckich, jak również podczas manifestacji. Gdy rywalizacja Fatah–Hamas pogłębiła się mimo prób pojednania, służby bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej wzięły na celownik zwolenników Hamasu i odwrotnie... AP i Hamas przeprowadzają aresztowania, by ukarać krytyków i zniechęcić ich do dalszego aktywizmu”.

W artykule pt. „Tajne dokumenty Hamasu pokazują, jak szpiegował on zwyczajnych Palestyńczyków” „The New York Times” (z 13 maja 2024 r.) relacjonuje, jak służby policyjne w Gazie śledzą obywateli, szczególnie dziennikarzy

Na zdrowy rozum, kto w obecnej sytuacji mógłby sobie życzyć, aby zaistniało państwo palestyńskie? Jedno państwo ludzi pokłóconych ze sobą? Albo może dwa państwa palestyńskie? Albo Palestyna rządzona przez Hamas

i młodych ludzi, używając metod podobnych do stosowanych niegdyś przez Służbę Bezpieczeństwa. W artykule zacytowane są słowa Ehaba Fafousa, jednego z liderów opozycji wobec Hamasu, przekazane telefonicznie z Gazy: „Mamy do czynienia z bombardowaniami okupanta i bandytyzmem naszych władz miejscowych”.

Stosunki między Al-Fatah a Hamasem nie poprawiły się nawet w obliczu wojny z Izraelem. W marcu br. Hamas zaprotestował przeciwko nominacji Mohammada Mustafy na nowego premiera, dokonanej przez władze Autonomii Palestyńskiej bez jego zgody. W odpowiedzi przedstawiciel Al-Fatah odparował: „A czy Hamas skonsultował się z Autonomią Palestyńską, zanim się rzucił w awanturę 7 października?”.

Na zdrowy rozum, kto w obecnej sytuacji mógłby sobie życzyć, aby zaistniało państwo palestyńskie? Jedno państwo ludzi pokłóconych ze sobą? Albo może dwa państwa palestyńskie? Albo Palestyna cała rządzona przez Hamas, dążąca do budowania państwa na wzór Iranu, bez demokracji czy swobód obywatelskich, szczególnie praw kobiet (co zresztą tłumaczy, dlaczego szyici z Iranu, którzy na ogół walczą twardo z sunnitami, w tym przypadku wspierają sunnitów z Hamasu)?

Nie ulega wątpliwości, że obok demokratycznego Izraela musi zaistnieć państwo palestyńskie. Pierwszym warunkiem, aby osiągnąć ten cel, jest jednak likwidacja terrorystycznej organizacji Hamas. Natomiast każde wo-

łanie o zatrzymanie operacji wojsk izraelskich w Gazie jest nieporozumieniem. To oznacza zgodę na przetrwanie Hamasu, czyli permanentne zagrożenie dla Izraela, a także na przedłużenie dramatu ludności palestyńskiej poddanej tyranii obskuranckiej władzy.

Niestety Zachód ma doświadczenie angażowania się w kosztujące miliardy dolarów wojny i wycofywania się z nich bez ostatecznego rozstrzygnięcia, zostawiając po sobie sytuację gorszą niż przed konfliktem. Tak było z wojnami Amerykanów w Wietnamie, Afganistanie i Iraku czy z operacjami Francuzów w Wietnamie oraz Libii albo z Anglikami podczas kryzysu sueskiego.

Słuszną operację wojskową należy doprowadzić do końca. A co może być bardziej słuszne niż likwidacja organizacji terrorystycznej, dzięki której demokratyczne państwo Izrael będzie miało zapewniony pokojowy byt, ludność palestyńska będzie mogła żyć w wolności, a której wartości wolnego świata zostaną obronione?

Przed wszystkim nie należy poddawać się fali tragicznego antysemityzmu. I tu również polski głos musi być usłyszany. Tym bardziej że nie można mówić o Polsce bez nawiązania do wspólnoty żydowskiej, tak jak nie można mówić o Izraelu bez nawiązania do polskości. Te dwa narody łączy tysiąc lat historii, niekiedy wspólnej martyrologii. Dlatego należy przeciwstawiać się antysemityzmowi szczególnie w Polsce. Czekam na polski głos.



TOMASZ HABDAS*

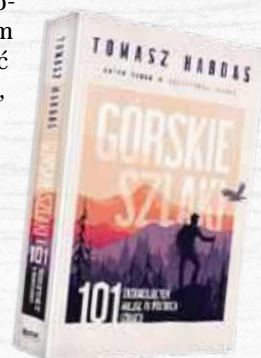
powszechnie kojarzonych po mniej znane). Pokazuje drogę m.in. do Skalnejszej Czaszki i Diabelskiego Okna, zdradza, co oznaczają symboliczne drzwi w Nieznajowej i wielka ławka na Trojaku, a także dlaczego miłośnicy gór oszaleli na punkcie Okna Pawlikowskiego.

„Po napisaniu trzech klasycznych przewodników, przedstawiających konkretne propozycje tras w wybranych pasmach, chciałem oddać w ręce pasjonatów turystyki górskiej pozycję nieco odmienną. Stąd też pomysł na ranking ponad 100 najciekawszych, najpiękniejszych, ale nie zawsze najbardziej oczywistych miejsc w polskich górach” – tłumaczy. „Dlatego też w zestawieniu znajdziecie Babią Górę w Beskidzie Żywieckim, a obok niej mniej znany szczyt o nazwie Muńcuł. Podobnie w Bieszczadach – proponuję

wspinaczy czy też działaczy Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego” – dodaje.

Habdas prowadzi czytelnika od Gór Izerskich przez Beskidy, Gorce, Tatry aż po Bieszczady. Opisy szlaków uzupełnia przejrzystymi mapami. Jako doświadczony przewodnik przedstawia precyzyjnie rozplanowane marszruty w wersjach zarówno dla zaawansowanych, jak i nowicjuszy.

„W górach czuję, że jestem najlepszą wersją siebie” – deklaruje. „To właśnie tam, na wysokości, jestem takim Tomkiem Habdase, jakim chciałbym być każdego dnia, niezależnie od lokalizacji i czasu. W górach



Nie ma jak w górach

„Czasami śmieję się, że gdybym za każdym razem, kiedy ktoś pyta o sens chodzenia w góry, dostawał na przykład 100 złotych, to pewnie miałbym już kilka działek w Zakopanem” – pisze w przedmowie do przewodnika „Górskie szlaki. 101 zaskakujących miejsc w polskich górach”, który ukazał się właśnie nakładem wydawnictwa Znak Koncept.

„Urodziłem się i wychowałem w sercu Beskidów – Żywcu i dlatego też Beskid Żywiecki, Śląski i Mały będą dla mnie zawsze szczególnym regionem” – deklaruje na stronie @wszczytowejformie. „Beskidy są jednak tak samo piękne jak Tatry. Tatry są tak samo cudowne jak Bieszczady, a te niczym nie ustępują swoim kolegom z Małej Fatry. W każdych górach można odnaleźć coś szczególnego i niesamowitego” – zapewnia.

W książce „Górskie szlaki. 101 zaskakujących miejsc w polskich górach” proponuje niemal 100 tras. Różnorodnych i pełnych turystycznych niespodzianek, ale zawsze sprawdzonych, z subiektywnie wybranymi atrakcjami (od tych

wycieczkę zarówno na widokowy Halićz, jak i do zapomnianej doliny z miejscowością Krywe. Opisywane legendy, ciekawostki czy też informacje w dużej mierze zasłyszałem od mieszkańców danego pasma, którzy przekazują je sobie z pokolenia na pokolenie. O wielu historiach dowiedziałem się od osób na co dzień mocno związanych z górami – gospodarzy schronisk, przewodników,

racach emocje są największe, uśmiech najszerszy, problemy znikome, a ja – najbardziej optymistyczny i otwarty. Jestem wtedy człowiekiem, który nie musi nikogo udawać, który cieszy się chwilą oraz życiem i który czuje, że obrał w życiu dobrą drogę”.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Przewodnik górski, autor m.in. strony @wszczytowejformie



Fot. Materiały prasowe

SŁODKO-SŁONY

Smak zielonej herbaty

ANNA MONICKA

Pierwsze spotkanie z matchą? Jakież 15 lat temu. Koleżanka przywiozła z zagranicy tajemniczy zielony proszek, bo znajoma ją namówiła, żeby koniecznie kupiła ten specyfik, rzadko wtedy u nas spotykany w sklepach. Ale wcale nie po to, żeby go zalewać wodą i pić. Otóż miała dodawać herbatę do kremów i przygotowywać w ten sposób odmładzającą maseczkę do twarzy i na szyję. Albo mieszać z miodem, cukrem i oliwą, żeby mieć peeling wygładzający. Najpierw sprawdziła, czy to działa, a potem, gdy przekonała się, że rzeczywiście skóra wygląda lepiej i zmarszczek jakby ubyło, kupiła od razu kilka opakowań. Jedno dostałam od niej w prezencie na urodziny. „Nie będę ci wypominać wieku – powiedziała – ale niezależnie od tego, czy matchę wypijesz, czy w siebie wetrzesz, będziesz zadowolona”. Zrobiłam jedno i drugie. Herbata rano działała lepiej niż kawa – orzeźwiała, pomagała się skupić, była smaczna. A wymieszana z jogurtem zastępowała sklepowe maseczki. Niestety, skończyła się szybko i nie kupiłam kolejnej.

Ostatnio przypomniała mi o niej córka. Spacerowałyśmy po czeskiej Pradze, był piekielny upał, więc zaciągnęła mnie na bubble tea. Mało tego, obiecała, że mi postawi, jeśli spróbuję takiej na matchy. Zgodziłam się z radością, w końcu nieczęsto dziecko za mnie płaci, i... przepadłam. Rozsmakowałam się. Już u nas podczas dni kultury japońskiej piłam i taką przyrządzoną w tradycyjny sposób, spienianą specjalną bambusową miotłką, i jadłam naleśniki z zielonym sosem. No i oczywiście kupiłam herbatę, żeby cieszyć się nią w domu.

Co takiego ma w sobie? Mnóstwo chlorofilu, aminokwasów, cennych witamin i przeciwutleniaczy, które chronią przed chorobami cywilizacyjnymi, odchudzają. Jest łagodniejsza niż zwykła czarna czy zielona herbata, bo przed zbiorem krzewy są zacieniane specjalnymi bambusowymi matami, a liście parowane i obierane z żyłek i łodyg, a potem suszone i mielone w kamiennych żarnach. Napar dostarcza też całkiem sporą porcję kofeiny, nie podrażniając żołądka. Mieszm ją najprostszy spieniacz do mleka i zalewamy lekko przestudzonym wrzątkiem (czajnik odstawiam na 10 min po zagotowaniu wody), a potem dodajemy mleko migdałowe i kostki lodu. Z okazji wakacji kupimy sobie miotłkę i specjalną bambusową łyżeczkę do odmierzania idealnej dawki, czyli ok. 3 g na 200 ml. Smacznego!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM



Fenomenalny jerzyk

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Vencejo común to po hiszpańsku jerzyk (*Apus apus*), najszybszy spośród ptaków (szybszy jest sokół wędrowny, ale tylko w krótkim locie nurkowym). Fenomen jerzyka obejmuje jednak znacznie szerszy zakres niż tylko prędkość. Niektórzy twierdzą, że ptak ten potrafi spędzić w locie ok. roku, ani razu nie lądując ani nie przysiadając – w locie poluje na owady, chwytając krople deszczu, a kiedy jest zmęczony, wzbija się na wysokość kilku kilometrów i drzemie, szybując, przy czym na zmianę jedna połowa mózgu odpoczywa, a druga kontroluje lot. Siada tylko podczas krótkiego okresu lęgowego, ale do pierwszych lęgów przystępuje w trzecim roku życia, więc tak naprawdę nikt nie wie, ile czasu mija od wylotu z gniazda do pierwszego lądowania. Wydaje się, że gdyby nie legi, jerzyk mógłby nigdy nie lądować.

Ponieważ jerzyki mogą dożyć ponad 20 lat, szacuje się, że w tym czasie przelatują miliony kilometrów, równoważąc stu kilkudziesięciu okrążeń Ziemi lub kilkunastu lotów na Księżyc.

Pierwotnie związane z górami (bardzo rzadkie populacje gnieźdzą się w dziuplach), wraz z rozwojem miast zasiedliły budynki. Są dla nich zupełnie nieszkodliwe. W gnieździe spędzają bardzo mało czasu. Na budynkach nie przesiadują, a odchody piskląt wynoszą na zewnątrz. Gniazda są symboliczne i zbudowane są z tego, co unoszącego się w powietrzu schwytają. W niektórych gotyckich kościołach, w których ich ulubionymi miejscami są otwory maczulcowe, przymknięte (nie zamknięte) ceglą pozostawiającą kilkunacentymetrową szczelinę prowadzącą do niszy w głębi, gnieźdzą się kolonijnie od setek lat, a mimo to najwyższej klasy zabytki nie doznają najmniejszego uszczerbku. Jerzykom odpowiadają zresztą rozmaite, czasem niepozorne otwory i szczeliny: między wielką płytą, otwórki w strychu lub stropodachu, pod odstającą blachą parapetu czy w miejscu wejścia rynny w gzyms.

Jednym z ich ulubionych siedlisk w Hiszpanii są przestronie pod falistymi dachówkami zwanymi arabskimi. W miasteczkach i wioskach w regionie La Mancha, gdzie dachy z tej tradycyjnej dachówki są na każdym budynku, jest ich wyjątkowo dużo – być może właśnie dlatego spośród wszystkich ptaków świata jerzyk jest jedynym wymienionym z nazwy w „Don Kichocie”.

OGNIEM NA WPROST

Poeta idzie na wojnę



Andrzej Rafał Potocki

Litewski dziennikarz Mindaugas Jonušas oświadczył, że zaciąga się na ochotnika do Sił Zbrojnych Ukrainy jako ratownik medyczny. Do podjęcia tej decyzji skłoniła go śmierć Iryny Cybuch „Czeki”, ukraińskiej ratowniczkii medycznej z batalionu ochotniczego Hospitalery (Szpitalnicy). „To, co teraz powiem, może kogoś zaskoczyć, ale zapewne są też tacy, którzy nie będą zbyt zaskoczeni. Chcę się zaciągnąć do armii. Ukończyć kurs ratownictwa medycznego, żebym mógł pomagać ratownikom medycznym na froncie. Na razie to wszystko” – napisał Jonušas. Przed rosyjską inwazją wspomniana Iryna Cybuch też była dziennikarką, menedżerem Suspilne – telewizyjno-radiowego nadawcy na Ukrainie, a także wdrażała projekty edukacyjne na wioskach w obwodach donieckim i ługańskim. Jeździła na front od 2015 r. jako ratownik medyczny. Gdyby żyła, obchodziłaby dziś 26. urodziny. Mindaugas Jonušas nie znał jej osobiście, jednak poinformował, że ma te same poglądy co ona i wyznaje te same wartości. Iryna zginęła, gdy samochód, którym jechała, wpadł na minę. Postawa litewskiego dziennikarza przypomina nieco główną postać filmu „Przełęcz ocalonych” Desmond Dossa, który nie chciał strzelać i zabijać, lecz nieść pomoc rannym żołnierzom. Uratował dziesiątki istnień ludzkich, wynosząc rannych na swoich plecach z piekła bitwy. Przeżył i został bohaterem. Tego życzę swemu litewskiemu koledze po fachu.

Serhij Żadan jest ukraińskim poetą, pisarzem, aktywistą, tłumaczem z języka niemiec-

kiego, angielskiego, rosyjskiego, polskiego, a także wokalistą punkowego zespołu Żadan i Psy. Był wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość, m.in. Literacką Nagrodą Europy Środkowej Angelus, Nagrodą Conrada czy Nagrodą im. Hannah Arendt. Teraz poinformował, że zaciągnął się do armii. „Wstąpiłem do 13. Brygady Gwardii Narodowej »Chartija«. Przechodzę szkolenie. Służę narodowi Ukrainy” – napisał na Facebooku. Przed wyjazdem na „zero” (ukr. front) zapewne odegra ze swoją kapelą utwór grupy „Status Quo” – „In the Army Now”, ale na punkową nutę.

Biełgorod, który od dwóch lat jest ostrzeliwany przez Ukraińców, obok którego co i rusz odbywają się rajdy Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego oraz Legionu Wolność Rosji, gdzie na ulicach stoją schrony oraz nad którym Moskal notorycznie gubi bomby i rakiety, po fiasku rosyjskiej ofensywy w rejonie Charkowa został uznany przez kremlowską propagandę za najbezpieczniejsze miasto Federacji Moskiewskiej. Powstaje pytanie: jak to jest w tych niebezpiecznych miastach? No kławo jak cholera. Obywatele niespecjalnie wierzą w te rankingi i masowo wyprowadzają się w inne rejony Rosji.

Aco nowego na froncie wschodnim? O porażce Moskali pod Charkowem oficjalnie już poinformował prezydent Zelenski. Faktycznie, od blisko trzech tygodni front nie uległ tam zmianie. Mimo

zgromadzenia ogromnych środków i 60 tys. bojców, Moskale weszli na maksymalnie 9 km w głąb Ukrainy i utknęli w silnie bronionych miejscowościach. Po miesiącu walk z 30 zgromadzonych do operacji moskiewskich batalionów większość ma straty na poziomie 70–80 proc. To znaczy, że nie istnieją. Ukraińcy przeprowadzili w Wołoczysku tylko lokalny kontratak, odbijając kilka ulic i biorąc do niewoli 60 mobików (świeżo zmilitaryzowanych), co nasi „spece od wojskowości” nazwali kontrofensywą. Jeden Ruski ze świeżego naboru opowiadał do kamery, że musieli atakować w skwarze, prosto pod ogień karabinów maszynowych, bombardowani dronami. Z każdej z grup szturmowych ze 100 ludzi zostawało 5–6, czasem 1. Szkoleni niecały tydzień boju nie mieli żadnych szans. Ta relacja potwierdza tezę, że Ruski dał się złapać w pułapkę. Po krótkiej obronie Ukraińcy odpuścili pozycje nie do utrzymania i wypuścili napastników na przygotowane wcześniej stanowiska, które zrobiły z Moskali sieczkę. Moskiewska propaganda sprzedaje tę ewidentną klępkę moskiewską jako błyskotliwy manewr wielkiego wodza, który specjalnie upozorował ofensywę na północy, żeby ułatwić natarcie w Donbasie, którego „wyzwolenie posuwa się powoli, metr za metrem, ale konsekwentnie do przodu”. To zobaczymy, jak posuwa się natarcie rosyjskie w obwodzie donieckim. Jedyne poważniejsze sukcesy Moskali w tym czasie to prawie całkowite zajęcie wschodniej części Czaśiw Jaru. Tyle że przed nimi teraz kanał Doniec–Donbas, za którym okopali się Ukraińcy. Wszelkie próby jego sforsowania jak dotąd spełzły na niczym. Typowa ruska robota i ruskie gadanie.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: **Minister Sprawiedliwości Adam Bodnar w pracy**



Wycinki z przeszłości

Relację z tragicznego wydarzenia spowodowanego głupotą znaleźliśmy w piśmie „Wieś i Dwór” z czerwca 1914 r.

„I znów mamy do zanotowania nową ofiarę jazdy samochodowej, przyczyną katastrofy nie była jednak ani zbyt szybka jazda, ani niewyrobienie lub nieuwaga kierowcy, a tylko karygodne wybryki uliczników. Jeden z nich, pragnąc przedziurawić kijem zakończonym gwoździem gumową oponę koła, przebiegał przed samochodem w celu zmuszenia jadących do zwolnienia biegu.

Samochód, nagle zatrzymany, wywrócił się, śmiertelnie raniąc sprawcę katastrofy (który zmarł później w szpitalu), dalej mniej niebezpiecznie raniąc czterech pasażerów i zabijając na miejscu kierowcę, Henryka Weissa (na zdjęciu po lewej stronie).

Śp. Henryk Weiss był znakomitym automobilistą i sportsmenem, znanym w szerokich kręgach naszego miasta. Początkowo jako motocyklista zdobywał wielokrotnie nagrody, brał również udział w rajdach samochodowych, a jako wysoce uzdolniony fachowiec zarządzał warsztatami Towarzystwa »Varsovie Automobile«.

(mk)



Z WOLEJA

Kapsle, sentyment, kolarstwo...

Lubię sentymentalne podróże do sportowej przeszłości. Właśnie oglądałem zapis decydujących kilometrów kolarskich wyścigów o tytuł mistrza świata. Pierwszy sprzed półwiecza, bo z 1973 r., drugi – sprzed 10 lat. I wspólny mianownik: oba te wyścigi wygrali Polacy, w 1973 r. Ryszard Szurkowski, a w 2014 r. Michał Kwiatkowski. Nawet okoliczności były bardzo podobne, bo obaj Polacy zwyciężyli nie dzięki finiszowi na ostatnich metrach, ale samotnym ucieczkom.

Mój wielki imiennik, który cztery razy indywidualnie wygrał kultowy przed laty Wyścig Pokoju, po prostu nagle odjechał z ucieczki, w której uczestniczyło czterech kolarzy: on, drugi Polak Stanisław Szozda oraz Duńczyk i Francuz. To był zresztą jeden z największych sukcesów w historii polskiego kolarstwa, bo na mecie złoto i srebro zdobyli reprezentanci Białej-Czerwonych – do złota Szurkowskiego dopisaliśmy srebro Szozdy. Tego samego, który rok później – po tym, jak na finiszu jednego z etapów wspomnianego Wyścigu Pokoju został po chamsku i niebezpiecznie zablokowany przez Rosjanina Lichaczewa – wypalił do kamery: „Walczymy jak sportowcy, a nie jak bandyci”, co spotęgowało antysowieckie nastroje w społeczeństwie.

Z kolei dekadę temu Kwiatkowski po prostu zwał z peletonu. Miał przewagę raptem kilkudziesięciu, a momentami stu kilkudziesięciu metrów. Jechał tak wiele minut, na końcu ze stromej góry serpentynami w dół, a na mecie jego przewaga wyniosła pięć sekund – ale to całkowicie wystarczyło do złota.

Oba sukcesy przypadły na wyjątkowe czasy dla polskiego kolarstwa. Lata 70. były okresem gigantycznych sukcesów Polaków, którzy wygrywali z kolarzami ze Związku Radzieckiego oraz komunistycznej NRD – te wiktorie nad „ruskimi” i „szkopami” budziły entuzjazm w narodzie. Rok po dublecie Szurkowskiego i Szozdy na mistrzostwach świata tytuł mistrza znowu zdobył Polak – sensacyjnym zwycięzcą został mniej znany Janusz Kowalski, a Szurkowski zdobył srebro.

Polacy zdobywali wtedy srebrne medale olimpijskie w jeździe drużynowej na 100 km w Monachium (1972) i Montrealu (1976) – teraz tej konkurencji nie ma ani w programie mistrzostw globu, ani igrzysk. W jednym i w drugim zespole jechali Szurkowski z Szozdą. Do tego doliczmy srebrny medal w indywidualnym wyścigu Czesława Langa na IO w Moskwie (1980), a także medale kolarza torowego Janusza Kierzkowskiego.

Kolarstwo lubi prawo serii, bo dwa lata po złotym medalu Rafała Kwiatkowskiego na MŚ Rafał Majka wywalczył brązowy na igrzyskach w Brazylii w 2016 r.

Do kolarstwa mam sentyment od czasu, gdy jako kilkulatek grałem na chodniku w kapsle imitujące kolarzy. Ciekawe, że zawsze w tych „zawodach” wygrywali Polacy.

Ryszard Czarnecki

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przeliczenia w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ



Mit Doliny Krzemowej

W dążeniu do bogactwa nie musi być nic złego. Tyle że tam, za Atlantykiem, najwyraźniej się to nie udało

kująca karty graficzne do komputerów, dzięki procesorom specjalnie zaprojektowanym pod kątem sztucznej inteligencji pod koniec maja 2024 r. osiągnęła kapitalizację na poziomie 2,8 bln dol. To dużo? Ogromnie.

Według „Rzeczpospolitej” Nvidia przebiła poziom wartości całego niemieckiego rynku akcji, który wynosi 2,5 bln dol., i jest rynkiem najpotężniejszej gospodarki w Unii Europejskiej.

społeczną dezorientację, polaryzację ogromnych grup społecznych.

Za taki skok rozwojowy to ja dziękuję.

INACZEJ POSTAWIĆ ZADANIE

Oczywiście Polska potrzebuje impulsów rozwojowych. Polacy chcą żyć dostatniej. Ale nie w amerykańskim stylu. Potrzebujemy jeszcze wielu projektów i dyskusji rozwojowych. Tyle że zapatrzenie w model rzekomo tak efektywnego ekosystemu innowacji, jaki wyłonił się w Dolinie Krzemowej, nie jest dobrym punktem odniesienia.

Co zatem zmienić, aby w Polsce zagrało to, co w USA nie zagrało?

Warto zacząć od rozróżnienia inteligencji oraz mądrości. Chyba to Stanisław Lem podpowiadał, że inteligencja to umiejętność rozwiązywania problemów, natomiast mądrość to umiejętność innego typu. To zdolność właściwego wybierania takich problemów, na których rozwiązaniu warto się skupić.

Inteligencja jest sprawnością instrumentalną, zaś mądrość to sprawność etyczna, czyli wybór odpowiednich wartości.

Dolina Krzemowa, zresztą także inne zagłębia technologiczne na świecie, jest miejscem wytężonego, wysoce kreatywnego wykorzystywania ludzkiej inteligencji. Jak pokazują dane kiepskiego dobrostanu Amerykanów, dzieje się to jednak przy bardzo słabym wykorzystaniu mądrości. Jakby Amerykanie padli ofiarami swojej inteligencji, która przy zagubionej mądrości znanadto się rozhułala. Nic dziwnego, że kalifornijskie zagłębie innowacji bywa określane Doliną Chciwości. W dążeniu do bogactwa nie musi być nic złego. Tyle że tam, za Atlantykiem, najwyraźniej się to nie udało. 

Katarzyna Zybertowicz

Slyszeście hasło: „Polska Dolina Krzemowa”? Bo ja wiele razy. I przyznam, iż kiedyś myślałam, że byłoby dobrze i u nas wytworzyć taką niezwykłą koncentrację kreatywności i kapitałów, jak tamta w Kalifornii.

JESZCZE DO NIEDAWNA...

Uważałam, że dzięki takiej dolinie zbudowanej gdzieś w Polsce nasze talenty informatyczne nie musiałyby wyjeżdżać z kraju, by robić coś fascynującego i zarazem bardzo dobrze zarabiać. A Polska dokonałaby skoku rozwojowego. No właśnie. Gdy tylko uzmysłowiałam sobie, do jakiego w istocie skoku przyczyniła się amerykańska Dolina Krzemowa, już tak nie myślę.

POTĘŻNA I WPŁYWOWA

W Kalifornii niewątpliwie nastąpiła trwająca już od dekad niebywała koncentracja talentów (i wizjonerów) z całego świata, a w synergii z wielkimi funduszami kapitałowymi przyniosło to poważne zmiany na całym globie.

Stany Zjednoczone mają najpotężniejsze, najbardziej wpływowe w skali globalnej firmy technologiczne, z których tylko jedna: Nvidia, od lat produ-

A DOBROSTAN?

Pod względem wielu wskaźników dobrostanu społecznego Ameryka niestety wypada gorzej od średniej Unii Europejskiej. Liczba osób siedzących w więzieniach mierzona na 100 tys. mieszkańców jest ponad trzy razy większa w USA niż w UE. Ale nie tylko tu Ameryka prześciga Europę. Tak samo jest z brutalnością policji. W rozwodach też jest na czele. Wskaźnik tzw. szarych rozwodów, czyli wśród osób po pięćdziesiątce, co uważa się za oznakę kryzysu wartości, od 1990 r. podwoił się. Około jednej czwartej dorosłych Amerykanów ma diagnozę zdrowia psychicznego, taką jak lęk lub depresja, co jest jednym z najwyższych wskaźników wśród 11 krajów o wysokich dochodach. Amerykanie przodują też pod względem ilości leków branych receptę. Kompletnie nie radzą sobie z kryzysem opioidowym. Klasa średnia upadła.

Wiele wskazuje na to, że Amerykanom, mimo całego ich bogactwa i nowoczesności, trudniej jest radzić sobie z własnym życiem niż Europejczykom. Tkanka społeczna tego wielkiego kiedyś narodu została rozerwana, a nawet zdruzgotana. Przyczyniły się do tego nowe technologie cyfrowe z mediami społecznościowymi na czele – tak, te powstałe właśnie w Dolinie Krzemowej. Te technologie nasiliły

E-booki na wakacje

**Już teraz sprawdź przepisy na dania z grilla
i zaplanuj wycieczki blisko natury**
– to wszystko znajdziesz w świetnych e-bookach Sieci Extra



Smaczne Wakacje. **60 przepisów na całe lato**

Aż 60 przepisów na dania grillowane i zapiekane, warzywne i mięsne, ciepłe i na zimno. Tradycyjne receptury i potrawy w nowoczesnym wydaniu, które łączy jedno: wszystkie smakują znakomicie! Wystarczy kilka ciepłych wiosennych dni i można zaczynać wielkie grillowanie.



Wędrówki blisko natury. **Wakacje z przyrodą**

18 pasjonujących opowieści, dzięki którym dowiedzie się m.in.: jak obserwować przyrodę, jak ratować pisklęta i ranne ptaki, co potrafią pająki, jak korzystać z alpakoterapii, czy walenie to szpieczy Rosji, gdzie mieszkają nietoperze, które góry są nadal dzikie, gdzie można spotkać 100 tys. gęsi.

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA WAKACJE?

**Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę
tygodnika Sieci już od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

OGŁĄDAJ NAS W TELEWIZJI NAZIEMNEJ

CZĘSTOCHOWA

GDAŃSK

JELENIA GÓRA

ŚWIDNICA

TOMASZÓW MAZOWIECKI

WARSZAWA

WROCŁAW

POZYCJA **26** MUX L-3

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **26** MUX L-1

POZYCJA **26** MUX L-4

POZYCJA **26** MUX L-3

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **26** MUX L-4



Odśwież listę kanałów w twoim telewizorze

OGŁĄDAJ NAS 

www.wPolsce.pl